

Jak rozliczyć PiS | Ziolo na całe zło | Teatrzyk Dudy | Biedny jak student
Przedświąteczne gry cenami | Holenderski Trump | Średniowieczne menu

POLITYKA

LIDER
SPRZEDAŻY
1

TYGODNIK, nr 49 (3442), 29.11–5.12.2023
Cena 11,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Pasje i misje Szymona Hołowni

Co przeszłość marszałka
mówi o jego przyszłości



© STUDIO MELONIA/GNIESZKA SADOWSKA/AW
USA 6,00 USD; KANADA 4,69 CAD; WIELKA BRYTANIA 2,50 GBP; SZWECJA 30 SEK; CZECHY 75 CZK; KRAJE STREFY EURO 4,95 EURO



PARA DO PARY



KUP BUTY
NARCIARSKIE
ZA MINIMUM
2 499 PLN

KUP NARTY
ZA MINIMUM
4 499 PLN



DRUGĄ PARĘ
NART LUB BUTÓW
OTRZYMASZ

50%
TANIEJ!

dodatkowo

w dniach 28 listopada - 3 grudnia 2023

TYDZIEŃ z marką
+ spotkanie z ekspertem (2-3 grudnia)



-20%

na wszystkie produkty marki Fischer

ZIMOWE GODZINY OTWARCIA SKLEPÓW SKI TEAM

Poniedziałek - Piątek 11:00 - 20:00 | Sobota 11:00 - 21:00 | Wszystkie Niedziele 12:00 - 16:00

WARSZAWA: ul. KOR 36/38 | WARSZAWA: ul. Toruńska 107b | POZNAŃ: ul. Bułgarska 117a
WROCLAW: CH Arkady Wrocławskie | KATOWICE: ul. Sportowa 20 (200m od CH Silesia)



21 **Ułudy Dudy**



28 **Biedny jak student**



40 **Komisja od pieniędzy**

Wybory 2023

- 14 Joanna Podgórska
Szymon Hołownia: między wiarą a Kościołem



- 18 Ewa Siedlecka **Jak rozliczyć PiS**
21 Rafał Kalukin **Andrzej Duda: nowa rola, stary aktor**

Rozmowa POLITYKI

- 24 Prof. **Kim Scheppelle** o tym, jak sobie poradzić ze skutkami rządów populistów

Spółczesność

- 28 Norbert Frątczak **Ile kosztuje życie studenckie**

- 31 Agnieszka Sowa
Medyczna marihuana: dla kogo i za ile



- 34 Rozmowa z **Justyną Ochędzan** o tym, jak się starzeć w lepszych warunkach dzięki unijnym pieniądzom

- 37 Ryszarda Socha
Górnicy na wiatraki!

Rynek

- 40 Joanna Solska **PiS betonuje KNF: w tle ogromna władza i pieniądze**
44 Cezary Kowanda
Paўpki sklepowych promocji

Świat

- 48 Adam Szostkiewicz **HISZPANIA Kataloński gambit Pedro Sáncheza**
51 Rozmowa z **Sylvie Kauffmann** o tym, jak Putin zwiódł Europę Zachodnią – i o tym, dlaczego z Chinami może być podobnie
54 Konstanty Gebert **IZRAEL Zniszczyć Hamas – i co dalej?**
56 Marek Orzechowski **HOLANDIA Geert Wilders: holenderski Donald Trump**



Nauka/projektpulsar.pl

- 58 Olaf Szewczyk **Księżycowe przygody Elona Muska**
61 Marcin Rotkiewicz
Pytania o życie i śmierć
62 Maciej J. Nowak
Wydawnictwa drapieżne: skutek kryzysu polskiej nauki
64 Katarzyna Czarnecka **Kamil Mamak: rzecznik praw robotów**

Ogląd i pogląd

- 66 Janusz A. Majcherek
Czy transfery socjalne mają sens?

Historia

- 68 Rozmowa z prof. **Jarosławem Dumanowskim** o tym, co jadano w średniowieczu
71 **PROSTO Z KSIĄŻKI**
72 Michał Rastazański
Doktryna Monrogo wciąż dzieli Amerykanów

Kultura

- 78 Piotr Sarzyński **„Bielska Jesień” vs. warszawski „Krajobraz...”: dwie wizje współczesnego polskiego malarstwa**
82 Tomasz Plata
10 mądrych lektur 2023
86 Dorota Szwarzman
Maria Callas: głos wieku



- 90 Mariusz Herma **Peter Gabriel: dawkanie muzyki**
93 Bartek Chaciński
Marek Ałaszewski: Pan Klan
94 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

- 100–105 • **Męska psycha**
• Smartfony ujmują urody
• Sklej się • Status płaszczą
• Zawód: projektant
• Siła flamenco
• Pierogi wege ze skwarkami

Stałe rubryki

- 4 Mleczko i Mizerski
• 6 Przypisy • 8 Ludzie i wydarzenia
• 74 Afisz • 95 Koziołek
• 96 Wicha • 97 Chutnik i Plebanek
• 98 Do i od redakcji
• 106 Polityka i obyczaje



www.mleczko.pl

SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Bezmózgowcy i inne małpoludy

Krakowska kurator oświaty Barbara Nowak alarmuje, że „w szwedzkich przedszkolach są specjalne pokoje, do których nauczycielka idzie z dzieckiem i go masturbuje”. Celem jest rozładowanie emocji dziecka. Informacje te Nowak pozyskała od pracującej w tamtejszym przedszkolu Polki, która, gdy o tym opowiadała, była podobno przerażona. Nie ukrywam: też jestem przerażony. Przeróża mnie kurator Nowak, która najwyraźniej wierzy w to, co mówi.

Ambasada Szwecji uznała jej rewelacje o pokojach do masturbacji przedszkolaków za „absurdalne i nieprawdziwe”, ale nie wiem, czy nie należy stworzyć takich pokoi dla dorosłych mających problemy emocjonalne. Niedawno sędzia Maciej Nawacki, który zrobił spektakularną karierę za rządów PiS, na posiedzeniu KRS odgrażał się postać Kamili Gasiuk-Pihowicz, że „wciśnie jej uchwałę do gardła”. Może gdyby ten sędzia mógł gdzieś na osobności rozładować swoje emocje, przestałby snuć takie agresywne fantazje.

Rozładowanie emocji przydałoby się też niektórym działaczom PiS zawiedzionym wynikiem wyborów. Podczas miesięcznicy pogrzebu pary prezydenckiej

na Wawelu mocno pobudzony radny PiS Ryszard Majdzik nazwał protestujących zwolenników opozycji „małpoludami”, „bezmózgowcami”, „prymitywami” oraz „zdrajcami, którzy służą Berlinowi i Moskwie”. Rozumiem jego wzburzenie, ale uważam, że nie ma powodów do hysterii, bo jeśli Moskwa, a zwłaszcza Berlinowi służą bezmózgowcy i prymitywne małpoludy, to tym gorzej dla Moskwy i Berlina, dlatego może nie trzeba tym bezmózgowcom przeszkadzać i nagłaśniać całej sprawy, żeby Moskwa i Berlin się nie zorientowały, że ci agenci to bezmózgowcy, i nie zrezygnowały z ich usług.

Niepokojące wieści nadchodzą nie tylko z Wawelu. W tych dniach radny PiS z Lublina poinformował, że podczas spaceru z psem został zaatakowany przez dziką. „Zacząłem uciekać, biegłem najszybciej, jak mogłem, ale dzik cały czas się zbliżał” – relacjonował radny, któremu w ostatniej chwili udało się odstraszyć zwierzę krzykiem.

Niektórzy zwracają uwagę, że to pierwszy atak dzika na polityka PiS, wcześniej dochodziło co najwyżej do agresywnych ataków polityków PiS na dziki, zwykle z użyciem broni palnej i nagonki. Incydent w Lublinie pokazuje, że czasy się zmieniły i teraz dziki mogą próbować wziąć odwet, co działaczom partii Jarosława Kaczyńskiego niezbyt dobrze wróży. Niestety, jest obawa, że po zaprzysiężeniu rządu Donalda Tuska ataki dzików, a także innych małpoludów i prymitywów mogą się jeszcze nasilić.



W poszukiwaniu Tajemnic Majów – od Panamy do Gwatemali

Jedna wyprawa – moc atrakcji! Zwiedzanie Panamy, Kostaryki, Hondurasu, Salwadoru, Nikaragui i Gwatemali. Piękno przyrody i fascynująca cywilizacja Majów.

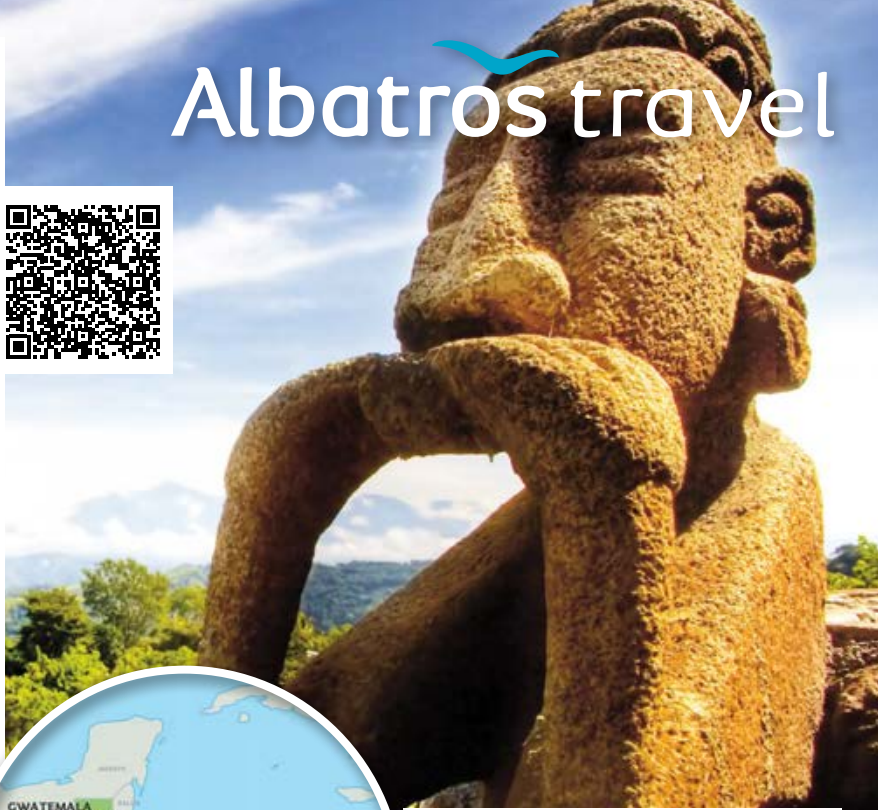
Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy do Panama City. **Dz. 2** Panama City. Zwiedzanie miasta oraz Kanatu Panamskiego. **Dz. 3** Przelot Panama City – San José, Kostaryka. Zwiedzanie miasta i plantacji kawy. **Dz. 4** San José – P.N. Tortuguero. Park Narodowy Tortuguero i rezerwat złotwi. **Dz. 5** Tortuguero. Wycieczka łodzią do P.N. Tortuguero. Popołudnie do własnej dyspozycji. **Dz. 6** Tortuguero – La Fortuna. Tirimbina Rainforest Center, wizyta na plantacji czekolady wraz z degustacją. **Dz. 7** La Fortuna. Wiszące mosty w lesie deszczowym i kąpiel w basenach termalnych. **Dz. 8** La Fortuna – Granada, Nikaragua. Wycieczka po mieście. **Dz. 9** Rejs statkiem po wyspach Las Isletas, targ w Masaya. Wycieczka po mieście Managua – León. **Dz. 10** León - Potosí. Rejs statkiem przez Zatokę Fonseca. La Unión, Salwador. **Dz. 11** La Unión – stanowisko archeologiczne cywilizacji Majów Joya de Cerén - San Salvador. **Dz. 12** San Salvador – ruiny miasta Majów w Copán, Honduras. **Dz. 13** Copán – ruiny miasta Majów w Quiriguá – Livingston, Gwatemala. **Dz. 14** Livingston – Flores. Rejs statkiem po rzece Dulce. Fort San Felipe. **Dz. 15** Flores – Tikal i zwiedzanie najlepiej zachowanego miasta Majów (lista Unesco) – przelot do Guatemala City i przejazd do Antigua. **Dz. 16** Antigua. Zwiedzanie miasta z architekturą kolonialną i przejazd na jezioro Atitlán. **Dz. 17** Rejs po jeziorze Atitlán. **Dz. 18** Jezioro Atitlán – Guatemala City. Podróż powrotna. **Dz. 19** Przyłot do Warszawy.

19 dni | Wylot z Warszawy 27/02, 13/11 2024

od **24.998,-**



Albatros travel



Lato w Wietnamie – zwiedzanie i wypoczynek

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Warszawy. **Dz. 2** Przyłot do Ho Chi Minh. Powitalna kolacja. **Dz. 3** Ho Chi Minh. Tunele Cu Chi i zwiedzanie miasta. **Dz. 4** Ho Chi Minh City – Can Tho. Delta Mekongu. Wycieczka łodzią na wyspę Ban Tre. **Dz. 5** Delta Mekongu – Hanoi. Pływakujący rynek, zwiedzanie miasta taksówką rowerową. **Dz. 6** Hanoi. Wycieczka po mieście. Mauzoleum Ho Chi Minha, Pagoda Jednej Kolumny, Hanoi Hilton, Wodny Teatr Lalek. **Dz. 7** Hanoi – Zatoka Ha Long. Rejs wśród skalnych formacji. **Dz. 8** Zatoka Ha Long – Hanoi. Nocny pociąg do cesarskiego miasta Hué. **Dz. 9** Przyjazd do Hué. Rejs statkiem po Perfumowej Rzece, pagoda Thien Mu i mauzoleum Ming Manga. **Dz. 10** Hué – Hoi An. Cytadela w Hué, przełęcz Hai Van, spacer po kolorowym mieście Hoi An. **Dz. 11** Hoi An. Czas wolny. **Dz. 12** Hoi An. Czas wolny. Możliwość wykupienia wycieczki rowerem na wyspę Kim Bong. **Dz. 13** Hoi An. Czas wolny. Możliwość wykupienia kursu gotowania. **Dz. 14** Hoi An. Czas wolny. Możliwość wykupienia wycieczki rowerowo-żeglarskiej do wioski Tra Que. **Dz. 15** Podróż powrotna. Lot Danang – Ho Chi Minh. Wylot do Warszawy. **Dz. 16** Przyłot do Warszawy.

16 dni | Wyloty z Warszawy 23/05, 11/06 2024

od **12.998,-**



Uzbekistan – na Jedwabnym Szlaku

Program wycieczki: **Dz. 1** Wylot z Polski do Uzbekistanu. **Dz. 2** Przyłot do Taszentu. Zwiedzanie miasta oraz polskiego kościoła. **Dz. 3** Tasz kent – Chiwa. Przelot do Urgencz, miejsca narodzin Anny German oraz zwiedzanie starówki Chiwy, Ichan Kala. Czas wolny. **Dz. 4** Chiwa – Buchara. Przejazd autokarem przez pustynię Kyzyl-Kum. **Dz. 5** Buchara. Zwiedzanie miasta, twierdza Ark, Minaret Śmierci i bazar Toqi Sarrofon. **Dz. 6** Buchara. Wycieczka do Bahouddin Nakshbandi i mauzoleum Chor-Bakr oraz pałacu letniego Sitorai-Mokhi-Hossa. Wieczorny występ folklorystyczny. **Dz. 7** Buchara – Shakrisabz – Samarkanda. Miejsce narodzin Timura Lenka, Shakrisabz i przyjazd do Samarkandy. **Dz. 8** Samarkanda. Zwiedzanie miasta oraz placu Registan, Grobowca Emira i meczetu Bibi Khanum. Przejazd pociągkiem do Taszentu. **Dz. 9** Przelot Tasz kent – Warszawa.

9 dni | Wyloty z Warszawy 28/04, 23/09 2024

od **9.998,-**



albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, Sp.

Kod reklamy: PL46

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Lekcje cierpliwości



Mariusz Janicki

Tak zwane tworzenie rządu przez Mateusza Morawieckiego z początku było nawet trochę zabawne, ale kończy się tandetną groteską, jakąś alternatywną rzeczywistością. Trudno znaleźć inne wyjaśnienie niż pensje, apanaże, betonowanie stanowisk, czyszczenie szuflad i maksymalne utrudnienie startu nowej ekipie. Nawet Trybunał Konstytucyjny się „odkłócił”, prezes Przyłębska nagle w oczach niby zbuntowanych sędziów znowu okazuje się legalnym prezesem TK, ponieważ trzeba było odmrozić stare, przetrzymywane z powodów politycznych sprawy, mogące kosztować nowy rząd kilka miliardów złotych. To taki pożegnalny akt cynizmu, dobre podsumowanie ośmiu lat „prawicowych wartości”.

Przed nową władzą zadanie przeprowadzenia audytu skierowanego specjalnie na okres po 15 października do połowy grudnia, aby dokładnie zbadać, o co naprawdę chodzi w tym „pierwszym konstytucyjnym kroku”. Zapewne nie na darmo Morawiecki jak baron Münchhausen opowiada niestworzone rzeczy o jakichś negocjacjach i przedstawia dwutygodniowy rząd, za dużo go to kosztuje, aby był to tylko kaprys. A „obdzwonieni” dziennikarze, ci sami, którzy pojawiali się w tzw. mailach Dworczyka, na serio opisując formowanie jego gabinetu, ujawniają „przecieki” co do jego składu i programu, prześcigają się na newsy bez żadnego znaczenia. Widać też, jak czysto partyjna była decyzja prezydenta Dudy o powierzeniu misji Morawieckiemu, choć oczywiście nie zabrakło wtedy komentarzy, że był to ruch naturalny, zrozumiały, w interesie głowy państwa. A teraz Morawiecki też naturalnie ma uzasadnione polityczne powody do odgrywania cyrku, bo przecież elektorat się domaga. W tego typu rozważaniach nie chodzi o stan państwa, ale o „ciekawą rozgrywkę” (o politycznych kalkulacjach prezydenta Dudy piszemy na s. 21).

Zapewne aby przypomnieć, że prawdziwe życie toczy się gdzie indziej, Donald Tusk przedstawił kilka zamierzeń swojego rządu (o składzie jego gabinetu na s. 8) i politycznej większości w Sejmie. Zapowiedział powstanie trzech komisji śledczych, w sprawie tzw. wyborów kopertowych, afery wizowej i tę dla ustroju państwa najważniejszą – dotyczącą inwigilacji opozycji przy pomocy Pegasus. I w tym przypadku rozległy się od razu głosy krytyki i sceptycyzmu na zasadzie: co prawda PiS trzeba rozliczyć, ale trzy komisje to za dużo, one mało mogą, to będzie bardziej teatr, skąd wzięć do niej tylu ekspertów, zaś przywrócenie praworządności to proces długi, niepewny, oby nie okazał się odwetem itd. (więcej o tym, jak może dokonać się rozliczenie ustępującej władzy, s. 18). Ogólnie – wieszczą sceptycy – Tuskowi raczej się nie uda, rozliczenia nie wyjdą, obietnice będą trudne do spełnienia, Tusk w końcu wyjedzie do Brukseli, a dementi szeffa PO, że nigdzie się nie wybiera, stało się kolejnym argumentem, że coś jest na rzeczy.

Ma powstać wrażenie, że całe wielkie grupy wyborców już są rozczarowane rządami demokratycznej koalicji. Przykładem sprawa przepisów aborcyjnych, choć Tusk zapowiedział, że wkrótce ustawa Platformy o dopuszczalności przerwania ciąży do 12. tygodnia znajdzie się w Sejmie (wcześniej zostały złożone projekty Lewicy). Jednak od pewnego czasu ciągnie się opowieść o „oszukanych kobietach”, o tym, że kobiety nie dadzą się ponownie nabrać i mogą nie pójść na następne wybory. Trudno powiedzieć, ile w tym rzeczywistych nastrojów, a w jakim stopniu jest to sugerowana narracja, podchwytywana przez media: np. Onet napisał, że „Tusk (...) może nie wywiązać się z obietnic wobec kobiet i osób LGBT”.

Rzeczywistość jest taka, że partie popierające liberalizację aborcji do 12. tygodnia zdobyły w wyborach łącznie 39 proc., a ugrupowania, które się na to nie zgadzają – 61 proc. Ani PiS, ani Trzecia Droga czy Konfederacja nie ukrywały swoich poglądów na kwestię aborcji. Kosiniak-Kamysz i Hołownia (o nowym marszałku Sejmu piszemy na s. 14) są dzisiaj przedstawiani jako hamulcowi, choć zawsze mówili: powrót do tzw. kompromisu i referendum. Mimo to dostali 14,4 proc., a Lewica – raptem 8,6 proc.

To prawda, że prawo wyboru kobiety w tej kwestii jest dzisiaj standardem w krajach Unii Europejskiej, ale ten standard został w każdym z tych państw przegłosowany w parlamencie. W Polsce też nie ma innej drogi do rozwiązania systemowego, chociaż będą podejmowane działania, jak zapowiedział Tusk, aby praktyką złagodzić prawo w tej materii. Nie byłoby żadnego problemu, gdyby Platforma i Lewica dostały w wyborach tyle, by mieć razem 231 posłów, a właściwie 276, co pozwalałoby odrzucić spodziewane weto prezydenta Dudy. Tak się nie stało, co świadczy o tym, że albo poparcie dla liberalizacji aborcji nie jest realnie tak wielkie, jak się mówiło, albo dla wyborców są ważniejsze tematy, którymi kierują się przy głosowaniu. Kiedy teraz słycać głosy, że kobiety się rozczarowały i mogą nie pójść na następne wybory, wypada odpowiedzieć: to byłby błąd. Przeciwnie, kobiety powinny w jeszcze większej liczbie pójść głosować za dwa i cztery lata i wesprzeć dokładnie te partie i tych kandydatów na prezydenta, którzy głoszą bliskie im poglądy.

Sprawa aborcji pokazuje znacznie szerszy problem. Powyborczych rozczarowań nową, jeszcze nieistniejącą władzą, podsyconych przez piarowych macherów z PiS i ich ludzi w mediach, może być więcej. Że za wolno, za mało, nie w ten sposób, mówili co innego, obiecywali, a nie ma. Ale przecież teraz ma rządzić nie jedna partia, która może robić co chce, ale koalicja. A w koalicji każda partia ma tyle do powiedzenia, ile posiada udziałów, jakie przydzielili wyborcy; wszelkie rozwiązania – aborcyjne, socjalne, ekonomiczne, klimatyczne i każde inne – muszą być wynikiem negocjacji i kompromisu. Jednak będą się one teraz mieścić w demokratycznym porządku, cywilizowanym dyskursie, w racjonalnej sferze powiązanej z unijną kulturą prawną. Alternatywą jest partia Kaczyńskiego, przy której rządach o ustrojowych standardach, elementarnej równości i prawdziwej debacie nie było i nie ma mowy. Wydawałoby się, że nietrudno zrozumieć tę różnicę, dostrzec bezsens obrażania się i krytyki awansem, zanim jeszcze cokolwiek się zaczęło. Ale, jak widać, różnie z tym bywa.

PiS zrobi wszystko, aby koalicyjny rząd Tuska objął władzę na starcie już zmęczony, atakowany, poróżniony. Od odporności i politycznego rozeznanania wyborców, którzy wsparli niedawno demokratyczną zmianę w Polsce, zależy, czy ten wygłosowany przez nich przełom wejdzie w życie, a nadzieje zostaną spełnione. PiS będzie usilnie namawiał do niecierpliwości, zwątpienia, irytacji, nostalgii za dawnym porządkiem. Użyje do tego wszelkich metod i zaprzyjaźnionych mediów. Poddanie się tym nastrojom oznaczałoby w dużej mierze zniweczenie obywatelskiego poruszenia z 15 października roku pamiętnego.

Botanica

JELITKOWO

Apartamenty w harmonii z przyrodą

INVEST
KOMFORT

28 LAT DOŚWIADCZENIA
50 ZREALIZOWANYCH PROJEKTÓW

58 585 95 81
investkomfort.pl



Dwa rządy

Półtora miesiąca po zwycięskich dla demokratycznej opozycji wyborach Andrzej Duda zaprzysiął **rząd Mateusza Morawieckiego**, który nie ma żadnych szans na uzyskanie wotum zaufania. Rząd Donalda Tuska jest skompletowany, dysponuje większością, ale musi czekać na drugi krok konstytucyjny, bo prezydent raz jeszcze postanowił zachować się jak działacz PiS średniego szczebla. Na razie więc do 11 grudnia rządził będzie gabinet tymczasowy i mniejszościowy, który budzi wesołość nawet wśród polityków PiS. Morawiecki sięgnął głównie po ludzi z drugiego lub trzeciego szeregu. Do wyjątków należy minister obrony Mariusz Błaszczak, który zresztą jeszcze dwa dni przed uroczystością zarzeknął się, że do rządu się nie wybiera, ale potem Jarosław Kaczyński w rozmowie z PAP wyjaśnił, że Błaszczak do rządu jednak ma wejść.

Pozostałe nazwiska to w dużej części wiceministrowie z różnych resortów lub Kancelarii Premiera – wiceministerka w resorcie rolnictwa Anna Gembicka awansowała na ministerkę, Małgorzata Jarosińska-Jedynak przeszła tę samą drogę w Ministerstwie Funduszy. Dyrektorka generalna w resorcie aktywów Marzena Małek zastąpiła w tym ministerstwie Jacka Sasina. Spośród bardziej znanych polityków mamy Marlenę Małąg w Ministerstwie Rozwoju, Szymona Szynkowskiego vel Sęka w MSZ oraz Pawła Szefernakera w MSW. Nowy rząd Morawieckiego pozostanie koalicyjny, ale Zbigniewa Ziobrę w Ministerstwie Sprawiedliwości zmieni kolega z partii Zbigniew Warchoł.

Całe to niemądre z punktu widzenia interesów państwa przedsięwzięcie ma sens jedynie partyjny. Kaczyński nie chciał, by po arytmetycznym zwycięstwie PiS

w wyborach doszło do kapitulacji, nie chciał, by prezydent powoływał na premiera Tuska. Oczywiście przy okazji można było jeszcze załatwić trochę interesów i poupychać swoich ludzi na stanowiskach, które pozostaną poza zasięgiem nowej władzy.

Równoległe do tego rządu tymczasowego powstawał prawdziwy rząd Tuska. Jego skład jest już mniej więcej znany. Większość resortów weźmie KO – m.in. MSZ (Radosław Sikorski), aktywa (Borys Budka), finanse (Andrzej Domański), MSW (Marcin Kierwiński), kulturę (Bartłomiej Sienkiewicz), edukację (Barbara Nowacka) i sport (Sławomir Nitras). Koordynatorem ds. służb ma zostać Tomasz Siemoniak, ministrem ds. europejskich – Adam Szłapka, a szefem KPRM – Jan Grabiec. PSL będzie miało cztery ministerstwa: obronę (Władysław Kosiniak-Kamysz z tytułem wicepremiera), rolnictwo (Czesław Siekierski), infrastrukturę (Dariusz Klimczak) oraz rozwój (Krzysztof Hetman). Lewica wywalczyła trzy resorty: cyfryzację (wicepremier Krzysztof Gawkowski), rodzinę (Agnieszka Dziemianowicz-Bąk) oraz naukę (zapewne Karolina Ziolo-Pużuk). Pełnomocniczką ds. równości – być może w randze ministerialnej – ma zostać Katarzyna Kotula. Polska 2050 ma już marszałka Sejmu, więc jej reprezentacja w rządzie będzie skromniejsza. Paulina Hennig-Kloska weźmie Ministerstwo Klimatu, a Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz – resort funduszy. Ten rząd zostanie zaprzysiężony w drugiej dekadzie grudnia, niewykluczone, że 13. (WBS)

Kim jest przyszła rzecznik praw dziecka

Mikołaj Pawlak może się już pakować. Koalicja większościowa w Sejmie uzgodniła, że wspólną kandydatką na rzecznika praw dziecka będzie **Monika Horna-Cieślak**, 33-letnia adwokatka i działaczka społeczna. Wspólnym założeniem KO, TD i NL było wystawienie jednego kandydata, by uniknąć powtórki sprzed lat, kiedy to tygodniami posłowie nie byli w stanie wyłonić następcy Marka Michalaka. Po 5 latach z Mikołajem Pawlakiem oczekiwano, że stanowisko RPD należy oddać „ludziom”, odpartyjnić, skończyć z tym, że jest ono miejscem indoktrynacji. Zmiana jest też symboliczna – po raz pierwszy w historii RPD będzie kobieta.

Horna-Cieślak do urzędowania zgłosiła się późno. W rozmowie z OKO.press mówiła: „Usłyszałam od polityków, że głos kobiet był w wyborach decydujący, a teraz będzie ważny. I że kobiety mają decydować. Potraktowałam to serio”. Ochroną praw dzieci zaczęła się zajmować jako 19-latką w czasie wolontariatu w Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę. Adwokatka brała udział przy tworzeniu najważniejszych w ostatnich latach ustaw dotyczących bezpieczeństwa dzieci i kobiet, czyli tzw. antyprzemocówki 1.0 i 2.0 (natychmiastowa izolacja sprawcy przemocy od ofiary) oraz „ustawy Kamilka”

(nakłada na wszystkie instytucje, w których przebywają dzieci, nowe standardy ochrony). Prowadzi kancelarię zajmującą się wyłącznie reprezentacją skrzywdzonych dzieci. W 2019 r. zdobyła tytuł zwyciężczyni konkursu „Rising Stars – Liderzy Jutra” oraz I wyróżnienie w konkursie „Prawnik Pro Bono”. Kiedy zgłosiła swoją kandydaturę, wsparły ją organizacje młodzieżowe (jak Fundacja Autism Team czy Przyszłość dla Młodych), a także Polskie Towarzystwo Prawa Antydyskryminacyjnego i Naczelna Rada Adwokacka. „Chciałabym, żeby Urząd Rzecznika Praw Dziecka miał charakter otwarty, a w debacie uczestniczyły osoby młode” – mówiła w rozmowie z Onetem. Zapowiedziała, że w planach ma m.in. złożenie skargi konstytucyjnej na łamanie praw dzieci z neuroróżnorodnością w edukacji.

Kadencja obecnego RPD kończy się 14 grudnia. 43-letni Mikołaj Pawlak zostanie zapamiętany jako otwarty homo- i transfob, nasyłający kontrole do szkół, które uzyskały wysokie wyniki w rankingu szkół przyjaznych osobom LGBT+, skupiony na prawach „dzieci nienarodzonych” i przekonany, że „klaps nie zostawia wielkiego śladu”. Lista jego niedociągnięć jest długa – zarzucano mu m.in. bierność w sprawie tragicznej sytuacji dzieci w DPS-ach, ale też w związku ze śmiercią Mikołaja Filiksa.

Według raportu Fundacji GrowSpace Mikołaj Pawlak był również przez ostatnie lata rzecznikiem niegospodarności, wydając pół miliona złotych na dwa samochody osobowe. Urząd RPD trzeba więc będzie zbudować od nowa. (AGSZCZ)





poprzedniego ministra zdrowia Adama Niedzielskiego z koncertem Pfizer (który domaga się od Polski 6 mld zł za zerwaną umowę na sprzedaż szczepionek) skutkuje brakiem na rynku również leku ukierunkowanego na SARS-CoV-2, który mogliby otrzymywać chorzy z największym ryzykiem powikłań. A jak dopiero niedawno poinformowało MZ, uaktualnione szczepionki będą dostępne w Polsce najwcześniej 6 grudnia – tyle że przecież one nie leczą zakażeń, których jest już mnóstwo, lecz są elementem profilaktyki, więc powinniśmy mieć do nich dostęp przynajmniej już od 2 miesięcy.

Covid nie daje o sobie zapomnieć

Etap paniki i strachu przed **Covid-19** jest za nami, ale to nie znaczy, że wolno bagatelizować wzrost liczby zakażeń i lekceważąc podchodzić do zbierania danych na ich temat. Tymczasem szacunki resortu zdrowia mówiące o ok. 2 tys. nowych zakażeń covid dziennie są niewiarygodne, gdyż po zniesieniu obowiązku testowania nie ma żadnych zachęt ze strony Ministerstwa Zdrowia, by lekarze POZ skrupulatnie diagnozowali podłoże infekcji i na bieżąco raportowali wyniki testów w kierunku covid, grypy lub RSV. Pacjenci, którzy robią to na własną rękę, nie przekazują takich danych. Zresztą nikt im nie mówi, że aby test był miarodajny, nie należy go wykonywać od razu, gdy poczują się gorzej, tylko dopiero w 3–4 dobie po wystąpieniu objawów.

Choć Covid-19 zdominował pejzaż jesiennych infekcji, kierownictwo MZ udaje, że to już nie ich problem. Dziurawa diagnostyka sprawia, że nie wiadomo, jakie podwarianty koronawirusa omikron dominują obecnie w Polsce. Awantura wszczęta przez

Zakontraktowana szczepionka nie będzie tym razem zawierała mRNA, lecz – tak jak m.in. przeciwgrypową – specjalnie opracowane białko, które stymuluje komórki odpornościowe do produkcji przeciwciał. Eksperci od dawna przekonują, że podanie dawki przypominającej w nieco innej formule niż co najmniej dwie pierwsze dawki podstawowe ma wiele zalet i specyfik amerykańskiego Novavaxu (z którym sporo łączy polską spółkę biotechnologiczną Mabion, bo od 2021 r. uczestniczy w jego wytwarzaniu) jak najbardziej spełnia ten postulat – szczepionka posiada wzmacniający adjuwant, który może zapewniać nieco dłuższą ochronę niż wakcyny oparte na samym mRNA.

Niestety resort zdrowia nie planuje żadnej kampanii zachęcającej do szczepień, a odkąd wycofano się latem ze stanu zagrożenia epidemicznego, placówek, gdzie można je wykonać, jest dużo mniej. Apteki podające szczepionki muszą teraz spełniać standardowe wymogi NFZ, a podpisywanie archaicznych umów zajmuje tak dużo czasu, że żadna nie zdążyła z tym na początek sezonu grypowego. Obowiązujące mają dotychczasowe e-skierowania wystawiane za pośrednictwem internetowych kont pacjentów, choć dopiero kiedy przyjdą pierwsze dostawy, będzie można umówić się na konkretny termin. (PAW)



NeoKRS: Bazylipek patrzy w lustro

Konkurencją dla posiedzeń Sejmu stały się transmisje obrad neoKRS. W roli głównej parlamentarzysty opozycji wybrani do neoKRS: choć przegrywają głosowania, mogą składać wnioski spowalniające maszynkę do produkowania neosędziów. Druga rola główna to kreacja przewodniczącej neoKRS Dagmary Pawełczyk-Woickiej. Właśnie zyskała przydomek „Terlecka”, bo zaprowadziła obyczaje parlamentarne: aby zapobiec zapisaniu w stenogramie oświadczeń wygłaszanych przez posłankę Kamilę Gasiuk-Pihowicz, wyłączyła jej mikrofon. A zaczęło się od wniosku o przerwę w obradach w związku z wydanym w czwartek przez Europejski Trybunał Praw Człowieka wyrokiem w sprawie Lech Wałęsa przeciwko Polsce. ETPCz stwierdził, że systemowym i podstawowym problemem

polskiego wymiaru sprawiedliwości jest wadliwa procedura powoływania sędziów z udziałem KRS, która powoduje naruszenia prawa do niezależnego i bezstronnego sądu ustanowionego ustawą.

Tego samego dnia wieczorem przewodnicząca neoKRS przyniosła z niewiadomego źródła uchwałę odmawiającą prawomocności wyrokowi ETPCz. Członkowie neoKRS nie dostali jej do rąk i nie mieli okazji przedyskutować. „Treść jest niemal identyczna, co oświadczenie, które pojawiło się na stronie Ministerstwa Sprawiedliwości. Widać, że pisała je ta sama ręka. Tak właśnie wygląda niezależność neoKRS-u od władzy politycznej” – oświadczyła następnego dnia Gasiuk-Pihowicz.

Do przyjęcia tej uchwały brakowało kworum, więc – jak mówił poseł Tomasz

Zimoch – przewodnicząca neoKRS w trakcie głosowania telefonowała do nieobecnych członków neoKRS, by zagłosowali zdalnie. W przyjętej w tym dziwnym trybie uchwałę neoKRS stwierdza, że stosowanie tego wyroku będzie łamaniem konstytucyjnej zasady, że „organy państwa działają wyłącznie na podstawie i w granicach prawa”.

Następnego dnia, w przerwie obrad, członek neoKRS sędzia Maciej Nawacki zagroził posłance Gasiuk-Pihowicz, że albo „odszczeka” swoje oświadczenie, albo on „wepchnie jej to do gardła”. Posłanka wezwała policję, a przewodnicząca Pawełczyk-Woicka uznała, że zdarzenie nie wymaga reakcji.

NeoKRS zdołała wybrać – bez dyskusji i bez obecności kandydata – sędziego Stanisława Zduna na wiceprzewodniczącego neoKRS i pozytywnie zaopiniowała kandydata na dyrektora Krajowej Szkoły Sądownictwa i Prokuratury neosędziego SN Kamila Zaradkiewicza (Ziobro mianował go natychmiast). Wybrano też kandydata na sędziego NSA – tradycyjnie najślabszego spośród startujących (jako jedyny z kandydatów nie był nigdy sędzią sądu administracyjnego). Czyli wszystko po staremu. Ale nowi przedstawiciele Sejmu w neoKRS pokazali Radzie lustro, w którym widać, że ten organ zajmuje się wyłącznie usługami dla władzy politycznej. (ES)

Przywrócić prawo i sprawiedliwość

Anna Siewierska-Chmaj

Profesor Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka, była rektorka WSE.



Liczę na Was! Mam nadzieję, że nie okażecie się takimi fujarami, jak za czasów Trybunału Stanu” – prowokacyjnie wykrzyczał rozhisteryzowany Zbigniew Ziobro do posłów KO skandujących w Sejmie „Będziesz siedział”. Choć chyba nie zabrzmiało tak diabolicznie, jak sobie zaplanował, to trzeba przyznać, że uderzenie było celne. Gdyby w 2015 r. nie zawiodło, być może świadomie, kilkusetu posłów koalicji PO-PSL, w tym ówczesna premier Ewa Kopacz, Ziobro odpowiadałby przed Trybunałem Stanu na osiem zarzutów – m.in. przekroczenia uprawnień, złamania prawa i nieuprawnionych nacisków na prokuratorów. Nie zmieniłoby to zasadniczo historii ośmiu ostatnich lat, ale z pewnością dzisiaj praworządność w Polsce miałaby się dużo lepiej. Jeśli zatem ktokolwiek miał jeszcze wątpliwości, czy rozliczenie winnych nadużywania władzy jest koniecznością, to paradoksalnie właśnie Ziobro przypomniał nam wszystkim, że grzechy zaniechania należą do kategorii tych najcięższych. Polacy oczekują od rządu Donalda Tuska przywrócenia poczucia sprawiedliwości i szacunku do prawa, a to oznacza, że nie wystarczy kilkanaście pokazowych procesów i trzy komisje śledcze, które zogniskują uwagę mediów wokół kilku wybranych tematów.

Rząd Zjednoczonej Prawicy zdewastował sądownictwo, przejął prokuraturę, wykorzystywał służby specjalne i policję do walki z przeciwnikami politycznymi, zniszczył i finansowo wydrenował instytucje państwowe. Wszystkie tego rodzaju sprawy należy publicznie ujawnić, gruntownie zbadać i uczciwie rozliczyć. Ale równie ważne, a może nawet ważniejsze jest przywrócenie choćby elementarnego poczucia bezpieczeństwa i sprawiedliwości dla tych wszystkich, którzy

w ostatnich latach w swoich małych ojczyznach – samorządach, szkołach, instytucjach publicznych – walczyli z łamaniem prawa i nadużywaniem władzy przez lokalnych funkcjonariuszy PiS i Suwerennej Polski. Bez politycznego i medialnego zaplecza, wyłącznie z poczucia przyzwoitości i obywatelskiego obowiązku, narażając się na utratę pracy i liczne nieprzyjemności, ujawniali sprawy, które choć nie miały szans trafić na czołówki ogólnopolskich gazet, dla lokalnych społeczności były nawet ważniejsze.

To, że nie były tak spektakularne, jak afera respiratorowa, podsłuchowa czy wyprowadzanie milionów z Funduszu Sprawiedliwości, wcale nie ułatwiało walki o prawdę. Przeciwnie – setki, może nawet tysiące ludzi w Polsce samotnie stało na straży prawa i to oni najbardziej czekają na rozliczenie winnych. Ryzyko, które ponosili opozycyjni politycy czy dziennikarze mainstreamowych mediów, było nieporównywalnie mniejsze od tego, które ponosili gminni urzędnicy informujący służby o finansowych przekrętach popełnianych przez swoich przełożonych, nauczyciele małomiasteczkowych szkół sprzeciwiający się indoktrynowaniu swoich uczniów czy redaktorzy portali samorządowych, którzy ujawniali patologiczne powiązania lokalnej władzy i biznesu.

Przy rekordowej frekwencji wyborczej blisko 12 mln Polaków wypowiedziało się za kandydatami obozu demokratycznego. Jednocześnie jednak był to także wyraźny głos sprzeciwu wobec polityki zawłaszczania państwa przez rząd Zjednoczonej Prawicy. Domagając się rozliczenia łamiących prawo funkcjonariuszy PiS i SP, ci ludzie nie domagają się zemsty, ale przywrócenia słowom „prawo” i „sprawiedliwość” ich właściwego znaczenia. I nie wystarczą do tego medialne pokazówki z udziałem polityków z pierwszych stron gazet, chodzi raczej o żmudny proces odwracania zmian dewastujących różne obszary funkcjonowania państwa w ciągu ostatnich ośmiu lat. O przywrócenie konstytucyjnego ładu, zbudowanie kapitału społecznego na gruzach podzielonego społeczeństwa, a przede wszystkim – o sprawienie, aby Polacy znowu uwierzyli, że warto być przyzwoitym.

Kościół wolny od polityki?

Wprawdzie większość Polaków oczekuje, że to polityka będzie wolna od Kościoła, ale od czegoś

trzeba zacząć. Aktywny w sprawach publicznych dominikanin **Paweł Gużyński** wymyślił kampanię pod odwrotnym hasłem: „Kościół wolny od polityki”. Prowadził ją przez kilka ostatnich miesięcy z grupą osób zebranych w Kongresie Katoliczek i Katolików, z młodszymi wolontariuszami, ale nie tylko – zaangażował się np. prof. Andrzej Zoll, były rzecznik praw obywatelskich i prezes Trybunału Konstytucyjnego. W ostatnią niedzielę o. Gużyński podsumował tę kampanię na forum Kongresu w Polskiej Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku.

Aktywiści interweniowali 72 razy. Robili to, gdy dostawali zgłoszenia o obecności partyjnej propagandy w przestrzeni kościołów. Weryfikowali je, potem pisali maile, dzwoniли – starali się zmuszać do reakcji



kościelnych hierarchów. Najbardziej efektywna okazała się sprawa posła PiS Jarosława Zielińskiego (to ten, który kilka lat temu jako wiceminister spraw wewnętrznych wykorzystwał policjantów z białostockiej prewencji do wycinania konfetti na uroczystości ze swoim udziałem). Jak mówił o. Gużyński, Zieliński „pozwolił sobie wejść na ambonę podczas mszy w Narewce i głosić 25 minut czystej propagandy, a w tym czasie proboszcz był uśmiechnięty od ucha do ucha”. Było to w środku kampanii wyborczej, a dokładniej w rocznicę śmierci Danuty Siedzikówny „Inki”. Interwencja skończyła się w sposób odwrotny do zamierzonego, ale wiele mówiący o obecnych szansach na Kościół wolny od polityki. Otóż po tym jak o. Gużyński opublikował w mediach społecznościowych krótki komentarz wideo (tzw. rolkę) do mowy Zielińskiego i braku publicznej reakcji miejscowego biskupa Józefa Guzdzka, ten ostatni zadzwonił do jego przełożonego w zakonie dominikanów, mówiąc, że czuje się pomówiony i domaga się przeprosin.

Wsumie materiały wideo kampanii o. Gużyńskiego dotarły do 5,5 mln osób. Problem rozpolitykowania Kościoła pozostał nierozwiązany, kampania będzie trwała. Ale ponad setka uczestników dwudniowego gdańskiego spotkania rozmawiała nie tylko o tym. Wiele godzin poświęcono na debaty o pożądanej komisji ds. pedofilii w Kościele w Polsce oraz o potrzebie stworzenia funkcji rzecznika praw osób świeckich w Kościele – przeważnie lekceważonych przez duchownych. „Głos obywateli nabiera siły. Pokazały to już kobiety w walce o swoje prawa – mówiła Hanna Machińska, była zastępczyni RPO. – Kościelna hierarchia nie jest gotowa na rzecznika praw świeckich. Ale katolicy mają legitymację, by powołać go samemu” – dodała.

Gdyby osoby zaangażowane w Kongres Katoliczek i Katolików miały większy wpływ na Kościół w Polsce, moglibyśmy powiedzieć, że przed nami ciekawe czasy. Jednak to realia – na szybkie zmiany nie liczą. Ale pocieszają się, że kropla draży skałę.

(JHP)

Black Friday w „Polityce”



Rabaty na prenumeratę cyfrową do -50%

polityka.pl/cyfrowa



Yoni Asher ze swoją uwolnioną żoną Doron i córkami Aviv i Raz.

Dużo radości, wiele pytań

Byłoby to mile widziane – tak o perspektywie przedłużenia rozejmu w wojnie z Hamasem mówił Beniamin Netanjahu. Do zamknięcia tego wydania POLITYKI nie było jednak pewne, czy premier Izraela zgodzi się wydłużyć pauzę, pierwotnie zaplanowaną na cztery doby. Izraelskim warunkiem było, by Hamas wypuszczał

dziesiątkę przetrzymywanych przez siebie zakładników za każdy dzień prolongaty. Wcześniej Hamas w kilku turach przekazał kilkadziesiąt osób, obywateli Izraela i innych państw, których uprowadził w ataku z 7 października. W zamian – w proporcji jeden do trzech – z izraelskich więzień i aresztów zwolniono Palestyńczyków, ale tylko kobiety i nastoletnich mężczyzn.

Najdłuższe wytchnienie w dotychczasowych walkach pozwoliło wreszcie dostarczyć pomoc na północ Strefy Gazy, najbardziej zrujnowanej części regionu. Setki

izraelskich ciężarówek wwoziły m.in. namioty. Gaza próbuje przetrwać, ponaddwumilionowa populacja potrzebuje wody pitnej, żywności, lekarstw i paliwa, przy czym skala rzeczywistych potrzeb nie jest dokładnie znana. Ocena jej rozmiarów jest niemożliwa wobec braku kontaktu z tymi, którzy pozostali na północy i próbują przeżyć, dysponując bardzo skromnymi zasobami. Nie wiadomo nawet, jak pomoc dystrybuować, bo nie ustalono dotąd, ile osób ewakuowało się na bezpieczniejsze południe. A za chwilę izraelska operacja wojskowa, prowadzona zwłaszcza na północy, może zostać wznowiona, co znów odetnie potrzebujących od jakiegokolwiek wsparcia.

Premier Netanjahu zapowiada co prawda, że Izrael będzie walczył do końca, aż do zwycięstwa, niemniej wygląda na to, że wojna z Hamasem wkracza w fazę przewlekłą. W starciach – według danych hamasowskiej administracji w Gazie – zginęło co najmniej 13 tys. cywili. W tempie, którego nie da się porównać z żadną inną wojną obecnego stulecia. Tak wysoka liczba ofiar to skutek rażenia tysięcy celów i użycia ciężkiej broni, także bomb lotniczych o masie blisko jednej tony, na bardzo gęsto zaludnionym obszarze. Ostatnio ofiar śmiertelnych tak szybko przybywało podczas wojny w Wietnamie i na frontach drugiej wojny światowej. W Gazie działania wojenne doprowadziły do zniszczenia lub uszkodzenia ponad 60 tys. budynków.

Unia do zmiany?

Podczas gdy PiS alarmował, że 22 listopada będzie początkiem końca polskiej suwerenności i polskiego państwa, reszta Europy ten dramatyczny moment przeoczyła, skupiając się na zaskakujących wynikach wyborów w Holandii (piszemy o tym na s. 56). Co więc przegapili? **Parlament Europejski** przyjął rezolucję zawierającą propozycje daleko idących zmian w traktatach unijnych. Same w sobie są one interesujące, ale najpierw trzeba rozbroić tę bombę: Polska raczej uratuje swoją suwerenność. Szanse na to, że dojdzie do zmiany traktatów, są bliskie zeru.

Rezolucja europarlamentu oznacza, że temat trafi na najbliższy szczyt Rady UE (12 grudnia). Biorący w nim udział ministrowie państw członkowskich zwykłą większością mogą przekazać temat na szczyt Rady Europejskiej, na którym spotykają się szefowie rządów i głowy państw. Ci z kolei, również zwykłą większością, mogą powołać do zbadania sprawy tzw. konwent, składający się z przedstawicieli instytucji unijnych, rządów i parlamentów krajowych. Oni znów będą debatować, aż dojdą do syntezy. Żeby ją wprowadzić w życie, niezbędna jest jednak jednogłośna(!) zgoda wszystkich państw członkowskich.

Co proponuje europarlament? Rewolucję. Wyraźne wzmocnienie instytucji unijnych kosztem państw członkowskich. Europarlament otrzymałby prawo do inicjatywy ustawodawczej,



do zwoływania euroreferendum (nowa instytucja), do proponowania budżetu UE.

Europosłowie wskazywaliby szefa Komisji Europejskiej (teraz robi to Rada UE), który zostałby przemianowany na „prezydenta Unii”, a liczbę komisarzy ograniczono by do 15 (dziś jest ich 27 – tyle, ile państw członkowskich). Unia przejęłaby też szereg kompetencji od państw członkowskich, w tym wyłączne w sprawach środowiska oraz klimatu i wyraźnie rozszerzone m.in. w obszarach zdrowia publicznego. Europosłowie proponują też ograniczenie do minimum decyzji podejmowanych jednogłośnie – szczególnie w zakresie polityki zagranicznej i sankcji, a w wielu przypadkach odejście od głosowania większością kwalifikowaną na rzecz zwykłej większości.

Propozycje te ostro skrytykowały niemal wszystkie rządy z naszego regionu. W Polsce są one nie do zaakceptowania zarówno dla odchodzącego rządu, jak i dla nowego. Donald Tusk określił je jako przejaw „naiwnego euroentuzjazmu” (europosłowie Lewicy byli jednak „za”). Ale również zachodnioeuropejskie stolicy odcinają się od pomysłów europarlamentu. Nie oznacza to jednak, że sprawa unijnych traktatów nie jest w Europie dyskutowana. Ostatnia wydarzyła się w 2009 r. wraz z traktatem lizbońskim. Wiele od tamtego czasu się zmieniło. Zbliżyła się kolejna fala rozszerzenia Unii i Wspólnota, choćby z tego względu, będzie potrzebować reformy.

ŁUKASZ WÓJCIK

Turecki serial

Mnij więcej wtedy, gdy ukaże się ten numer POLITYKI, w Brukseli ministrowie obrony państw NATO będą mieli chwilę przerwy. Według wszelkiego prawdopodobieństwa z ich agendy znów spadnie punkt „uroczyste przyjęcie Szwecji do NATO”. Już w zeszłym tygodniu Ankara informowała, że turecki parlament nie zdąży na czas ratyfikować decyzji o przyjęciu Skandynawów – do tego potrzebna jest zgoda wszystkich państw NATO, a brakuje jej tylko od Turków i Węgrów, którzy solidaryzują się z Ankarą.

Szwecja, tak jak Finlandia, złożyła wniosek o przyjęcie do Sojuszu po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Prezydent Recep Tayyip Erdoğan zastrzegł, że nie zgodzi się na rozszerzenie, jeśli oba państwa

„nie przestaną chronić terrorystów” oraz nie odblokują eksportu uzbrojenia do Turcji. Ci „terrorysty”, według Anki, to działające w Skandynawii organizacje powiązane z Partią Pracujących Kurdystanu, oskarżaną przez Turcję o próbę dezintegracji kraju. Ankara już w kwietniu dała zielone światło kandydaturze Finlandii, ale sprawa Szwecji wciąż się ciągnie. Przy czym Sztokholm poszedł już na kilka ustępstw. Zniósł embargo

na eksport broni do Turcji i przyjął ustawę antyterrorystyczną, która umożliwia ekstradycje Kurdów podejrzanych o terroryzm. Szwedzi nie chcą jednak po prostu wydawać ludzi z listy przysłanej przez Ankarę, tylko sądownie próbują analizować każdy przypadek.

Wiele wskazuje na to, że Kurdowie są dla Erdoğanowi tylko pretekstem dla blokowania Szwecji. Dwa lata temu Turcja zamówiła w USA m.in. 40 nowych myśliwców F-16. Prezydent Joe Biden od początku był temu przychylny, ale sprzedaż zablokował Kongres, który powątpiewa w lojalność Turcji wobec NATO. Nieoficjalnie Ankara miała więc zapowiedzieć, że nie zgodzi się na akcesję Szwecji, jeśli nie dostanie F-16. Na to się nie zanoszono, więc Turcy zaczęli negocjować zakup europejskich myśliwców Typhoon, ale tu sprawę blokują Niemcy. Jednocześnie Erdoğan wciąż zmienia zdanie w sprawie Kurdów – dwukrotnie już mówił, że sprawa jest załatwiona, po czym wszystko niby grzęzło w parlamencie, który oczywiście robi to, co mu Erdoğan każe.

Chiny bezwizowe

Niespodziewanie od 1 grudnia Chiny zniósł obowiązek wizowy dla pięciu państw Unii: Francji, Niemiec, Włoch, Hiszpanii i Holandii – a także Maleszji. Rzecznik MSZ Mao Ning tłumaczył, że to „element promocji osiągnięć Chin i szerokiego otwarcia na świat”. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to po rocznym okresie próbnym bezwizowa grupa unijna zostanie szybko rozszerzona. Nowe zasady dotyczą pobytów biznesowych i turystycznych do dwóch tygodni, ale dobre i to, bo dotychczas polityka wizowa Pekinu była bardzo restrykcyjna. Na krótkiej i dziwnej liście wyjątków obok



np. Barbadosu, Fidżi i Malediwów Europę reprezentowały Armenia, Białoruś i Serbia.

Nowe otwarcie jest Chinom rzeczywiście bardzo potrzebne. Po trzech latach zamknięcia i polityki „zero covidu”, zakończonej dopiero w marcu tego roku, Państwo Środka powoli staje na nogi i choć w trzecim kwartale wzrost PKB sięgnął

4,9 proc., to niezbędne są zagraniczne inwestycje i zagraniczni turyści. Tu powrót jest szczególnie niemrawy: do czerwca cudzoziemcy przekroczyli chińską granicę 8,4 mln razy, w porównaniu z 977 mln w całym ostatnim przedcoronawirusowym 2019 r. Tradycyjne turystyczne destynacje, z Wielkim Murem na czele, świecą pustkami. Poza wszystkim odstrasza także ceny biletów lotniczych – im tak daleko do starej normy. Za to prawie wróciły do normy podróże krajowe, zwłaszcza z okazji tradycyjnych świąt: Chińczycy po trzech latach lockdownu mają wiele zaległości do odrobienia. Także w podróżowaniu za granicę: mogą grupowo odwiedzać już 60 krajów.



Finlandia zamyka granice

Po serii incydentów **na przejściach granicznych z Rosją** Finlandia zaczęła je zamykać. Z dziewięciu przejść pozostało tylko jedno, Raja-Jooseppi, na trudno dostępnym północu. Napływ uchodźców z Jemenu, Syrii i Iraku miał charakter zorganizowany, wielu chciało przekroczyć granicę na rowerach, inni byli wypychani na fińską stronę, bez możliwości powrotu, na przejściu w Nirala doszło do zamieszek. W sumie w trudnych zimowych warunkach Finowie przegarnęli ponad 600 osób bez wiz, a część bez żadnych dokumentów. Premier Petteri Orpo mówił o „destabilizującej operacji” na liczącej 1340 km granicy z Rosją, która od kwietnia stała się także granicą NATO. Już po rosyjskiej inwazji na Ukrainę fiński rząd podjął decyzję o budowie 200 km umocnień granicznych. A po przystąpieniu Finlandii do Sojuszu stosunki z Moskwą, przez lata stawiane za wzór, gwałtownie się pogorszyły.

Do tej pory na wspólnej granicy obowiązywała zimnowojenna umowa, że osoby bez wizy do sąsiada nie będą przepuszczane. Została złamana zimą 2015 r., kiedy fińską granicę, w podobnych okolicznościach jak obecnie, przekroczyło 1,7 tys. uchodźców, którzy wystąpili o azyl (podobną operację Rosjanie przeprowadzili wówczas na granicy z Norwegią). Teraz złamane zostały kolejne ustalenia, że granicę można przekroczyć tylko w samochodzie. Po nałożeniu unijnych sankcji na Rosję i wstrzymaniu ruchu lotniczego oraz połączeń kolejowych z Unią fińskie przejścia, zwłaszcza dwa w pobliżu Petersburga, obsługiwały wzmożony rosyjski ruch samochodowy, bo wiodła tędy jedna z głównych tras turystycznych na południe Europy. W porównaniu z Włochami, Grecją czy Hiszpanią obecny zorganizowany napływ imigrantów był stosunkowo niewielki, ale sytuacja mogła łatwo wymknąć się spod kontroli i Helsinki zadziały zdecydowanie i widowiskowo, zwłaszcza że w konserwatywnym rządzie mają skrajnie antyimigranckich Prawdziwych Finów, a kryzys uchodźczy wyrósł na najważniejszy problem w Unii.

Prosto krętą ścieżką



© BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Dla jednych zbyt religijny, dla drugich zbyt lewacki. Szymon Hołownia ma tak od dawna. I chyba mu to zostanie.

JOANNA PODGÓRSKA

W

chodząc do białostockiej katedry, zwanej farą, rzuciłem się na podłogę, żądając, żeby mama kupiła mi taki fioletowy szal, jaki ma ten pan, co sprzedaje coś ludziom w tej budce” – tak początki swojej przygody z Kościołem opisuje w rozmowie z Marcinem Prokopem, programowym partnerem z show „Mam talent”.

Rodzina była przeciętnie religijna, ale deklaruje, że on od zawsze czuł się w kościele jak w domu. Gdy nauczył się czytać i zaczął dostawać kieszonkowe,

został stałym klientem katolickich księgarń. W I klasie liceum miał już przeczytaną św. Teresę Wielką i św. Jana od Krzyża. Można go było na wrywki przepytwać z meandrów duchowości ignacjańskiej i karmelitańskiej. Zapach kadzidła budził w nim – jak mówi – „egzystencjalne wzmożenie”.

W piłkę grał kiepsko, uczył się dobrze, ale bez spektakularnych sukcesów. Religia to było pole, na którym czuł się mocny. Może to śmierć starszego brata, choroby, nieobecność zmuszonego do emigracji ojca sprawiły, że dla młodego Hołowni Bóg wydawał się gwarantem i oparciem w niepewnym świecie. „Warto zająć się czymś, co jest rzeczywistym centrum kręcenia kulą ziemską

Szymon Hołownia podczas katechezy
w bazylice Mariackiej w Krakowie, 2015 r.



– pisze. – W Kościele był mit, superbohaterowie, niewidzialna siła, rytuały, a poza nim – szara rzeczywistość”. Prawie codziennie służył do mszy, był szefem ministrantów, pracował w kancelarii parafialnej. Urywał się na wagary na nabożeństwa majowe, co w końcówce lat 80. można było uznać za formę buntu. Jak wspomina po latach, spotykał różnych księży. Jedni imponowali mu pasją i powołaniem, zachowanie innych budziło wątpliwości (księdza, który usiłował go objąć, nawet spoliczkował). Pewne rzeczy go w Kościele raziły, ale uznał, że „to las, w którym każdy znajduje swoją polankę”. Ponieważ – jak deklaruje – „św. Teresa od Krzyża interesowała go bardziej niż Depeche Mode”, już po podstawówce myślał o niższym seminarium duchownym, ale rodzice powiedzieli „nie”. Trafił do pierwszego w Białymstoku liceum społecznego, które wspomina jako szkołę różnorodności i tolerancji, gdzie wierzący, agnostycy i ateści potrafili dyskutować bez agresji i lubić się, nawet pomimo tego, że się nie zgadzają. Także żarliwy katolik odnalazł się w tym środowisku; może po części dlatego, że – jak zastrzeża – był wolny od „imperatywu nawracania”.

W liceum zaangażował się w działalność charytatywną. Pracował w świetlicy dla romskich dzieci. Potem zakładał w Białymstoku oddział Zakonu Maltańskiego, zajmującego się ratownictwem medycznym. Zaraz po maturze wybrał nowicjat u dominikanów, ale wytrzymał tylko kilka miesięcy – wysiadło zdrowie; nie tylko fizyczne. Zaczęło się od kryzysu psychicznego. Jak opisuje po latach – nowicjat to doświadczenie totalne; świat, w którym wszystko jest na dzwonek. Trafił do Warszawy na studia psychologiczne i jednocześnie zaczął współpracę z działem kultury „Gazety Wyborczej”. To było wówczas miejsce specyficzne. Kierował nim Maciej Nowak – bezbożnik, gej i sybaryta. Towarzystwo było mocno rozhułane i imprezowe. Odnalazł się tak – jak sam przyznaje – trochę w charakterze maskotki i dyżurnego ministranta. W czasie mocno zakrapianych imprez grzecznie sączył wiśniówkę.

O Macieja Ziembę, ówczesnego prowincjała zakonu dominikanów, poznał podczas wywiadu dla „Dużego Formatu”. Zgadał się o nowicjacie. Ziemia był zafascynowany: dziennikarz „Wyborczej” i zakon. Zaczęli spotykać się na prywatnych rozmowach i Ziemia namówił Hołownię, żeby spróbował jeszcze raz. Był, jak wspomina trochę „projektem ojca Macieja”, który widział go w roli duszpasterza popkultury. Ale historia się powtórzyła: objawy psychosomatyczne, fatalne wyniki badań, szpital.

Ze szpitala nie wrócił już do zakonu, ale do dziennikarstwa. Współpracował z wieloma tytułami. W 2006 r. rozpoczął przygodę z telewizją. Prowadził w TVP program „Po prostu pytam”. Potem został dyrektorem programowym Religia.tv, gdzie współpracował z ks. Kazimierzem Sową. Prowadził tam talk-show „Między sklepami” oraz programy „Bóg w wielkim mieście” i „Ludzie na walcach”. Ale prawdziwą popularność przyniósł mu TVN-owski program „Mam talent”. Krzysztof Varga podsumował: „Hołownia? A, to ten co raz na jakiś czas idzie do zakonu, a w międzyczasie bryluje w mediach”. Ale sam Hołownia ocenia, że obie decyzje o pójściu do nowicjatu i wyjściu z niego były dobre. Gruntownie sprawdził, czy ma powołanie. Nie miał.

W części mediów, dla których pracował, traktowany był trochę jak ciało obce. Jego współpraca z „Newsweekiem” zakończyła się w 2012 r. głośnym konfliktem, gdy po okładkowym tekście o dzieciach księży i Kościele tolerującym ich podwójne życie Hołownia wycofał z tygodnika swój felieton. Tomasz Lis napisał na swoim blogu, że Hołownia należy do „klubu świętoszków i hipokrytów, gotowych zamknąć oczy i uznać, że jak czegoś nie widzą, to prawdą to nie jest”, i nazwał „załganym, pseudo-liberalnym, pseudodoktrynalnym, dwie piersi ssącym liberalnym katolikiem”.

Hołownia próbował tonować, że jego sprzeciw dotyczył uogólnienia; że nie można sugerować, że „polscy księża mają dzieci” na podstawie kilku anonimów i niereprezentatywnych badań. „Poróżnił się co do meritum, a później, jak diabeł z pudełka wyskoczyły nerwy” – podsumował. Ale Lis nie odpuszczał. Następną okładka tygodnika ukazała się pod hasłem „Katolik kontra ksiądz” ze zwróconymi do siebie profilami Hołownią i ks. Lemańskim (jednym z głównych rozmówców artykułu o księżych dzieciach).

Z drugiej strony też obrywał. Po tym, jak napisał, że św. Faustyna była ruda i piegowata, odbierał telefony od członków Rodziny Radia Maryja z wyzwiskami pod adresem wszystkich kobiet z jego rodziny. Jego krytyczne uwagi pod adresem Kościoła budziły agresję konserwatywnych katolików. „Lali mnie i jedni, i drudzy – jedni i drudzy z wielką przyjemnością”.

Show-biznes też go do końca nie zaakceptował. Jego ostentacyjna religijność sprawiała, że ludzie nie czuli się przy nim swobodnie; wzbudzał napięcie. „Byłem otoczony swego rodzaju ▶

► kordonem sanitarnym, sugerującym ludziom, że wszystko fajnie, ale nie przekraczajcie pewnej granicy, bo on zaraz zrobi wam kontrolę medalików, później spęta różańcem i będzie na siłę spowiadał. Osiedziesiąt procent ludzi, których spotykałem, zwyczajnie się mnie bało” – opisuje.

Przez lata Hołownia regularnie publikował książki. Jest autorem ponad 20. Większość z nich dotyczy wiary i religii; z silnym wątkiem, jak tę wiarę i religię przeżywa sam Hołownia. W jednej z nich z pasją wyklada swoje credo – wiara w Jezusa sprawia, że człowiek staje się częścią kosmicznej przygody: „Oto za swego brata może uważać Boga, który istniał zanim jeszcze powstał Wszechświat, który tym Wszechświatem rządzi i który będzie nas sądził, gdy przeniesiemy się na tamtą stronę chmur. To właśnie ma na myśli teologia, gdy mówi, że w Chrystusie Bóg stał się bliski ludziom”.

Hołownia nie miał może powołania, ale talent kaznodziejski posiadał z całą pewnością. Prowadził nawet objazdowe wykłady dla duchowców „Siedem grzechów głównych polskiego kaznodziejstwa”, krytykując kościółkowy język i dziwaczną, księżowską intonację. On sam potrafi mówić o religii językiem więcej niż potocznym, np. o misji Jezusa, która „wybijają z kapci swoim autentyzmem”. Rozstrzał tematów w jego książkach jest ogromny. Od fundamentalnych pytań: jak pogodzić obecność cierpienia z wiarą w Boga, po kwestie: co robić, gdy ksiądz bredzi podczas kazania. Opisuje zapomnianych świętych i współczesne wspólnoty religijne, tłumaczy zawilosci kościelnych praktyk i rytuałów, zastanawia się nad sensem postów albo czym w istocie jest cudzołóstwo.

Nie stroni od tematów budzących u katolików kontrowersje. Ostrzega przed korzystaniem z usług wrózek, nie tylko dlatego, że to głupie, ale ponieważ to „elementarny wymóg duchowej higieny – to może być początek drogi do opętania”. Przestrzega przed jogą i halloweenowymi zabawami. „Czy Szatan może opętać kogoś, kto lata przebrany za diabła i straszy ludzi? Może tak, może nie, ale z pewnością ma radość z tego, że ktoś poświęca tyle czasu, by wyprodukować jego insygnia, by zewnątrznie upodobnić się do niego, zamiast próbować być podobnym Bogu” – pisze. Z dystansem odnosi się do metody in vitro, jako budzącej zastrzeżenia i wątpliwości. Deklaruje wiarę, że zarodek jest w pełni człowiekiem, choć przynajmniej, że tego nie wie, i rozumie, że nie jest w stanie ludzi przed stosowaniem tej metody powstrzymać. A biskupi, zamiast żądać od polityków całkowitego zakazu, powinni skupić się na formacji wiernych i zastanowić się, jak sensownie z nimi na ten temat rozmawiać.

Przez długi czas stara się bronić Kościoła. Z jednej strony udzielając żartobliwych porad w stylu: nie psioz tak łatwo na Kościół, bo to jemu zawdzięczasz setki ułatwiających życie wynalazków, takich jak nóż z zaokrąglonym czubkiem – dzieło kardynała Richelieu, czy szampan Dom Perignon. Ale z drugiej próbując usprawiedliwiać działania komisji majątkowej, która przynajmniej Kościołowi nieruchomości. „To prawda, że Kościół mógłby nieco bardziej dbać o PR, odzyskując swój zrabowany majątek, a czasem po prostu odpuścić. Faktem jest też jednak, że państwo polskie zachowuje się w tej sprawie jak ktoś, kto kupił kradzionego mercedesa, a teraz roni łzy, że prawowity właściciel chce mu go zabrać” – pisze. Fundusz kościelny? – „Antyklerykałowie jęczą, że państwo funduje księżom renty, a Kościół odpowiada: oddajcie, coście zabrali, to ZUS będziemy płacić sami”. Dostrzega zło w Kościele. Krytykuje go zwłaszcza za zaangażowanie polityczne, ostrzegając, że gdy Kościół bierze ślub z jedną partią polityczną, to po wyborach może zostać wdową (co się poniekąd właśnie stało). Ale broni z pozycji



Z Marcinem Prokopem jako współprowadzący show TVN „Mam talent”, 2008 r.

zasadniczych: „wiara to nie jest sport, który można uprawiać w pojedynkę” – w Kościele jest ciekawiej i pewniej, bo ma arsenał środków, które Bóg zostawił, by człowiek mógł bezpiecznie wrócić do nieba.

Jednak z każdym rokiem antyklerykalne tony w publicystyce Hołowni się zaostrzają. Pisze, że jeszcze nigdy naczynia płynące z warszawskiej centrali nie było tak odkrojone od realnych problemów, a hierarchia jeszcze nigdy nie była tak zblatowana z władzą. I coraz częściej spotyka się z wrogością kościelnych funkcjonariuszy. Opisuje, że w czasie mszy, gdy prosi o komunię na rękę, zdarza mu się słyszeć sztorcowanie: Otwórz buzię, wystaw język. A nawet zarzuty, że „szatańska ręka prowadziła dłoń redaktora”. Punktem przełomowym była sytuacja, gdy w jednym z warszawskich kościołów w czasie kampanii prezydenckiej celebrians publicznie odmówił Hołowni komunii świętej, tłumacząc, że ze względu na głoszone przez niego poglądy sumienie nie pozwala mu jej podać. „Ale które? I przecież nie wie ksiądz nic o moim sumieniu, motywacjach, nie rozmawiał ksiądz ze mną, nie jest moim spowiednikiem». Na ten dialog patrzy cały Kościół. Nie odpuszczam, stoję. Minutę, dwie, trzy. Ksiądz (a w zasadzie ojciec, bo karmelita) grozi mi publicznie palcem, po czym wzdycha i udziela komunii, kręcąc głową, po czym znów grozi mi palcem jak dwuletniemu dziecku”.

W swojej najnowszej książce „Fabryka jutra” wraca do tego wydarzenia. „Wielu po lekturze tej opowieści wzruszy pewnie ramionami, mówiąc: wielkie halo, no i co z tego? Nie umiem znaleźć dostatecznie celnej metafory, ale wiercie mi: dla człowieka, dla którego komunია to rzecz naprawdę fundamentalna i od lat praktykowana, oś życia duchowego, sam sens Kościoła – polegający przecież na włączaniu, a nie wykluczaniu – było to coś gorszego od publicznego spoliczkowania przez najbliższego przyjaciela. Wychodząc z Kościoła, pomyślałem sobie też o tym, że warto może mieć i takie doświadczenie, żeby móc później lepiej zrozumieć tych, którzy przez moją wyznaniową wspólnotę są (albo czują się) wykluczani”. Przynajmniej, że to był moment, gdy coś w nim nieodwracalnie pękło. „Skończyła się moja ufnosć w relacji z Kościołem jako instytucją, poczucie stabilności, przekonanie, że niezależnie od tego, do której świątyni wejde, a nawet jakie głupoty będzie w niej czasem wygadywał ksiądz, będę tam na prawach domownika. Teraz czuję się bardziej jak gość, który za każdym razem musi przekonywać sam siebie, że ma prawo wejść i non stop powinien być gotowy na to, że zostanie wyproszony”.

Deklaruje, że nadal codziennie w drodze do pracy odmawia różaniec, stara się znaleźć chwilę na modlitwę przed ikonami



Z żoną Urszulą, pilotem myśliwca MiG-29, 2020 r. Jako gość u dominikanów, 2009 r.

i lekturę kawałka Pisma Świętego, ale chodzi już tylko do jednego kościoła, w którym czuje się bezpiecznie i gdzie „kazanie jest zawsze o Biblii”. Przynajmniej, że momentami był bliski machnięcia ręką na Kościół, bo potrafiłby sam ułożyć sobie relacje z Bogiem. Jednak został, bo ciągle są w nim ludzie, którzy chcą, by zgodnie z wizją papieża Franciszka Kościół stał się „szpitalem polowym”. Wśród bliskich sobie postaci wymienia papieskiego jałmużnika kard. Konrada Krajewskiego, siostrę Małgorzatę Chmielewską czy siostry służebniczki, które prowadzą sierociniec w afrykańskim Kasisi. To one stały się dla niego inspiracją do założenia fundacji. „Jeśli widziałeś w Kościele takich ludzi, tak czyste chodzące egzemplarze Ewangelii, nie przepędzi cię z niego jakiś opętany walką z wydumaną ideologią LGBT arcybiskup” – tłumaczy. Do zambijskiego Kasisi trafił, zbierając materiały do książki. Odwiedził sierociniec i pomyślał, że warto wreszcie jego działalność.

Jak mówił w jednym z wywiadów, sporo dziennikarzy w jego wieku decyduje się przekroczyć granicę między opisywaniem świata a jego stwarzaniem. Z własnych pieniędzy kupił dla sierocińca inkubator, finansował remonty, ale środki szybko się skończyły. Pomyślał, że sam tego nie udźwignie, i w 2013 r. założył Fundację Kasisi, a niedługo potem kolejną – Dobra Fabryka, która pomaga m.in. mieszkańcom Bangladeszu, Burkina Faso, Mauretanii, Rwandy czy Senegal. Finansuje ośrodki prowadzone przez polskich misjonarzy i lokalne wspólnoty, które opiekują się sierotami, ofiarami przemocy, handlu ludźmi, trędowatymi. Jak deklaruje, korzenie tej misji tkwią w Ewangelii. „To bardzo uniwersalny, wymagający, ale niezwykle inspirujący program. Idąc tą drogą, po tych znakach, za tym Człowiekiem, naprawdę jesteś w stanie wycisnąć z siebie rzeczy, o których ci się nie śniło. Nawet jeśli ktoś nie wierzy w Boga, to społecznie przesłanie Ewangelii jest po prostu wysoce humanistyczne” – pisze. O walce ze złym światem opowiada w prostych słowach – trzeba tworzyć świat dobry, bo to zabiera złemu przestrzeń, zasoby i tlen.

Pójdzie do polityki też potraktował jak misję. Kluczowym momentem było dla niego zabójstwo prezydenta Gdańska, Pawła Adamowicza, podczas finału Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. Poczul, że w Polsce coś jest bardzo nie tak. Nie mogąc dłużej na to patrzeć, postanowił zaangażować się w politykę, by – jak mówi – zmieniać ją nie na kadencję, ale na pokolenia. Choćby ze względu na własne dzieci. Podtytuł książki „Fabryka jutra” brzmi: „Jak postanowiłem rzucić wszystko i uratować świat mojej córki”. Dziś z żoną Urszulą, pilotem myśliwca MiG-29, mają już dwójkę – 5-letnią Marysię i 2-letnią Elę.

O polskim Kościele i jego hierarchach wypowiada się bez litości, jako o tych, którzy chyżo i stanowczo dążą do układania życia innym, truchlejąc, gdy idzie o przywrócenie ewangelicznych standardów we własnych szeregach; choćby w kontekście kryzysu pedofilskiego. „Dziś na moich oczach realizuje się – co konstatuję bez satysfakcji – teza, którą głosiłem od dobrych dziesięciu lat: największym wrogiem polskiego Kościoła nie jest nikt z zewnątrz, lecz on sam”. Namawia polski Kościół, by „zdjął krzyżacki płaszcz” i zajął się budowaniem więzi społecznych – aczkolwiek chyba bez wielkiej wiary w realizację tego postulatu. Kwestię rozdziału Kościoła od państwa traktuje w sposób radykalny, podkreślając, że jako praktykujący katolik ma do tego szczególny mandat.

Już jako kandydat na prezydenta deklarował w kampanii, że klęcznik prezydencki z warszawskiej katedry odeśle do muzeum i nie powoła prezydenckiego kapelana. W debacie podczas kampanii parlamentarnej mówił o potrzebie rozdzielenia ceremonii kościelnych od państwowych, żeby – jak przekonywał – dało się odróżnić posiedzenie Sejmu od mszy, a ministra od ministra. Fundusz Kościelny? Do likwidacji – trzeba to wreszcie rozwiązać. Zamiast tego dobrowolne odpisy podatkowe, takie jak na organizacje pożytku publicznego. Na związki wyznaniowe płacą ci, którzy tego chcą. Kościoły dostają tyle pieniędzy, ile dadzą im ludzie, a nie politycy. Zwrot majątków? Bywa, że ociera się o kryminał. W czasie kampanii w wypowiedzi dla „Gazety Prawnej” powoływał się na przypadek zmiany granic Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Chodziło o trzy działki na szczycie Łyśca, które chcieli przejąć (i ostatecznie przejęli) Misjonarze Oblaci Maryi Niepokalanej z 99-proc. bonifikatą. „To jest chyba jedyna działka w Polsce, która w ciągu tak krótkiego czasu staniała o 2 mln zł. Doskonale wiadomo, jak wyglądał ten mechanizm. Najpierw prośba Kościoła, później bestialstwo prawne – bo to trzeba sobie powiedzieć wprost – jakim było zabranie tej ziemi z obszaru parku narodowego i przekazanie starostwu, mimo że zrobione to zostało ze złamaniem prawa” – przekonywał.

Gdy przejrzeć 12-punktowy program Trzeciej Drogi, dotyczący rozdziału Kościoła od państwa, można powiedzieć, że partia nie bierze jeńców. Są tam m.in. postulaty, by skończyć ze ściganiem z urzędu przestępstw dotyczących obrazy uczuć religijnych, zlikwidować funkcje oficjalnych kapelanów (z wyjątkiem Wojska Polskiego, Policji i Straży Granicznej). Oprócz ujawnienia skali przepływów finansowych między państwem a Kościołem Trzecia Droga chce także powołania komisji, która szczegółowo zbada wszelkie nieprawidłowości finansowe w tej kwestii. O lekcjach religii mają decydować wspólnoty szkolne. Sytuację, w której biskup musi wyrazić zgodę, by wymiar katechezy zmniejszył z dwóch godzin do jednej, Hołownia nazywa absurdem.

Sytuacja komplikuje się, gdy w grę wchodzi kwestie światopoglądowe. W ostatniej książce Hołownia pisze: „Raz na jakiś czas strategicznie rzuca się na grilla coś, co spala 90 proc. energii społecznej (aborcja, związki partnerskie etc.). Polska przypomina tu kogoś, kto raz na jakiś czas samookalecza się, upuszczając sobie krwi, zamiast oddać ją w punkcie krwiodawstwa”. I postuluje, by tego rodzaju krytyczne kwestie rozwiązywane były w drodze referendum. Jednak jako kandydat na prezydenta deklarował, że podpisałby ustawę o związkach partnerskich. A co do aborcji, w „Fabryce jutra” pisze, że wie, jak podnieść rękę, jeśli doszłoby do głosowania za jej liberalizacją, ale tego nie precyzuje.

Może pewną sugestią są słowa, w których odpowiada na płynące ze strony kościelnej zarzuty, że zdradził, dokonując światopoglądowej wolty. Tłumaczy, że nie zmienił poglądów, ale perspektywę, bo co innego decydować w zgodzie z własnym sumieniem, a co innego decydować, że nie mogą tego robić inni.

JOANNA PODGÓRSKA

Grubej kreski nie będzie

Trwa publiczna debata o rozliczaniu. Jedni apelują o powściągliwość i zakopywanie, a nie pogłębianie społecznego podziału (m.in. prof. Marcin Matczak), inni argumentują, że nierozliczenie jest niemoralne i demoralizujące. Jeszcze inni po prostu chcą kar za zniszczenie praworządności i wizerunku Polski oraz zadośćuczynienia za krzywdy ludzi. Jakkolwiek traktować rozliczenie, jedno jest oczywiste: musi ono nastąpić. I to szybko. Przewlekane tego procesu będzie szkodliwe społecznie i politycznie. Zniszczy zaufanie ludzi do rządzących, skoro nie potrafią przywrócić zachwianego poczucia sprawiedliwości.

Już raz to ćwiczyliśmy: całe lata dziewięćdziesiąte jątrzył się spór o lustrację. Prawa strona żądała rozliczenia współpracowników peerelowskich służb specjalnych – mając zresztą nadzieję, że będzie mogła się w ten sposób pozbyć z życia publicznego części politycznej konkurencji. Reklamowała lustrację hasłem „prawda nas wyzwoli”. Strona liberalno-lewicowa ostrzegała, że „prawda” ubeckich archiwów jest zdradliwa i może służyć do krzywdzenia. A opinia publiczna widziała tyle, że rozliczenia agentów nie ma. Podobnie było ze sprawami karnymi o rozmaite zbrodnie PRL: śmierć Grzegorza Przemyka, księdza Jerzego Popiełuszki, górników z kopalni Wujek, i wcześniejszymi: strzały na Wybrzeżu w 1970 r., wydarzenia w 1976 r. w Radomiu czy stan wojenny. Procesy, w których uczciwie stosowano reguły proceduralne, poważnie traktowano prawo do obrony, zasadę domniemania niewinności i rozstrzygania wątpliwości na korzyść, trwały po kilkanaście lat, a opinia publiczna zostawała z poczuciem, że sprawiedliwości nie stało się zadość.

Bo sprawiedliwość to także widowisko. Teatrum dziejące się na oczach publiczności, z własnymi rytuałami, strojami, scenariuszem. Spektakl musi dojść do finału, zanim widzowie się zmęczą i odejdą

Niezależnie, jak rzecz nazwać: zemstą, sprawiedliwością władców państwa PiS i beneficjentów partyjnego układu

EWA SIEDLECKA



do swoich zajęć. Rozsądny czas to warunek poczucia dopełnienia się sprawiedliwości. Takiego dopełnienia nie było w przypadku rozliczania PRL, co dało polityczną siłę m.in. ugrupowaniu braci Kaczyńskich. Tej historycznej nauki nie powinno się zlekceważyć, jak stało się to po pierwszych rządach PiS.

Wyzwanie Ziobry

Na pierwszym posiedzeniu nowej kadencji Sejmu Zbigniew Ziobro rzucił z mównicy pod adresem niedawnej opozycji skandującą: „będziesz siedział!”, wyzwanie: „Liczę na was! Mam nadzieję, że nie okażecie się takimi fujaarami, jak w przypadku Trybunału Stanu!”. Ziobro przed nim nie stanął, bo zabrakło w głosowaniu kilku posłów. Dadzą radę tym razem? Przed Trybunałem Stanu Ziobro nie stanie, bo nawet z pomocą Konfederacji (18 głosów) rządząca większość nie zbierze koniecznych do tego 3/5 głosów (276, a koalicjanci mają 248). Chyba żeby kilku posłów PiS nie przyszło na głosowanie, obniżając potrzebną większość. Do postawienia mu (podobnie jak innym

członkom rządu, którzy dostali się teraz do parlamentu, w tym Mateuszowi Morawieckiemu i wicepremierowi Jarosławowi Kaczyńskiemu) zarzutów z Kodeksu karnego wystarczy jednak zwykła większość głosów. Ale prokuratura musiałaby chcieć wszcząć i rzetelnie poprowadzić śledztwo, a Ziobro na odchodne zostawił w prokuraturze swojego „awatara” – prokuratora krajowego, któremu przekazał kompetencje prokuratora generalnego i uczynił nieodwoływalnym bez zgody prezydenta Andrzeja Dudy.

Winy są różne: prawne, ale też moralne i polityczne. Polityczne zostały już rozliczone – decyzją wyborców. Moralne rozliczane są w publicystyce, politologicznych publikacjach. Winy prawne rozliczyć będzie najtrudniej, bo do tego potrzebna jest niezależna prokuratura i sądy, w których nie zasiadają sędziowie, beneficjenci państwa PiS. Uporządkowanie sądownictwa i prokuratury potrwa. A postawienie przed Trybunałem Stanu prezydenta, premierów i ministrów uniemożliwia brak odpowiedniej większości w Sejmie. Wszystko da się jednak zrobić, tylko potrzeba czasu.

czy wyrównaniem krzywd, rozliczenie musi się odbyć. A czas się liczy.



I cierpliwości. Tych zaś nie ma. Ludzie chcą sprawiedliwości tu i teraz.

Jak im ją dać? W szczególności: jak ją zrealizować, nie łamiąc prawa i wartości, w obronie których tak wielu ludzi poświęcało się – często dosłownie – przez osiem lat, a uliczne protesty były chyba najliczniejsze w powojennej historii Polski?

Ciało bez władzy

Do podnoszenia państwa ze zgliszczy, chcemy czy nie, trzeba będzie używać narzędzi, które przygotował PiS. Tak będzie w prokuraturze i sądach, których kierownictwo może być odwołane i powołane na nowo przez nowego ministra sprawiedliwości-prokuratora generalnego. To narusza konstytucyjną zasadę trójpodziału władzy i niezależności sędziów. Ale zanim to niekonstytucyjne prawo zostanie zniesione (a będzie to zapewne blokował prezydent Andrzej Duda), trzeba je będzie wykorzystać do wymiany niekompetentnych i dyspozycyjnych wobec władzy politycznej prezesów, wiceprezesów i dyrektorów sądów, szefów prokuratur, rzeczników

dyscyplinarnych sędziów i prokuratorów i inne osoby funkcyjne.

To niejedyne narzędzie PiS warte wykorzystania. Jest też patent na teatr sprawiedliwego rozliczenia. Po części spełnia go powołanie przez nowy Sejm trzech komisji śledczych: do sprawy wyborów kopertowych, do sprawy inwigilacji Pegasusem i afery wizowej. Dobry wybór tematów, bo to sprawy dobrze udokumentowane i stosunkowo proste w swoim mechanizmie. Jeśli przyjąć, że społeczne poczucie sprawiedliwości wymaga wspomnianego spektaklu z jego rytuałami, to komisje śledcze, które obrażają na oczach publiczności, są krokiem w dobrym kierunku. Chociaż nie wystarczającym, bo rozliczanie jednych polityków przez innych nie jest w pełni wiarygodne. Szczególnie dla zwolenników PiS będzie to dowód, że to nie żadne rozliczenie, tylko zemsta. Dlatego potrzeba ciała złożonego z niepolitycznych, prawnych i moralnych autorytetów.

Taką komisję trzeba by powołać uchwałą Sejmu. Nie musi mieć władzy, nie musi sprowadzać na zeznania pod przymusem

ani żądać dokumentów jak powołane przez PiS mocą specjalnych ustaw, kontrolowane przez prawników, komisja lex Tusk czy weryfikacyjna do spraw warszawskich reprzywatyzacji. Ale będzie miała autorytet i wiedzę, a na pewno znajdzie wielu świadków po obu stronach, którzy zechcą przed nią w świetle kamer składać wyjaśnienia i dokumenty.

Po co takie ciało, które nie ma władzy? Żeby dokonać aktu sprawiedliwości w sposób symboliczny, zanim będzie to możliwe przy użyciu normalnie do tego powołanych organów państwa. A więc żeby dać ludziom poczucie, że „spisane są czyny i rozmowy”, winy nie są zapomniane, a sprawiedliwości staje się zadość. Była opozycja już ten pomysł wykorzystwała, powołując senacką Komisję Nadzwyczajną ds. inwigilacji Pegasusem. Nie mogła nikogo ani oskarżyć, ani ukarać, ale dzięki jej działalności zgromadzono dokumentację i wiedzę, która może posłużyć do zmiany prawa inwigilacyjnego i do wykorzystania przez niezależną prokuraturę w śledztwie w sprawie inwigilacji politycznych przeciwników przez władzę. ►

► Komisja Prawdy i Zadośćuczynienia

Podobnie: Komisja – nazwijmy ją roboczo Prawdy i Zadośćuczynienia – miała by za zadanie zebrać dowody, wysłuchać świadków i zakwalifikować konkretne czyny jako podlegające lub nie odpowiedzialności prawnej (przed Trybunałem Stanu, przed sądem powszechnym czy odpowiedzialności odszkodowawczej), odpowiedzialności dyscyplinarnej i służbowej, ewentualnie odpowiedzialności moralnej przez publiczne napiętnowanie.

Drugim ważnym zadaniem byłoby danie pokrzywdzonym zadośćuczynienia moralnego. Cokolwiek powiedzieć o pracy tzw. Komisji Weryfikacyjnej pod przewodnictwem Patryka Jakiego, dała ona taką możliwość pokrzywdzonym lokatorom. Oszukani przez nieuczciwych prawników i deweloperów lokatorzy przedwojennych kamienic mogli publicznie opowiedzieć o szykanach, które przeżyli, o swej walce nie tylko o dach nad głową, ale i o godność. Mogli opowiedzieć o urzędniczej indolencji i wskazać osoby, które albo w oszustwie uczestniczyły, albo do niego dopuściły, nie wykonując swych obowiązków. Skoro uznajemy, że wymierzanie sprawiedliwości to swego rodzaju teatr, który musi się odbywać publicznie i uroczystie, żeby przynieść społeczny skutek, to taka właśnie pracująca w świetle kamer, ujawniająca przestępstwa czy niemoralne procedury, mechanizmy i powiązania, komisja jest do czynienia sprawiedliwości idealna.

Na pewno zgłoszą się do niej „skruszeni”, którzy w zamian za puszczenie w niepamięć win niekryminalnych zechcą zeznawać przeciwko „swoim”. Tak było w sprawie afery hejterskiej w Ministerstwie Sprawiedliwości, tak będzie i teraz. Pojawią się prokuratorzy chcący zeznawać o naciskach na „skręcanie” śledztw, a oni mogą legalnie udostępnić „osobom trzecim” wiedzę z prowadzonych przez siebie spraw. Do wykorzystania są kontrole NIK i materiały zebrane w wyniku licznych kontroli poselskich opozycji w zeszłej kadencji Sejmu. Komisja mogłaby też wnosić o udostępnienie przez rząd nowej koalicji odpowiednich dokumentów z wewnętrznych i zewnętrznych audytów.

Komisja Prawdy i Zadośćuczynienia, zajmując się kolejno aferami PiS, do badania których nie sposób powołać stu komisji śledczych, ma szansę dać społeczeństwu poczucie, że sprawiedliwości staje się zadość. Rozdzielili to, co można tylko potępić, od tego, co można zmienić na akt oskarżenia. Gdy prokuratura gotowa już będzie do pracy bez nacisków, dostanie materiał,

na podstawie którego można będzie już bez zbędnej zwłoki domknąć śledztwa, stawiać zarzuty, a może i pisać akt oskarżenia. Pojawi się też zapewne prywatny nurt rozliczeń: procesy o ochronę dóbr osobistych, o mobbing czy pomówienie.

Jeśli chodzi o odpowiedzialność przed Trybunałem Stanu, to głosów koalicji wystarczy do postawienia przed nim prezesa NBP Adama Glapińskiego (np. za sprzeniewierzenie się zasadzie ochrony polskiej waluty przez dodrukowywanie pieniędzy, zasadzie niezależności NBP przez skupowanie państwowych obligacji na rynku wtórnym, czyli dotowanie rządu). Wystarczy ich też do postawienia przed TS przewodniczącego KRRiT Macieja Świrskiego i członków KRRiT za to, że nie egzekwowała przestrzegania ustawy medialnej przez tzw. media publiczne, dopuszczając notoryczne kłamstwo, dezinformację i szczyt na wybrane grupy społeczne.

Natomiast chyba dopiero w następnym Sejmie będzie można zrealizować te ustalenia komisji, które nadają się do postawienia przed Trybunałem Stanu członków Rady Ministrów, premiera i prezydenta. Pod warunkiem rzecz jasna, że koalicja zdobędzie w następnych wyborach 3/5 wszystkich miejsc w Sejmie. Ale zgromadzony byłby już materiał. Rękopisy nie spłoną – poczekają na możliwość ich wykorzystania. To da opinii publicznej gwarancję, że sprawa na ustaleniach komisji się nie skończy. A one, i bez procesu, będą miały wpływ na dalsze, polityczne czy biznesowe kariery notabli Państwa PiS.

Siła autorytetu

Aby tak się stało, Komisja Prawdy i Zadośćuczynienia powinna być wiarygodna nie tylko dla antypisowskiej, ale i propisowskiej części społeczeństwa. To zgodne z postulatem, by rozliczać PiS, a nie jego wyborców, zasypywać społeczne podziały polityczne i emocjonalne, skończyć z „obywatelami gorszego sortu”. I by nie tworzyć kolejnego założycielskiego mitu PiS (już zapewne „po Kaczyńskim”) jako formacji zniszczonej pomówieniami politycznych wrogów. Jeśli komisja ma być wiarygodna, powinna się składać z autorytetów – przede wszystkim prawnych – które nie bratały się z żadnym politycznym ugrupowaniem, a swoją krytykę wyrażały w sposób wyważony i merytoryczny.

To trudne, bo takie osoby narażają się na ataki niemające nic wspólnego z kulturą języka, wyważeniem i merytoryką. Ale – jak wszyscy – także wyważone autorytety mają przekonanie, że sprawiedliwość musi się wydarzyć, by zjawisko

autorytarnego rządu za pomocą politycznego i moralnego bezprawia nie powtórzyło się za cztery lata. Więc mogą się tego podjąć „ku chwale ojczyzny”, jak mawia prof. Ewa Łętowska.

Kto mógłby być w tym gronie? Np. sędziowie Trybunału Konstytucyjnego w stanie spoczynku, którzy nie sędzili w TK pod rządami Julii Przyłębskiej i nie byli politykami (choćby wspomniana prof. Łętowska (prawo cywilne i administracyjne), prof. Andrzej Zoll (prawo karne), prof. Mirosław Wyrzykowski (prawo administracyjne), prof. Teresa Dębowska-Romanowska (prawo gospodarcze), prof. Marek Safjan (właśnie odchodzi w stan spoczynku po ponad dwóch kadencjach w TSUE), adwokat Wiesław Johann (teraz przedstawiciel Sądu Najwyższego w neo-KRS), dr hab. Ryszard Piotrowski (prawo konstytucyjne, przeciwnik naginania prawa przy „sprzątaniu po PiS”) czy „od zawsze” zastępca RPO Stanisław Trociuk, wybitny prawnik nieuczestniczący w debacie publicznej o nie-rządach PiS. A także sędziowie Sądu Najwyższego w stanie spoczynku, jak Stanisław Zabłocki, czy ci, którzy byli członkami KRS, zanim została sprostytuowana przez PiS, jak wybitny sędzia karny Marek Celej. Można do komisji zaprosić także prawników średniego pokolenia, którzy dali się poznać w debacie publicznej jako merytoryczni krytycy poczynań władzy PiS, jak prof. Marcin Matczak (prawo konstytucyjne, przeciwnik naginania prawa przy rozliczeniach, zwolennik zasypywania podziałów) czy profesor Uniwersytetu Śląskiego dr hab. Tomasz Pietrzykowski (etyka prawa). Honorowym przewodniczącym takiej komisji mógłby być prof. Adam Strzembos, pierwszy komunistyczny prezes Sądu Najwyższego, zwolennik lustracji i krytyk sposobu weryfikacji środowiska sędziowskiego po 1989 r.

Komisję można powołać przyjętą w uroczystej sprawie uchwałą Sejmu. I w równie uroczystej sprawie przedstawić na forum Sejmu jej roczne sprawozdanie. Do czasu, aż uporządkowany zostanie wymiar sprawiedliwości, zdąży ona sporządzić – w formie „Białej Księgi” – końcowy raport, który da podstawy do konkretnego, prawnego rozliczenia. Komisja złożona z autorytetów, które odznaczają się kulturą, dystansem, wiedzą, doświadczeniem i odpowiedzialnością, może swoją pracą zadośćuczynić powszechnej potrzebie sprawiedliwego rozliczenia i nie pożegluje w kierunku odwetu.

Warto, by politycy, środowiska prawnicze poważnie rozważyły ten pomysł. Sprawiedliwość nie powinna czekać.

EWA SIEDLECKA

Andrzej Duda wchodzi w rolę, w której dotąd, poza krótkim czasem w 2015 r., nie występował. Będzie miał po stronie rządowej obcą i wrogą politycznie koalicję. Jak sobie poradzi w tych nowych okolicznościach?

Ułudy Dudy

RAFAŁ KALUKIN

Po Andrzeju Dudzie od początku było widać, że najlepiej czuje się w konkretnie skrojonych rolach, których dostarcza mu rzeczywistość. Bywał już energetycznym kandydatem w kampanii, komiwojażerem „dobrej zmiany” w pierwszej fazie rządów PiS, wybudzonym na krótką chwilę ze snu strażnikiem konstytucji, okazjonalnym mężem stanu i przyjacielem Ukrainy. Każda kreacja wcześniej czy później się jednak wypala, a głowa państwa popada wtedy w znużenie i na jakiś czas znika z widoku, przypominając o sobie jedynie za sprawą celebracji, doniesień o narciarskich wyjazdach, błahych pałacowych plotek. Wraca z przytupem dopiero wtedy, kiedy coś się wydarzy i można wejść w kolejne wcielenia. To jedyny sposób na odświeżenie sensu prezydentury, nadanie jej jakiegokolwiek treści.

Kolejną taką okazją były październikowe wybory. Bo wcześniej Duda sprawiał wrażenie coraz bardziej odrętwiałego, przynajmniej od kiedy zaczęła wygasać jego wielka przyjaźń z Wołodymyrem Zełenskim. Nie było już czego publicznie demonstrować, a zajęcie się polityczną robotą nad redukowaniem napięć na linii Warszawa–Kijów wymaga jednak determinacji, no i pewnych kwalifikacji. Z braku ciekawszych zajęć Duda pokręcił się trochę przy kampanii, podczepiając się ściśle pod pisowskie przekazy dnia, zapewne w przekonaniu – wspólnym całej formacji – że te wybory przedłużą rząd Kaczyńskiego o kolejną kadencję. Niestety wyborcy zawiedli i teraz trzeba się w tej sytuacji jakoś odnaleźć.

Gdyby prezydent był jakimś innym Andrzejem Dudą, obdarzonym nieco większym talentem politycznym, pewnie rozważałby po 15 października dwa scenariusze. Z jednej strony miał ▶



Prezydent Duda podczas zaprzysiężenia „chwilowego” rządu premiera Morawieckiego.

► wszelkie podstawy, żeby już po ogłoszeniu wyników uznać zmianę polityczną za dokonaną, co byłoby sprzyjającą okazją do gruntownej przebudowy modelu relacji z odchodzącą władzą w kierunku większej niezależności. Wyjaśnić dotychczasowym wyborcom byłoby to nietrudno: coś w Polsce pękło, coś się skończyło, trzeba się pogodzić i reagować na bieg rzeczywistości.

W tej sytuacji nie pozostałoby Dudzie nic innego, jak od razu desygnować na premiera wskazanego przez nową większość Donalda Tuska. Publicznie mu wszakże komunikując własne oczekiwania bądź wątpliwości, a najlepiej po prostu w miarę jasno zakreślając granice akceptacji dla polityki przyszłego gabinetu, po przekroczeniu których można spodziewać się prezydenckiego weta.

Godnie czy partyjnie?

Tak właśnie w cywilizowanym państwie powinny układać się relacje niezależnych od siebie ośrodków władzy wykonawczej. Byłby to zatem scenariusz wpisany w ustrojową logikę i ducha konstytucji, niemniej wart też rozważenia z przyczyn politycznych, gdyż w jakiejś mierze umożliwiający Dudzie ewakuację ze strefy konfliktu w wojnie PO-PiS. Akurat kiedy weszła ona w bardzo niekorzystną dla prawicy fazę, a do tego na własnych warunkach i bez ujmę na prezydenckim honorze. Oczywiście PiS byłoby taką woltą srodze zawiedzione i nie brakowałoby cierpkich komentarzy. Ale czy aż tak, że ktokolwiek ze świty Kaczyńskiego odważyłby się zapisać Dudę do „partii niemieckiej” Tuska? Trudno to sobie mimo wszystko wyobrazić.

Scenariusz alternatywny to z kolei reakcja partyjna, czyli to, co się dzieje. Wątpliwa z perspektywy ustrojowej, niemniej politycznie też uzasadniona. Bo nie czarujmy się, polityka ma swoje prawa, konflikt pozostaje głęboki i każdy zmuszony jest grać w jakiejś drużynie, bez względu na oficjalnie pełnione role. Teraz mamy konstrukcję „nasz prezydent, wasz premier” (albo odwrotnie, bo zależy z której strony spojrzeć), przy czym oba bieguny wzajemnie się odpychają, trzeba więc nastawiać się na wrogą kohabitację.

W takich okolicznościach można pograć konstytucyjnymi terminami i posłać z kaskaderską misją znalezienia większości dla nowego rządu Morawieckiego. Tylko oznacza to wypowiedzenie wojny nowej większości. Wypadałoby więc wcześniej przygotować się do takiej gry, określić jej cele i stawki. Przede wszystkim uzgodnić nowy model współpracy prezydenta z PiS – z uprzywilejowaną pozycją głowy państwa – oparty na koordynacji działań

i gwarancjach wzajemnego wsparcia. Tak żeby wyłonił się z tego monolit, którego przeciwnik nie będzie w stanie rozgrywać.

Wróćmy jednak do realnego Andrzeja Dudy i przyjrzyjmy się jego poczynaniom. Niewątpliwie zależy mu na tym, żeby jakoś odnaleźć się w roli rozgrywającego sceny politycznej, którą podsuwa mu konstytucja. Tyle że prezydentowi chyba trudno jest się zdecydować, co warto obstawić. Jak zawsze chciałby powszechnego szacunku, co skłania do tego, żeby spróbować stanąć ponad konfliktem i pokazać się jako arbiter. Problem w tym, że na spolaryzowanej scenie to raczej niewykonalne. Istnieje wręcz ryzyko, iż porzucając partyjny gorset, straci się uznanie tych, którzy go dotąd szanowali bezwarunkowo, nie zaskarbiając sobie w zamian ani grama szacunku drugiej strony, dla której Duda pewnie już na zawsze pozostanie „Adrianem”.

Z podobnymi dylematami prezydent już nieraz w przeszłości się zmagał i za każdym razem dochodził do prawej ściany. Przed paroma laty zdobył się nawet w rozmowie z dziennikarzem na tyle szczere, co infantylne wyznanie, iż „nie da się być prezydentem wszystkich Polaków, bo nigdy nie będzie tak, że wszyscy Polacy na pana zagłosują, wszyscy będą się z panem zgadzali, aprobowali”. Ano nie będzie i w tym właśnie cała sztuka, żeby w gąszczu skonfliktowanych wartości i wykluczających się oczekiwań odnaleźć wspólnotowy fundament, a następnie pieczołowicie go chronić przed próbami upartyjnięcia, stale uaktualniać. Tylko trzeba wiedzieć, jak się do tego zabrać.

Jeździec bez głowy

Zamiast klarownej ścieżki oglądamy więc dosyć nieporadny spektakl przywdziewania masek, wdzięczenia się i wygrażania, celebrowania prezydenckości i lojalności wobec swoich. Stara się Duda pokazywać Tuskowi, jaki to z niego twardy i nieustępliwy zawodnik. A już po chwili obnosi z troską państwową, przybierając pozę najwyższego dostojnika, strażnika konstytucji, męża stanu. Na oko obie te wersje Andrzeja Dudy słabo do siebie przystają, przynajmniej wyeksploatowane w bezpośrednim sąsiedztwie, ale prezydentowi to jakoś nie przeszkadza.

Efekty bywają zaskakujące, jak w przemówieniu wygłoszonym z sejmowej trybuny na otwarcie nowej kadencji. Już wydawało się, że głowa państwa tym razem poprzestanie na mowie uwznioślającej, wypełnionej ogólną kurtuazją i cytatami

klasyków, kiedy zmienacka odpalił skrypt pisowski i zaczął straszyć przyszłego premiera wetami. Chociaż najbardziej zadziwiło ostrzeżenie, żeby Tusk sobie nie myślał, iż weta mogą stanowić alibi dla niezrealizowanych wyborczych obietnic. Kolidowało to zresztą dosyć mocno z przebiegiem wcześniejszych konsultacji w Pałacu Prezydenckim, kiedy to Duda – według nieoficjalnych relacji – narzucał się zdystansowanemu Tuskowi, wręcz próbując na siłę się zaprzyjaźnić. Ale może właśnie ów przypływ stanowczości wziął się właśnie z poczucia odrzucenia?

Podobny mikś statecznej głowy państwa i zarazem wiernego strażnika pisowskiego dziedzictwa odnajdujemy w okładowym wywiadzie dla „Sieci” z ubiegłego tygodnia. Duda znów próbuje włączyć do rządu miejsca wedle konstytucyjnej hierarchii („Ja jestem prezydentem, ale Donald Tusk nie jest moim kandydatem na premiera”), mydli oczy w sprawie desygnowania Morawieckiego („dobra tradycja parlamentarna, zgodnie z którą to zwyczajnie ugrupowanie jako pierwsze otrzymuje misję tworzenia rządu”), śle ostrzeżenia pod adresem przyszłej rządzącej koalicji oraz odwraca kota ogonem w ocenie minionej ośmiolatki

(„Z weta zresztą nieraz korzystałem. Teraz również nie zawaham się tego zrobić, jeśli uznam, że rządzący będą próbowali naruszać konstytucyjne normy, obchodzić czy nagiąć obowiązujące w Polsce prawo”), odświeża się w roli patrona zdobyczy socjalnych swojego obozu („Będę stał na straży najważniejszych osiągnięć ostatnich ośmiu lat, w tym licznych programów społecznych, które poprawiły życie Polaków”).

Nie mogło się oczywiście obyć bez nawiązania do typowej dla PiS suwerennościowej paranoi, jak również szczypty propagandowego bełkotu o „koalicji polskich spraw”, czyli suflowanej na wielu frontach politycznej konsumpcji nagle rozbudzonego po 15 października miłosnego afektu PiS do ludowców. Którzy – jak można się domyślić – na razie zdecydowali się niestety służyć sprawom niepolskim, ale też w stanie swoistego ubezwłasnowolnienia, pod „dyktatem Donalda Tuska”, z którego PSL trzeba będzie w przyszłości wyrwać.

Tak przynajmniej sugerują rozmawiający z Dudą dziennikarze „Sieci”, ten jednak robi krok w tył i stwierdza, iż jego „rolą nie jest ani przekonywanie nikogo do jakiegokolwiek koalicji parlamentarnej, ani odwożenie od niej”, a jedynie zachęca do rzeczonyj „szerokiej koalicji polskich spraw”. Zaraz jednak dodając, iż „w waż-



nich tematach poglądy Zjednoczonej Prawicy i ludowców są zbieżne w zdecydowanej większości”, o czym pan prezydent nieraz nawet przekonywał się osobiście.

To w końcu jak? Duda ani myśli nikogo przekonywać czy może jednak zachęca? Można się w tym nieźle pogubić, chociaż najbardziej zagubiony wydaje się sam prezydent, który z pewnością chciałby wreszcie dowiedzieć, że potrafi być politykiem sprawczym, tyle że nie umie tworzyć planów ani strategii, bo sam nie wie, czego tak naprawdę chce. Pewnie już się przez te lata nauczył, że samym tylko gadaniem nie da się deficytu sprawczości wypełnić.

Pierwsza linia frontu

Głównie więc markuje grę, zamiast ją prowadzić. Coś tam sugeruje, ale nie stawia kropek nad „i”. Najlepiej byłoby pewnie zadowolić obie strony sporu, tylko że to niemożliwe. Zadziwiające są mimo wszystko medialne pojękiwania współpracowników Dudy z pałacu, którzy już teraz zdają się truchleć na myśl o tym, że Tusk szykuje im „przemysł pogardy”, jak kiedyś Lechowi Kaczyńskiemu. Cóż, trzeba było o tym pomyśleć wcześniej, zanim zapadła decyzja o komedii z szukającym większości Morawieckim oraz wyrażaniu wetami. Bo nie ulega przecież wątpliwości, iż klucz do relacji prezydenta z przyszłym premierem dzierżył po 15 października właśnie Andrzej Duda. Powinien więc zdawać sobie sprawę, że wykopując topór wojenny, sam się wpycha na pierwszą linię frontu, bo trudno było przecież zakładać, iż Tusk przejdzie do porządku dziennego nad perspektywą wetowania mu ustaw i pokornie przyjmie rolę petenta.

W takiej samej sytuacji znalazł się po 2007 r. Lech Kaczyński, o czym Duda mówił w tygodniku braci Karnowskich. Pamięć ma zatem dobrą, tylko co z refleksją? Publiczne przywoływanie teraz nieszczęsnego „przemysłu pogardy” świadczy raczej już o tym, że otoczenie Dudy przyswaja sobie głównie proste impresje. Wymyślone przez publicystę Piotra Zarembę pojęcie „przemysłu pogardy” od początku było przecież problematyczne, chociaż w kręgach pravicowych – nienawykłych jeszcze do skrajnej polaryzacji oraz rodzącej się kultury memu – bez wątplenia traktowano je poważnie. Po Smoleńsku zostało jednak do cna wyeksploatowane przez propagandę PiS, która potrzebowała symbolu męczeństwa niezjącego prezydenta, rzekomo upokorzonego jeszcze za życia. A po 2015 r. straciło wszelki sens

po tym, co zaczęli wyczyniać redaktorzy i paskowi TVP. Po co do tego wracać?

Specyficzna konstrukcja psychiczna Dudy, jego rozchwianie i niepewność, odpowiadają za to, że bardzo łatwo jest go rozgrywać. Wystarczy wziąć pod włos i dowartościować jego niespełnioną prezydenckość, innym razem brutalnie zaś wskazać odległe miejsce w szyku. Jeżeli parę razy zdarzyło mu się stanąć okoniem wobec Jarosława Kaczyńskiego, to tylko dlatego, że prezes odczuwał wobec niego zbyt wielką pogardę, żeby uprawiać psychologiczne gierki.

O tym, jak rozgrywał polskiego prezydenta Zełenski, można z kolei przeczytać w świeżo wydanej „Polsce na wojnie” Zbigniewa Parafianowicza, będącej zbiorem relacji dyplomatów i współpracowników prezydenta o kulisach polskiej polityki wobec Ukrainy po 24 lutego 2022 r. Wynika z niej, iż zbudowana tuż po wybuchu wojny przyjacielska relacja łącząca obu przywódców trwała jedynie kilka miesięcy, z czasem wyparta przez logikę interesów. Osamotniony początkowo Zełenski potrzebował bowiem Polski, która gorliwie opróżniała swoje magazyny z uzbrojenia, ponaglała do tego innego kraje i na każdym kroku strofowała opornych Niemców. Kiedy już jednak przekazała wszystko co miała, a do geopolitycznej gry na Wschodzie z impetem przystąpiły wreszcie Niemcy, ukraiński prezydent bez najmniejszych skrupułów wymienił sobie adwokata na możniejszego i dużo lepiej ustosunkowanego w Europie. Tyle że Duda nawet nie zauważył, że przyjaciel gdzieś mu odpływa. Najpierw długo rozkoszował się odgrywaniem roli pierwszego przyjaciela Ukrainy na oczach świata, potem zaś – kiedy przyszedł czas na refleksję, jak wpisać akty strzeliste w polityczną strategię – po prostu się znudził i zapadł w drzemkę. I nim się zorientował, Ukraina mu odjechała.

Najwyższy pionek

I teraz – co nie jest tajemnicą – także jest używany. Zwłaszcza przez nadaktywnego w mediach szefa prezydenckiego gabinetu Marcina Mastalerka, który stał się kimś w rodzaju wiceprezydenta, oficjalnego interpretatora niezborynych zachowań swojego szefa. A pewnie też zakulisowym suflerem opowieści o Dudzie ubiegającym się o sukcesy po Kaczyńskim, o dziwo ochoczo przejętej przez media, chociaż to scenariusz już na pierwszy rzut oka niedorzeczny, przynajmniej biorąc pod uwagę elementarny brak jakichkolwiek

zdolności przywódczych Dudy. Chyba że miałby ogrywać rolę figuranta, którym manipulują zwalczające się koterie, ale to przecież prosty przepis na anarchię i rozpad. Niemniej szukającemu swojego miejsca na prawicy ambitnemu Mastalerkowi, mającemu przy tym porachunki z Kaczyńskim, takie spekulacje są oczywiście na rękę. Duda to wehikuł jego kariery, więc stara się nim kierować.

Używa również prezydenta jego polityczny obóz, swoją drogą przeżywający teraz ciężkie chwile. Kaczyński wyraźnie chciał uniknąć wewnętrznej dyskusji o przyczynach porażki, od razu po wyborach nakazując bić w propagandowe werble i straszyć końcem demokracji oraz nieuchronną wyprzedzałą polskiej suwerenności. W bitewnym zgiełku trudno jest bowiem dyskutować. Tyle że skokowa radykalizacja wyjątkowo nie pokrywa się z nastrojami Polaków, których dodatkowo zresztą zmobilizowała do głosowania przeciwko ustępującej władzy jej brutalna kampania. Duda jest więc teraz potrzebny do uwiarygodnienia przekazu Nowogrodzkiej, jego państwowej autoryzacji.

Pytanie: jak odnajdzie się w tej sytuacji Donald Tusk? Teoretycznie lider nowej większości jest zakładnikiem głowy państwa, gdyż nie dysponuje wystarczającą przewagą, żeby weto odrzucać. Tylko czy krzepkie odezwy Dudy z ostatniego czasu nie są tylko maską, elementem nowej konwencji, którą wcześniej czy później prezydent zdąży się znudzić i wtedy odpuści? Tego nie można wykluczyć, a – przyglądając się całości tej prezydentury – wręcz należałoby tak obrót spraw zakładać. Niedawna deklaracja, że Duda nie ma nic przeciwko refundacjom dla in vitro – chociaż dawniej był jej przeciwny – zdaje się być może już teraz sugerować, że wcale nie zamierza umierać na ołtarzu przegranych spraw i nawet w tych trudnych można się z nim dogadać.

W przyszłości może być oczywiście inaczej, bo też nie jest to figura spójna i w pełni przewidywalna, o czym przekonywał się już Kaczyński. Chociaż z punktu widzenia Tuska obecny prezydent wydaje się przeciwnikiem pod wieloma względami wręcz wymarzoną. Bo pozbawionym zmysłu strategicznego, bez silnego wsparcia swojego obozu, podatnym na zewnętrzne wpływy, próżnym i łasym na splendory, wreszcie obdarzonym słomianym zapamię, ze skłonnością do wycofywania się i poszukiwania świętego spokoju. Właściwie to sam się prosi o to, żeby go kolejny raz porządnie rozegrać. Dwa lata to szmat czasu.

RAFAŁ KALUKIN



Prof. Kim Scheppele, socjolożka, o tym, jakie metody ma demokracja, aby poradzić sobie ze skutkami rządów populistów.

Będzie wrzask



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

JACEK ŻAKOWSKI: – **Czy konstytucja może być niekonstytucyjna?**

KIM SCHELPELE: – Oczywiście!

Jakim cudem?

Sama się dziwię, ale powiem to za Carlem Schmittem, z którym się z zasady nie zgadzam.

Bo był prawnikiem nazistów?

Tak, ale wcześniej był szanowanym niemieckim konstytucjonalistą. Nim pojawił się nazizm, Schmitt pisał o konstytucji jako ogólnej zgodzie co do formy rządu panującej w jakimś społeczeństwie, narodzie czy państwie.

Konstytucja to taki porządek, który ludzie uznają?

To dobrze widać w Polsce. Badania pokazują, że 80–90 proc. społeczeństwa wierzy w demokrację, niezależne sądy, wolne i uczciwe wybory, trójpodział władz, cywilną kontrolę nad wojskiem. To są polskie wartości konstytucyjne i taka jest treść polskiej konstytucji bez względu na to, jakie zapisy zawiera uchwalona formalnie ustawa konstytucyjna. Na tym po 1989 r. polegało przejście od władzy monopartii do wielopartyjnego systemu wymiany elit rządzących, rozliczania władzy i praw obywatelskich.

Które się dokonało, zanim nowa konstytucja została formalnie uchwalona.

Na tych samych konstytucyjnych wartościach opierała się postkomunistyczna transformacja we wszystkich krajach bloku sowieckiego, zanim jeszcze uchwalono nowe pisane konstytucje, które odzwierciedlały je w lepszy lub gorszy sposób. A teraz mamy czas transformacji postpostkomunistycznej albo postdemokratycznej, kiedy część rządów chce, by konstytucje pisane chroniły wartości sprzeczne z wartościami konstytucyjnymi.

Czyli prawdziwe konstytucje są w głowach społeczeństw...

Tak!

... a władza chce używać pisanej konstytucji tak, by stworzyć jakiś inny porządek.

W tym problem. Kiedy konstytucja pisana nie jest zgodna z konstytucją, którą ludzie mają w głowach, porządek konstytucyjny staje się niebezpiecznie kruchy. Modna teoria mówi, że pisana konstytucja musi być społecznie „wyobrazona”, czyli postrzegana przez ludzi jako wspólna wizja. Może nie jako obraz tego, co teraz się dzieje, ale jako idea wskazująca drogę do stanu właściwego.

Nie boi się pani, że stawiając „konstytucję wyobrazoną” przed „konstytucją uchwaloną”, zbliżamy się do autorytarnej średniowiecznej idei „prawa naturalnego” wciąż wyznawanej przez Kościół i radykalną prawicę?

Dokładnie tak jest. Ale czy mamy odrzucać idee tylko dlatego, że powstały w średniowieczu lub że uznaje je Kościół i radykalna prawica? Wiele ważnych idei powstało w średniowieczu.

Więc?

Konstytucje muszą nawigować między autorytaryzmem prawa naturalnego wyrażanego formułą „jestem bogiem, bo tak mówię” a obywatelskim wariantem wyrażanym formułą „tak mówię, bo większość tak teraz uważa”. Ścieżka konstytucji prowadzi między „pewnością” i „chwilową większością”. Na tym polega istota liberalnej demokracji. Liberalizm zakłada, że żyjemy wśród ludzi

mających różne wyobrażenia tego, co jest dla nich dobre, więc mniej nam potrzeba pewności, a więcej tolerancji dla różnych wyobrażeń dobra. Czyli potrzebujemy instytucji, które nigdy nie będą nikogo do niczego zmuszały w trybie „bo tak mówię”. Nieważne, czy głoszone by to w imieniu jakiegoś boga, czy świeckiego lidera.

To skąd mamy wiedzieć, co jest złe, a co dobre? Kto wierzy w jakiegoś boga, ten ma przynajmniej wskazówki, gdy do czegoś dochodzi w wyniku modlitwy. Kto wierzy w Kaczyńskiego, Piłsudskiego, Orbána, za słuszne może uważać to, co mówi wódz. A jak ktoś wierzy tylko w demokrację, to jak ma poznać prawo, które jest dobre?

To musi być proces – nie moment. Mówimy o dochodzeniu do prawdy, a nie o wyniku w postaci prawdy absolutnej. Konstytucja pokazuje ścieżki dochodzenia do racji bez wsparcia w absolutach. To znaczy, że wynik stale ewoluuje i się zmienia. Problem polega na tym, że wiele osób chce po prostu wiedzieć, jaka jest właściwa odpowiedź. A konstytucja nam tego nie mówi. Mówi tylko, według jakich reguł mamy szukać odpowiedzi. A one mogą być różne. Zawsze będzie wiele osób, które idąc drogą wskazaną przez konstytucję, dojdą do innych wniosków niż my. Zawsze będziemy żyli obok nich. Konstytucja mówi, jak radzić sobie z różnicami poglądów, stylów życia, wiary, żeby uniknąć wojny. Do tego potrzebne są konstytucyjne instytucje, które chronią nas przed wrażeniem, że doszliśmy do jakichś ostatecznych konkluzji. Społeczeństwo ma prawo zmieniać co jakiś czas kierunek, w jakim idzie. Konstytucjonalizm jest po to, by zapewnić, że polityczna wspólnota nigdy się nie zakleszczy w procesie wymiany władzy.

Pani wierzy, że konstytucja może to zapewnić?

To jest trudne. Politycy zapewniają wyborców, że znają odpowiedź, są swoich racji pewni i tylko ich odpowiedzi są dobre. Ludzie im wierzą, bo pewność jest atrakcyjna. A istota konstytucjonalizmu wyraża te świadomości, że pewności nie ma. Bo wiemy z doświadczenia, że każda pewność z czasem traci atrakcyjność i musi być zastąpiona przez inną. Chodzi o to, żeby ta zmiana przebiegała możliwie łagodnie i by po każdej zmianie mogła nastąpić kolejna.

Mieliśmy taką zmianę. PiS nie miał większości koniecznej, by uchwalić zmiany w konstytucji, więc zwykłą większością zmienił jej praktyczny sens i podporządkował sobie Trybunał Konstytucyjny, który powinien jej bronić. Formalnie wszystko było niby zgodne z procedurą. Skąd mieliśmy wiedzieć, że to było niekonstytucyjne?

Z konstytucyjnej zasady, która mówi, że zwykła parlamentarna większość reprezentująca mniejszość społeczeństwa nie może uchylać prawa wykluczającego większość. Dlaczego demokratyczna polska konstytucja powstała dopiero 8 lat po upadku PRL? Bo proces jej tworzenia włączał różne grupy, które nie tworzyły sejmowej większości. Kiedy ktoś – formalnie lub faktycznie – zmienia konstytucję, używając zwykłej parlamentarnej większości i wykluczając inne grupy społeczne, zawsze jest to niekonstytucyjne. Konstytucja z natury musi chronić mniejszości, by z czasem mogły stworzyć większość. Rząd używający władzy, by ten proces zatrzymać, łamie konstytucję, nawet jeżeli nie złamie żadnego konkretnego przepisu konstytucji.

Czyli konstytucja jest niekonstytucyjna, kiedy podważa sens istnienia konstytucji?

Właśnie tak. W Princeton uczę rządów prawa przyszłych funkcjonariuszy publicznych. Jedną z rzeczy, które próbuję im wpoić, jest to, że legalność i słuszność to dwie różne rzeczy. Legalne jest to, co zgodne z przepisami. Słuszne jest to, co daje stabilność demokracji. Legalność to rządy aktualnej większości. Słuszność to pilnowanie, by inna większość realnie mogła przejąć władzę, gdy większość społeczeństwa będzie tego chciała. Kto taką

zmianę utrudnia, używając władzy, ten łamie konstytucję. Każdy funkcjonariusz publiczny musi sobie zadawać pytanie, czy legalne prawo, którym ma się kierować, jest konstytucyjne. Stawianie tego pytania jest obowiązkiem każdego obywatela.

To się spodoba każdemu demokracie. Ale wyobraźmy sobie, że amerykańscy demokraci uchwalają prawo, które zatrzyma Trumpa pragnącego zniszczyć waszą demokrację, albo że nowa polska większość uchwali przepisy, które zapobiegną powrotowi Kaczyńskiego do władzy.

Jest więcej państw, w których to pytanie staje. Brazylia po Bolsonaro też ma taki dylemat.

Czy to może być konstytucyjne?

Zależy. Jeżeli ktoś popełnił poważne przestępstwo przeciw demokracji...

To proste. Ale czy konstytucyjne jest uchwalenie prawa, które powstrzyma dojście do władzy groźnych dla demokracji przedstawicieli 30 proc. społeczeństwa?

To jest trudny paradoks demokracji. Niemiecki sąd konstytucyjny uznał, że można zakazać działania partii antykonstytucyjnych. Stosował taki zakaz wobec nazistów i komunistów. Aż uznał, że to nie jest właściwe, gdy chodzi o małe partie, których istnienie nie tworzy realnych zagrożeń.

Ale...

Potem się okazało, że z czasem te małe partie mogą się stać nazbyt popularne, żeby ich zakazać, bo są już emanacją istotnej części społeczeństwa.

Więc można, pani zdaniem, zgodnie z konstytucją zdelegalizować polityczną aktywność Trumpa i Kaczyńskiego czy nie? Co z milionami wyborców, którzy ich popierają?

To jest pytanie stojące przed takimi krajami, jak Polska i Węgry.

Albo Brazylia i Stany Zjednoczone.

Zgoda. Ale mówię o Węgrzech i Polsce, bo to byli liderzy pokojowej transformacji po 1989 r. A teraz zwolennicy autokratów twierdzą, że ta transformacja nie musi być pokojowa, jeżeli tak czy inaczej zakaze się działania popularnej partii albo popularnego lidera, jak Trump, Kaczyński, Orbán, Bolsonaro. Ale przemoc będzie niekonstytucyjna, chociaż oni mają wielu prawdziwych zwolenników. Byłam w Polsce w 1990 r. Nie było już żadnych komunistów. Nikt nie bronił starego systemu. Teraz jest inaczej. Nowa władza będzie miała problem ze zwolennikami poprzedniej. Trzeba będzie precyzyjnie oddzielić jej autorytarny element od innych postulatów mających społeczne poparcie.

Przy takiej polaryzacji i takich emocjach...

Trzeba się zastanowić, dlaczego Kaczyński czy Trump są tacy popularni. Wiele osób czuło brak szacunku ze strony liberałów. Sądzi, że władza patrzy na nich z góry, nie chroni ich interesów, nierówno ich traktuje. To wyniosło Kaczyńskiego i Trumpa. Ich zwolennikom trzeba okazywać szacunek i troskę o ich interesy.

Odpowiedzią na autorytarny populizm Kaczyńskiego ma być demokratyczno-liberalny Kaczyński?

To jest kwestia przywództwa. W konserwatywnych krajach, jak Polska, USA, Węgry, demokracja potrzebuje silnej centroprawicy akceptującej zasady konstytucji. Bo konserwatywne poglądy dużej części wyborców to jedno, a ciężenie polityków ku autorytaryzmowi to drugie. Nieszczęściem Zachodu na początku XX w. był sojusz centroprawicy z faszyzmem i rezygnacją z demokratycznych reguł ze strachu przed lewicą. Podobnie jak ówczesna lewica ciążyła ku komunistom, rezygnując z wartości konstytucyjnych. Dlatego tak ważne jest demokratyczne centrum. Kiedy centrum odsuwa się od demokracji, konstytucyjny porządek przestaje być bezpieczny.

W Polsce PiS zdobył władzę, kiedy konserwatywno-liberalna PO skręciła na lewo. A kiedy autorytarno-konserwatywny PiS też się przesunął w lewo, urosła prawicowa Konfederacja. ►

► Tak samo było na Węgrzech. Kiedy libertariański Orbán przesunął swoją partię na lewo, żeby pokonać socjaldemokratów, na prawo od niego wyrósł skrajnie prawicowy Jobbik. Ale Orbán i tak zdobył większość konstytucyjną. To był koniec węgierskiej demokracji. Polska ma więcej szczęścia, bo macie proporcjonalny system wyborczy, utrudniający zdobycie samodzielnej większości i praktycznie uniemożliwiający zdobycie przez jedną partię większości konstytucyjnej.

Jesteśmy względnie bezpieczni.

Ale bez przesady. Po pierwsze, Kaczyński już pokazał, że można faktycznie zmieniać ustroj konstytucyjny, nie dotykając samej konstytucji. A po drugie, w Unii kluczowym graczem jest EPP.

Do którego należy PO i PSL.

Ale karty trzyma Manfred Weber z CDU, który próbuje dogadywać się z radykalną prawicą – z Meloni, Orbánem, Kaczyńskim – bo w sondażach widać, że bez nich EPP straci najważniejsze unijne posady. Dlatego jest tak ważne, że PiS przegrał wybory. Bo jeśli główna siła w Brukseli przesunie się na prawo, to zmieni się tożsamość całej Unii i również traktaty zaczną być inaczej czytane. Wszyscy tak bardzo uważnie patrzyli na rywalizację Tuska i Kaczyńskiego, bo od jej wyniku zależały relacje między centrum a radykalną prawicą w Brukseli. Teraz EPP raczej nie będzie już flirtowała z Kaczyńskim.

Pytanie: jaka niekonstytucyjność jest konstytucyjna? Jeżeli nowa większość – jak chce prof. Wojciech Sadurski – uchwałą unieważni wadliwie powołany i działający Trybunał Konstytucyjny, którego istnienie gwarantuje nasza konstytucja, to będzie to konstytucyjne czy niekonstytucyjne?

Wiele krajów zmagają się z takimi pytaniami. Czasem trzeba złać konstytucję, by przywrócić konstytucyjność państwa.

Brzmi paradoksalnie.

I groźnie. Ale jeżeli nowa władza faktycznie jest uwięziona w gorsecie niekonstytucyjnych zmian przeprowadzonych przez poprzedników, jeżeli ta nowa władza musi przekreślić to, co zrobiła poprzednia, niszcząc konstytucyjny porządek demokratyczny, jeżeli zastany porządek wynika z niekonstytucyjnej taktyki faktów dokonanych, tylko formalnie zgodnych z literą krajowego prawa, to można się odwołać do prawa międzynarodowego. W ostatnich kilkunastu latach mieliśmy ogromny rozwój prodemokratycznego prawa międzynarodowego. Trybunały europejskie, Sąd Inter-Amerykański, Komisja Wenecka, Afrykański Sąd Praw Człowieka wypracowały normy, w których centrum są niezależne sądy. Jest powszechna zgoda co do pierwszeństwa sądowej kontroli władzy wykonawczej i ustawodawczej.

Zgodnie z konstytucją.

Zgodnie z konstytucyjną istotą demokratycznego porządku. Polski przypadek jest prosty. Kaczyński polityczną praktyką i ustawowymi trikami podważył konstytucyjną istotę niezależności sądów. Nowy rząd musi ją przywrócić, by system znów stał się zgodny z konstytucją. To, co zrobił PiS, musi być unieważnione.

Jak to zrobić legalnie, skutecznie, szybko i niekontrowersyjnie?

Kontrowersji nie da się uniknąć. Ale warto pamiętać, co zrobił prezydent Zełenski, który odziedziczył sąd konstytucyjny obsadzony przez ludzi Janukowycza. Zaczął od stworzenia agencji antykorupcyjnej. Czterech z dziesięciu sędziów sądu konstytucyjnego szybko stało się przedmiotem dochodzeń antykorupcyjnych. Wtedy sąd konstytucyjny uznał, że agencja antykorupcyjna jest niekonstytucyjna. W odpowiedzi Zełenski wyrzucił sędziów sądu konstytucyjnego.

Jak?

Sięgnął po starą uchwałę Rady Najwyższej, stwierdzającą, że rząd Janukowycza nie był rządem prawa.

Czyli decyzje powołujące tych sędziów były z natury niekonstytucyjne?

Dokładnie. Uchwała pozwoliła skasować decyzje Janukowycza powołujące sędziów. Ale to nie był tylko akt woli nowej władzy, lecz skutek zastosowania argumentu prawnego. Ale na swoje nie-szczęście Zełenski poprosił jeszcze o opinię Komisję Wenecką. I komisja stwierdziła, że Zełenski musi uznać decyzję sądu konstytucyjnego wobec agencji antykorupcyjnej, ale może zmienić sposób powoływania sędziów.

Czyli jednak porażka.

Ale gdy wybuchła wojna, prezes sądu konstytucyjnego szybko uciekł do Rosji. A inny sędzia okazał się mieć w Kijowie apartament od Janukowycza. Podobnie ich koledzy. Myślę, że także w Polsce wystarczy solidnie zlustrować ludzi powołanych przez nieuczciwą władzę, żeby problem obsady wielu kluczowych stanowisk rozwiązał się sam.

W ten sposób niekonstytucyjna zmiana niekonstytucyjnych władz stanie się konstytucyjna?

Tak.

Jak zapewnić stabilną konstytucyjność na przyszłość, kiedy się otworzy tę drogę?

To dopiero jest trudne pytanie. Ale mamy dorobek prawa międzynarodowego stworzonego przez trybunały i Komisję Wenecką. W sprawie Xero Flor ETPCz już prawomocnie uznał, że Trybunał Konstytucyjny sądzący z udziałem wadliwie powołanych sędziów nie spełnia kryterium prawidłowo obsadzonego sądu. Nowy rząd ma prawo wyciągnąć z tego wnioski, żeby zapewnić istnienie Trybunału Konstytucyjnego zgodnego z konstytucją.

Kiedy jeden rząd wejdzie na tę drogę...

Dlatego nie można po prostu wyrzucić wszystkich sędziów. Muszą być dobre powody, by usunąć każdego konkretnego sędziego.

A co, jeżeli to nie będzie tak proste, jak w Ukrainie, bo nie wszyscy sędziowie okażą się zwykłymi kryminalistami?

Nie trzeba być skazanym na więzienie, by przestać spełniać kryteria konieczne do sprawowania urzędu. W USA mamy teraz spór, czy wobec Donalda Trumpa można i należy zastosować przepis konstytucji zakazujący pełnienia urzędu osobie zamieszanej w zamach na konstytucję.

W Polsce mamy tylko konstytucyjny zapis zakazujący funkcjonowania partii odwołujących się „do totalitarnych metod i praktyk działania”. Madeleine Albright uznałaby PiS za taką partię, ale trudno będzie udowodnić to w sądzie.

Ja bym się nie chwyciła etykiet. Liberałom też można przypisać takie odwołania – na przykład do Pinocheta. To jest niebezpieczna droga. Ważniejsze jest dokonanie zamachu na konstytucyjną zasadę uczciwej rywalizacji elit. Na tym przecież polegała pi-sowska strategia, żeby stworzyć warunki rywalizacji, w których tylko PiS mógł wygrać. Adam Przeworski bardzo słusznie pisał, że demokracja jest dla umiających przegrywać. Bo każdy kiedyś w demokracji przegrywa. Kto nie umie przegrywać, tego trzeba trzymać poza polityką.

Ale jak to wykazać, póki ktoś nie zbuduje zgodnego z prawem systemu, w którym nie może przegrać. Jak Orbán.

Jakiś czas temu to był poważny problem. Dziś możemy badać konstytucyjność lokalną i generalną. Lokalna pokazuje, czy coś jest zgodne z procedurami prawa krajowego. W przypadku Orbána z grubsza wszystko się tu zgadza. Ale są też ograniczenia i reguły międzynarodowe. Państwa należące do Unii Europejskiej i Rady Europy zobowiązały się zapewnić niezależność sędziów i uczciwe wybory. To jest prawo nadrzędne. Tu już się nie można zasłaniać formalną zgodnością z paragrafami prawa krajowego. Chodzi o skutek. Nie o to, jak się do niego doszło. Działanie, które niszczy niezależność sądów, staje się nielegalne, nawet



Prof. Kim Scheppele, amerykańska socjolożka, badaczka prawa i polityki z uniwersytetu Princeton.

jeżeli procedury do niego prowadzące były całkowicie legalne. Polskę zobowiązują międzynarodowe standardy. PiS je wszystkie naruszył w odniesieniu do sądów, więc to, co wobec nich robił, było nielegalne i niekonstytucyjne. To można stwierdzić, nie wnikając w proceduralne szczegóły. Nowy rząd może się oprzeć na tych generalnych kryteriach konstytucyjności, by przywrócić w Polsce rządowi prawa.

Będzie krzyk, że za Tuska obcy rządzą Polską.

Przecież o przystąpieniu do Unii zdecydowano większością konstytucyjną, więc europejskie traktaty mają w Polsce konstytucyjną moc. Są ważnym polskim prawem.

Będzie wrzask obrońców suwerenności.

Nikt Polsce nie kazał wstępować do Unii. Zdecydowaliście większością głosów w referendum i większością konstytucyjną w obu izbach parlamentu. Możecie wystąpić, jak Wielka Brytania, ale póki tego nie zrobicie, unijne traktaty są w polskim prawie tak ważne jak konstytucja. Podobnie jest z Radą Europy. Przystąpienie do niej było waszą suwerenną wolą i każdy polski rząd ma obowiązek szanować tę decyzję polskich obywateli. Zwłaszcza że w sondażach Eurostatu Polacy co roku tę wolę potwierdzają najbardziej entuzjastycznie z wszystkich społeczeństw Unii. Nie wiem, dlaczego demokratyczni liderzy mieliby mieć problem z jednoznacznym stwierdzeniem, że unijne prawo obowiązuje w Polsce i polski rząd je wdraża, realizując wyroki trybunału europejskiego.

Czyli na papierze wszystko jest proste i jasne. Zostaje tylko problem widma wojny domowej, które wisi nad Ameryką i Polską, jeśli nasze rządy zaczną konsekwentnie wdrażać swoje konstytucje.

Dlatego tak mi się podoba idea Inkubatora Umowy Społecznej. Bo Polacy są podzieleni pół na pół, gdy chodzi o wizję społeczeństwa, rolę państwa, prawa kobiet. W tych sprawach trudno o kompromis i racjonalne decyzje, a nawet o sensowną debatę. To zatruwa polską demokrację i przesłania inne polityczne wyzwania. Po obu stronach sporu duża część wyborców ma poczucie ubezwłasnowolnienia. Pomysł, żeby rozstrzygnięcie najgorętszych problemów oddać władzom samorządowych województw, pozwala dostosować prawo do regionalnych różnic, które w Polsce są podobnie duże jak w USA.

Czyli zamiast wiecznych awantur w Sejmie, na konserwatywnym Podlasiu prawo bardziej konserwatywne, a na progresywnym Pomorzu – bardziej progresywne.

Właśnie tak. Żeby ten, kto na jakiś czas zdobywa większość, nie decydował o wszystkim, od podatków, repertuaru teatrów i programów szkolnych po prawa kobiet, nominacje sędziowskie i pracę szpitali. Taka decentralizacja zmniejszy grupę sfrustrowanych wyborców, a władzy państwowej pozwoli zająć się tym, co jest ważne dla państwa. Wojna kulturowa znajdzie się poza krajową polityką. To jest najlepsza odpowiedź na widmo wojny domowej. Ale pomogłoby też trwałe oddzielenie wyborów prezydenckich, parlamentarnych i samorządowych. Gdyby je dzieliło przynajmniej kilkanaście miesięcy, byłoby mniejsze ryzyko, że jeden obóz zgarnie całą władzę wykonawczą i ustawodawczą, nikt by nie był całkiem przegrany lub całkiem wygrany, więc polityczna stawka byłaby dużo mniejsza i polaryzujące emocje stopniowo opadły. Byłoby mniej wrogości, a więcej systemowo koniecznej współpracy.

To jest obiecujące, ale w dalszej perspektywie. A teraz nowy rząd odziedziczy państwo z tysiącami źle powołanych sędziów, z generałami, urzędnikami, prezesami, dyrektorami mianowanymi według kryteriów partyjnych, a nie kompetencyjnych. Im szerzej ruszy miotła kadrowych zmian, tym większy będzie

sprzeciw i opór. Kiedy idziemy do sądu, sprawdzamy, czy sędzia jest „nasz” czy „ich”. Gdy dziecku wybieramy szkołę, zastanawiamy się, czy dyrektor jest „nasz” czy „ich”.

W Stanach mamy sędziów Trumpa, Reagana, Obamy, Bidena. Też się zastanawiamy, kto sędzi w jakiejś sprawie. To oczywiście jest problem wymiaru sprawiedliwości. Ale w Polsce mieliście podobny problem w 1989 r. Podobnie było na Węgrzech. I dalsie radę, póki do władzy nie doszli politycy.

Czy jakiś kraj sobie z takim problemem poradził?

Oczywiście. Polska sobie poradziła przed PiS.

I Niemcy po drugiej wojnie. Odpowiedzią jest instancyjność sądów. Jak będziecie mieli sprawnie działający Sąd Najwyższy i Trybunał Konstytucyjny, to ich autorytet uzdrowi działanie innych sądów. To znaczy, że wystarczy zadbać, żeby było kilkudziesięciu właściwych ludzi na najważniejszych sędziowskich urządach, żeby cały system zaczął się sam naprawiać.

Tak zadziałała wymiana Sądu Najwyższego po 1989 r.

To jest sprawny mechanizm.

Trudniej będzie zastosować go teraz.

Dlatego jestem zwolenniczką trybunału superkonstytucyjnego, który badałby zgodność prawa krajowego z prawem europejskim. W Holandii, Szwecji, Finlandii, Danii sądy nie mogą badać konstytucyjności ustaw, ale mają obowiązek uznawać priorytet prawa międzynarodowego nad prawem krajowym. Może taki krajowy sąd stojący na straży stosowania prawa europejskiego w Polsce lepiej pomógłby w odbudowie praworządności niż weryfikacja tysięcy sędziów mianowanych przez PiS? Przecież nie macie tysięcy zapasowych sędziów, których można powołać w miejsce sędziów pisowskich. A wiemy z przeszłości, że wielu sędziów to oportuniści. Gdy zmienia się władza, zmieniają się ich orzeczenia. Więc problem sam się w dużej mierze rozwiąże. Potem potrzebny będzie politycznie neutralny system oceny pracy sędziów. To nie jest bardzo trudne. Wystarczy zacząć naprawę systemu od góry.

Potem jakiś następny rząd stworzy super-supertrybunał i gra zacznie się od początku.

To zabawnie brzmi, chociaż tak być nie musi. Bo przecież są jeszcze trybunały europejskie, które działają wolno, ale konsekwentnie. Więc może trybunał superkonstytucyjny powinien być sądem przejściowego, który przestanie istnieć, gdy dokonano przeglądu zgodności prawa krajowego z prawem europejskim i doprowadzi do ich uzgodnienia. To by był ważny element powrotu polski do Europy, od której Kaczyński was krok po kroku odciągał. Ale tworząc superkonstytucyjny sąd, nowa władza nie mogłaby już robić, co jej się podoba. Musiałaby podporządkować naprawę systemu prawa europejskiemu. To by osłabiło zarzuty arbitralnych rozliczeń czy zemsty, bo rząd musiałby się podporządkować ograniczeniom prawa europejskiego. To by dla wszystkich był bardzo mocny sygnał, że Polska, zgodnie ze swoją konstytucją, jest zdeterminowana, by być państwem europejskim.

Konstytucyjnie konstytucyjnym.

O to chodzi. Konstytucyjność to system wartości chroniących jednostki i stabilną demokrację. Aktualne zapisy konstytucji mogą te wartości wyrażać lepiej lub gorzej, ale żaden tekst prawny i żadna interpretacja nie są konstytucyjne, gdy próbują je zmienić albo unieważnić. Zwłaszcza w Polsce. Bo Polacy te konstytucyjne wartości uznają z większą mocą niż większość Europejczyków. Stąd się bierze siła i trwałość polskiej demokracji, nawet gdy jest tak przebiegle niszczone jak ostatnio.

I już jestem z nas dumny.

Ja też.

ROZMAWIAŁ JACEK ŻAKOWSKI

Żeby się utrzymać, polski student potrzebuje dziś 3867 zł miesięcznie, wynika z najnowszej edycji raportu „Portfel studenta” Warszawskiego Instytutu Bankowości. To o blisko 700 zł więcej niż w ubiegłym roku oraz dwukrotnie więcej niż przed pięcioma laty.

Wydatki rosną nieprzerwanie od ośmiu lat. W 2016 r. student mógł się utrzymać za 1574 zł. Dziś ta kwota ledwo starczyłaby na wynajem pokoju w stolicy. W 2017 wydatki wzrosły nieznacznie – do 1600 zł (niewiele ponad 1,5 proc.). A później zaczął się rollercoaster – w 2018 średnie koszty studenckiego życia wzrosły o 19 proc. rok do roku, w 2019 o kolejne 12 proc., a w 2020 rekordowo o jedną czwartą – do 2652 zł. Później przyszła pandemia i nauka zdalna, więc niektórzy studenci mogli wrócić do rodzinnych domów, nie martwiąc się chwilowo opłatami za wynajem, co przełożyło się na zaledwie 3-proc. wzrost kosztów ich życia. Ale covid odbił się na cenach i w 2022 r. na utrzymanie potrzebowali już 3177 zł.

Co ciekawe, w tych latach środki potrzebne studentowi na utrzymanie pokrywały się jakoś z wysokością płacy minimalnej (podawanej brutto). We wszystkich, prócz bieżącego – 1 stycznia 2023 r. płaca minimalna wynosiła 3490 zł (2709 zł netto), od 1 lipca wynosi 3,6 tys. (2784 netto). Do zaspokojenia studenckich potrzeb brakuje ponad tysiąca złotych „na rękę”. Co prawda od lipca przyszłego roku minimalna pensja za pracę wzrośnie do 4,3 tys. zł brutto, ale – o czym dalej – dla wielu studentów niekoniecznie jest to dobra informacja.

Może się wydawać, że prawie 4 tys. zł miesięcznie to bardzo dużo jak na studenta, ale to nieprawda. Marta, studentka Collegium Medicum w Bydgoszczy, właśnie tyle wydaje, a nie opływa w dostatki. Nie chodzi do kina, restauracji, nie jeździ na wakacje, w ogóle nigdzie nie podróżuje. Mieszka co prawda sama w wynajmowanym mieszkaniu, w czym pomagają jej rodzice, ale na tym luksusy się kończą. Ubrania kupuje w lumpeksie, i to też nie wtedy, gdy rzuca nowy towar, tylko w dni, gdy kosztują kilka złotych za kilogram.

– *Teraz i tak nie jest najgorzej, bo mam pracę, ale zdarzały się dni, gdy porcjałatałabym sobie galaretkę z torebki, żeby nie prosić rodziców o więcej pieniędzy, bo sami też borykają się z drożyzną. W sumie, odkąd studiuje, podtrzymuję tylko swoje funkcje życiowe z miesiąca na miesiąc, starając się nie myśleć, że życie nie powinno tak wyglądać* – opowiada Marta.

Ma 20 lat, pochodzi z małej wsi w okolicy Torunia. Gdy zaczęła studia rok temu, wszystko wydawało się spinać. Rodzice płacili za całkiem okazjny wynajem (2 tys. zł), ona za rachunki i życie. Dorabiała jako stylistka paznokci, za przyzwoitą stawkę, ale praca w salonie szybko zaczęła jej kolidować z zajęciami, których na kierunku medycznym jest naprawdę sporo. Odeszła z salonu, klientki przyjmowała w mieszkaniu po godzinach studiów. Zarobki stopniały do kilkuset złotych miesięcznie, z czego trzeba było jeszcze kupować pilniki, lakiery itp.

Ceny rosły, pieniądze znikły, coraz częściej pojawiały się lzy, wyrzuty sumienia i poczucie winy w stosunku do rodziców, bo „zachciało jej się studiować”. Opłata za wynajem wzrosła z dnia na dzień o 25 proc., bo z drożyzną nie zmagają się tylko studenci – właściciele też podnieśli czynsz i ratę kredytu. Wreszcie, odpuszczając nieco naukę, Marta zatrudniła się w sklepie. Obsługuje kasę i rozkłada towar do 23.30, później wraca do mieszkania spać, bo zajęcia zaczynają się o 9 albo 10 rano. Poważnie zastanawia się nad zrezygnowaniem z mieszkania i wynajęciem pokoju, czego nie chcą rodzice, którzy zostają u niej od czasu do czasu. Jeszcze kilka miesięcy temu Marta też wzbraniałaby się przed mieszkaniem z obcą osobą, ale teraz jej już w sumie wszystko jedno – całe dni spędza albo na uczelni, albo w pracy.

Ile muszą wydać

Średnie miesięczne wydatki studentów – **3867,06 zł**:



Dach nad głową niezmiennie pozostaje najwyższym kosztem. Przed rozpoczęciem obecnego roku akademickiego studenci badani przez WIB deklarowali, że za lokum płacą średnio 1350 zł miesięcznie. Więcej niż za jedzenie (601,25 zł) i czesne (600 zł) razem wzięte. W największych miastach, gdzie jest też najwięcej studentów, można za te pieniądze wynająć co najwyżej niewielki pokój w średnim standardzie. I lepiej nie wybrzydząć, bo chętnych jest tyłu, że niekiedy muszą przejść przez „casting”.

Raz zdobytego dachu nad głową student się trzyma. Nawet jeżeli – tak jak w przypadku Patrycji – właścicielka podnieśli czynsz o 700 zł. Mieszkanie w Warszawie wynajmuje wraz z chłopakiem, więc podwyżka rozłożyła się na dwoje. Mogliby co prawda poszukać czegoś tańszego, ale nawet jeżeli znajdą, to jaką mają gwarancję, że nowy właściciel niebawem także nie zażąda więcej? W poprzednim roku akademickim spotkało to aż 78 proc. studentów pytanych przez centrum badawcze Amron. Jego raport „Studenci na rynku nieruchomości” to analiza ponad 2,2 tys. ankiet wypełnionych przez studentów z 39 miast w Polsce. Wśród wynajmujących zaledwie 13 proc. mieszkało samodzielnie, 38 proc. dzieliło mieszkanie z jednym lokatorem, a połowa – z dwiema lub więcej osobami.

Nim zamieszkała z chłopakiem, Patrycja, lat 23, wynajmowała mieszkanie z pięcioma innymi współlokatorami. Siódme piętro bez windy, pokój mniejszy od standardowej toalety, w którym mieściło się tylko biurko i wersalka. Koszt: 1,3 tys. miesięcznie. – *Gdybym miała wyjście, nigdy bym go nie wzięła. Ale przed studiami wyjechałam do Niemiec, żeby trochę dorobić, i nie dopilnowałam wszystkich formalności związanych z ubieganiem się o akademik. Gdy wróciłam, okazało się, że będę bezdomna, więc szukałam w popłochu* – opowiada. ▶



© PAP/WOJCIECH PACEWICZ

Dach nad głową to najwyższy wydatek w budżecie studentów.

► Adam, lat 26, trafił jeszcze gorzej, bo do domu przemianowanego na prywatny akademik, który dzielił z 10 innymi osobami. Jedna kuchnia, jedna łazienka, wszechobecny syf i zepsute sprzęty. Płacił „tylko” 700 zł miesięcznie, ale to nie była Warszawa, tylko Bydgoszcz, no i w czasach, gdy inflacja nie doskoczyła jeszcze do drugiej cyferki.

Na pierwszym roku dawało się utrzymać z samego stypendium pomostowego, dziś zarabia, wykonując prace ogrodowe. Przed rozpoczęciem roku akademickiego pracował 5–6 razy w tygodniu, teraz raz, dwa razy albo gdy tylko ma trochę wolnego czasu. A nie ma go za wiele – Adam się kształci, bo chce być chirurgiem, chce ratować życie (wcześniej skończył mechanikę i budowę maszyn).

Bydgoszcz może i jest tańsza od Warszawy, ale ofert pracy też jest mniej. Adam pracuje bez umowy, dostaje 20 zł za godzinę plus „premię za dojazdy rowerem” – 22 km. Wychodzi jakieś 200 zł za dzień – w sumie mało, ale w wakacje trochę odłożył, no i żyje bardzo oszczędnie. Nie pali, alkohol pije sporadycznie, czas ze znajomymi spędza tak, żeby nie wydawać pieniędzy – rolki, bieganie, spacer, wieczór u kogoś w domu. Ciuchy – tylko z lumpeksów, transport – tylko rowerem. Z przyjemności pozwala sobie jedynie na basen, bo chciałby wystartować w triathlonie.

Studenci coraz śmieiej mówią o problemach finansowych i mieszkaniowych. Patryk, 20-letni student malarstwa z Krakowa, którego nie stać było na wynajem choćby pokoju, więc zamieszkał w samochodzie na parkingu, opowiedział o tym w telewizji. Pomogło – niedługo po emisji „Uwagi” TVN chłopak przeniósł się do wynajmowanego pokoju. „Mam już swój własny kąt do tworzenia, do nauki, do spania” – mówił na krótkim nagraniu, dziękując telewidzom.

– *To głośny przypadek, zastanawiam się, o ilu podobnych jeszcze nie usłyszeliśmy* – zauważa Jakub Kruszyński, wiceprzewodniczący ds. studenckich Niezależnego Zrzeszenia Studentów. I opowiada o znajomym z Wrocławia, który z powodów finansowych wynajmuje jeden pokój na pół z innym studentem. Odgradzają się meblościanką.

Wielu studentów nawet i na to nie mogłoby sobie pozwolić, gdyby nie stypendia socjalne. Z danych GUS za rok akademicki 2022/23 (nowszych jeszcze nie ma) dowiadujemy się, że w trudnej sytuacji materialnej znajduje się blisko 5 proc. wszystkich

studentów (55,3 tys.), bo właśnie tyle pobiera stypendium socjalne. Dużo? Nie, gdy porównamy to z ubiegłymi latami. W roku akademickim 2020/21 stypendium dostawało prawie 66 tys. studentów, rok wcześniej – 79 tys., i dalej kolejno: 102 tys., 130 tys., a w roku 2017/18 – aż 153 tys., niemal trzykrotnie więcej niż dziś. A liczba studentów w tych okresach właściwie się nie zmieniała.

Czyli nie są dziś jednak tacy biedni, skoro nie łapią się na zapomogi? Niezupełnie. Jakub Kruszyński zwraca uwagę, że to kwestia płacy minimalnej, która rośnie szybciej niż minimalny dochód uprawniający do stypendium. – *Od 1 lipca przyszłego roku pensja minimalna wyniesie 4,3 tys. zł brutto, a próg dochodowy uprawniający do ubiegania się o stypendium socjalne – 1570,50 zł. W praktyce student, którego rodzice w październiku 2024 r. będą otrzymywać minimalne wynagrodzenie, nie będzie miał szans na tę pomoc* – tłumaczy.

Tymczasem wiele osób desperacko potrzebuje tych pieniędzy. NZS przeprowadziło niedawno ankietę wśród blisko 3,8 tys. studentów. 43 proc. z tych, którzy pobierają stypendium socjalne, zadeklarowało, że bez niego nie dałoby rady kontynuować studiów.

Większość wskazywała, że wsparcie przeznacza przede wszystkim na pokrycie podstawowych kosztów utrzymania: wynajmu mieszkania, kupna jedzenia czy karty miejskiej. Choć warto zauważyć, że samo stypendium rzadko kiedy wystarczy choćby na wynajem pokoju w większym mieście. W teorii kwota waha się od 300 do 1500 zł, w zależności od dochodu na osobę w rodzinie. W praktyce większość studentów dostaje zapomogę od 900 do 1300 zł.

– *Pomoc nie nadąza za rosnącymi kosztami życia* – komentuje Kruszyński.

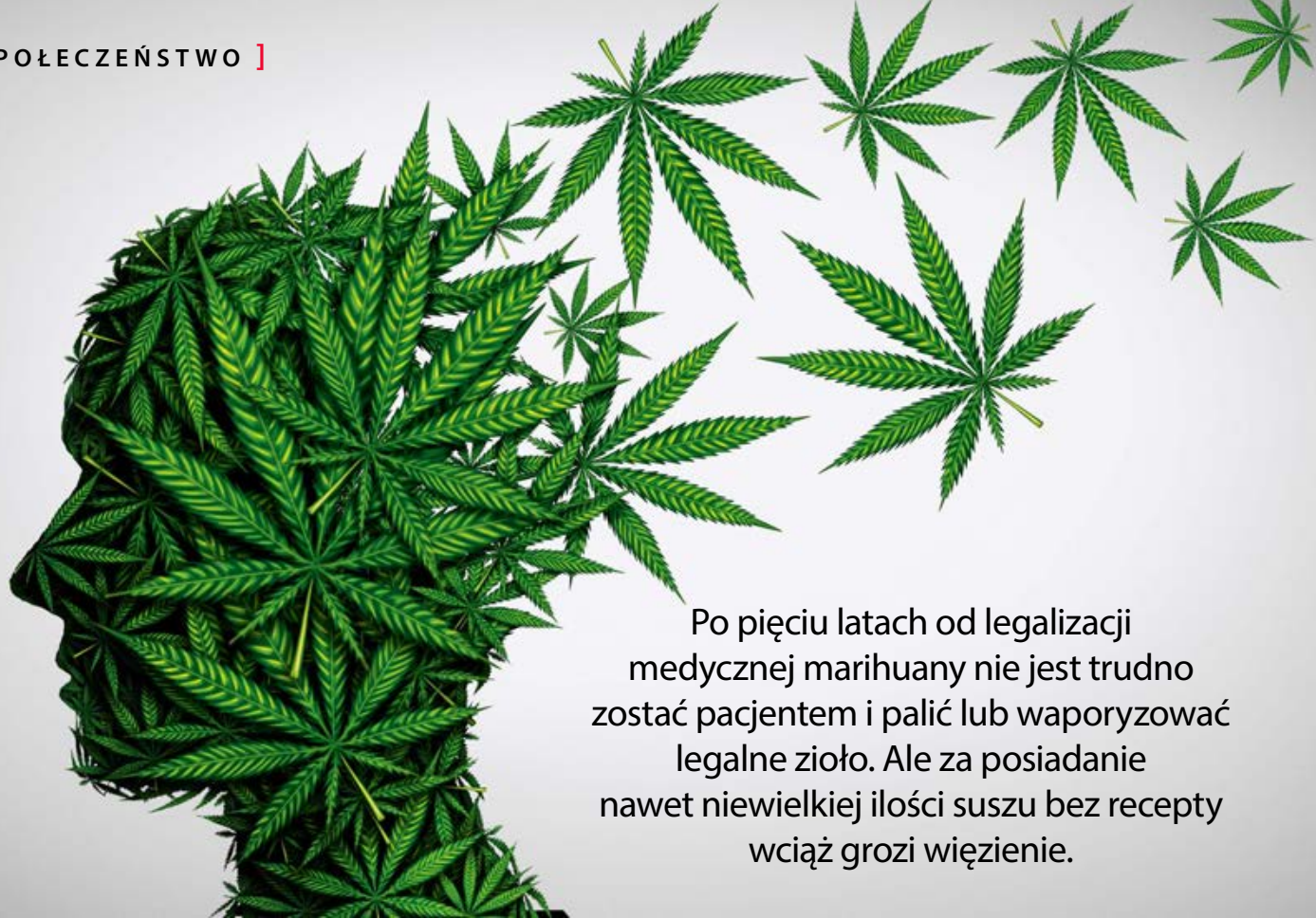
Kolejnym problemem są akademiki. A raczej to, że jest ich za mało. Kruszyński: – *W Polsce mamy ok. 450 akademików publicznych, które oferują 110 tys. miejsc. W teorii starczy dla 9 proc. wszystkich studentów, ale w praktyce jest to raczej 6–7 proc., bo wysłużone obiekty są modernizowane, co wyłącza z użytku część miejsc. Warto zauważyć, że średnia dla całej Unii Europejskiej wynosi 13 proc.*

Samych publicznych akademików sukcesywnie ubywa. 15 lat temu było ich o 40 więcej. Od tego czasu wyparowało też jakieś 30 tys. miejsc. Po części dlatego, że dziś standardem są wygodniejsze pokoje z mniejszą liczbą łóżek. Ale też dlatego, że uczelnie zamknęły i sprzedały niektóre akademiki. A na budowę nowych nie mają ziemi i funduszy.

Przed wyborami niektóre partie pochylały się nad losem studentów. Polska 2050 zaproponowała „akademik za złotówkę”, a Lewica stypendium w wysokości 1 tys. zł dla wszystkich studiujących do 26. roku życia.

Zdaniem wiceprzewodniczącego NZS żaden z tych pomysłów (o ile któryś w ogóle zostanie wprowadzony w życie) nie rozwiąże problemu. – *Akademik za złotówkę zwiększy tylko popyt na miejsca w akademikach, a to nie z tym jest problem, tylko z podażą. Dotychczasowi mieszkańcy akademików, oczywiście, byliby zadowoleni z takiego obrotu spraw, bo więcej pieniędzy zostawałoby w ich kieszeniach, ale pozostali byliby jeszcze bardziej rozgoryczeni, że nie mogą z tego skorzystać. Co się zaś tyczy 1 tys. zł miesięcznie – jest to rozwiązanie doraźne, którego bardzo byśmy sobie życzyli, ale w oczekiwaniu na poszerzenie bazy mieszkaniowej, czyli budowę nowych akademików* – tłumaczy Jakub Kruszyński. I podpowiada: – *Jeżeli przyszedł rząd demokratów naprawdę chce zrobić coś dobrego, niech wesprze uczelnie w budowaniu nowych akademików.*

NORBERT FRĄTCZAK



Po pięciu latach od legalizacji medycznej marihuany nie jest trudno zostać pacjentem i palić lub waporyzować legalne zioło. Ale za posiadanie nawet niewielkiej ilości suszu bez recepty wciąż grozi więzienie.

Zioło na całe zło

AGNIESZKA SOWA

Mamy dziś w Polsce ponad 101 515 pacjentów, którym lekarze wystawili ponad 260 tys. recept, z czego przeszło 210 tys. zostało zrealizowanych. Biorąc pod uwagę łatwość, z jaką można uzyskać receptę, ale dziwne, że pacjentów jest tak mało. W ciągu czterech i pół roku, od stycznia 2019 do czerwca 2023 r., apteki sprzedały im nieco ponad dwie tony suszu. To już robi wrażenie. Ale gdy legalne konopie dopiero wchodziły na rynek, eksperci szacowali, że Polacy rocznie wypalają 500 ton czarnorynkowego zioła.

– 500 ton to i tak mocno zanizone szacunki – mówi Maciej Kowalski, kiedyś Wolne Konopie, potem założyciel Hem Poland, pierwszej w Polsce firmy zajmującej się uprawą, skupem i przetwórstwem konopi włóknistych (czyli tych, które mają poniżej 0,2 proc. THC i nie wywołują efektu psychoaktywnego). Po sprzedaniu Hem Poland kanadyjskiemu potentatowi

Kowalski otworzył Kombinat Konopny. – Według mnie spokojnie można podwoić tę ilość. Z unijnego raportu o narkotykach z 2022 r. wynika, że marihuany używa 15,5 proc. dorosłej populacji UE. Można zakładać, że Polska nie odbiega od tych statystyk.

Medykalizacja?

– Apteki sprzedały tyle, ile zostało zakontraktowane przez państwo – mówi dr Jerzy Jarosz, anestezjolog i specjalista leczenia bólu, założyciel pierwszego w Polsce punktu konsultacyjnego na temat leczniczego działania marihuany, działającego charytatywnie przy warszawskim Hospicjum Onkologicznym św. Krzysztofa, od 2015 r., od czasu gdy leczenie konopiami było jeszcze przestępstwem.

– Wciąż zdarzają się na rynku braki. Niektórzy chorzy kupują zatem na zapas, co jest nierozsądne, bo konopie mają trzymiesięczny okres ważności. Sądzę też, że część medycznych konopi wykupują rekreacyjni użytkownicy. Jest to możliwe, dlatego że receptę może wypisać każdy lekarz właściwie w każdym wskazaniu.

– Medyczna marihuana jest zarejestrowana jako surowiec farmaceutyczny do sporządzania leków recepturowych – mówi Bartłomiej Zalewa, znany jako Konopny Farmaceuta, który prowadzi także klinikę Konopny Med. – A surowiec nie ma wskazań i dlatego lekarz może go przepisać według swojej wiedzy na wiele chorób czy dolegliwości.

Więc nie jest tak, jak wciąż myślą niektórzy, że marihuana medyczna to lek zarezerwowany dla pacjentów w stanie terminalnym. Anna waporyzuje apteczny susz, bo choruje na endometriozę i cierpi. Piotr ma PTSD, leczy się psychiatrycznie i wspomaga ziołem, chociaż jego psychiatra początkowo kręcił nosem. Martyna ma zdiagnozowaną tężyczkę magnezową i odkąd przed snem inhaluje niewielką dawkę aptecznej marihuany wzbogaconej o susz z CBD (inny składnik konopi, także o leczniczych właściwościach), nie budzą jej kilkakrotnie w ciągu nocy koszmarne skurcze mięśni ud i podudzi. Marcin ma atopowe zapalenie skóry i odkrył, że marihuana lepiej niż sterydy łagodzi świąd i pieczenie ran, które często pojawiają się na całym ciele.

– Tak naprawdę konopie medyczne mają zastosowania w czterech wskazaniach – mówi dr Jarosz. Przewlekły ból neuropatyczny, gdy inne leki są ▶

► nieskuteczne, więc konopie są lekiem trzeciego rzutu. Spastyczność mięśni u chorych na stwardnienie rozsiane (SM). Wyniszczenie organizmu u chorych na AIDS. I wymioty spowodowane chemioterapią u chorych onkologicznych. Do tego THC w odpowiedniej proporcji z CBD, które nie jest substancją psychoaktywną, daje bardzo dobre efekty u dzieci z padaczką lekooporną.

– Tylko w tych wskazaniach mamy potwierdzone badaniami klinicznymi dowody na skuteczność medycznych konopi – mówi dr Jarosz. – Cała reszta to domysły. Konwencja helsińska daje lekarzowi prawo stosowania metod, które nie są udowodnione, ale które według jego wiedzy mogą przynieść poprawę w ramach eksperymentu medycznego. Jednak to się robi po konsultacjach z grupą ekspertów.

Dlatego Polskie Towarzystwo Medycznej Marihuany i Leków Kannabinoidowych, którego dr Jarosz był założycielem i pierwszym prezesem, opracowało wytyczne do stosowania medycznych konopi. Chcą, żeby na ich podstawie odbyła się dyskusja w środowisku medycznym, która doprowadzi do medykalizacji konopi medycznych.

– A co za tym idzie, ukróci plagę konopnych receptomatów, bo tak działały niektóre z tych konopnych klinik – mówi dr Jarosz. Lekarz ubolewa nad tym, że w Polsce nie ma medycyny konopnej. Żadnych kursów dla lekarzy ani publicznej dyskusji w środowisku, co i jak leczyć. – Całe szczęście, że marihuanę nie można się zabić tak jak fenantylem, który jest przyczyną 70 tys. zgonów rocznie w USA – mówi dr Jarosz. – Marihuana nie jest też tak uzależniająca jak opioidy.

Lekarz Marcin Sobczak, założyciel jednej z pierwszych konopnych klinik w kraju, Pomorskiego Centrum Marihuany Leczniczej, który kończy specjalizację z ortopedii i traumatologii, przyznaje, że wiedzę na temat marihuany leczniczej zdobywa sam w trakcie pracy. Z podręczników medycznych można się tylko dowiedzieć, jak postępować z pacjentem odurzonym. – Jest dużo webinarów prowadzonych przez osoby zajmujące się leczeniem konopiami medycznymi, ale to w większości także samoucy – mówi lekarz. – To jest zrozumiałe, bo to nowa dziedzina, wciąż jest niewiele rzetelnych badań. W wielu krajach, np. w Holandii czy w USA, także nie opracowano wskazań do stosowania marihuany medycznej.

Więc z konieczności działają trochę po omacku. Dużo ludzi wierzy, że THC i CBD spowalniają proces nowotworowy i zapobiegają przerzutom. – Są badania,

które to potwierdzają, ale w większości to studia pojedynczych przypadków bez większej wartości naukowej – mówi Sobczak. – Wiemy jednak, że na ścieżce tworzenia przerzutów są receptory endokannabinoidowe. Więc można włączyć medyczną marihuanę jako suplement, zwłaszcza że chorzy onkologiczni na ogół mają problemy bólowe i obniżony nastrój. W mojej ocenie taka suplementacja nie zaszkodzi, ale zawsze przypominam, że podstawą jest leczenie onkologiczne.

Konopne receptomaty

Piotr Kuźniewicz i Aneta Kilian-Kuźniewicz, małżeństwo psychologów, konopnych edukatorów i specjalistów od treści internetowych na amerykańskich i kanadyjskich rynkach konopnych, znani jako Stonerchef, nie zgadzają się z takim zawężaniem wskazań medycznych konopi. – Współpracujemy z amerykańskimi lekarzami, którzy twierdzą, że marihuana pomaga na wiele różnych schorzeń – mówią. – Choćby w chorobach autoimmunologicznych. A to dlatego, że człowiek ma układ endokannabinoidowy odpowiedzialny za regulację podstawowych funkcji życiowych. Konopie natomiast mają fitokannabinoidy, substancje bardzo podobne w strukturze do kannabinoidów produkowanych przez ludzki organizm. Fitokannabinoidy wspierają pracę układu endokannabinoidowego. Ale także oni twierdzą, że wysyp poradni reklamujących się przekazem: „recepta w 15 minut, pracujemy 24/7, wszystko legalnie”, z konopną medycyną nie ma nic wspólnego.

W biznes wchodzi prawie wszyscy. Grupa Lux Med wysyłała do niektórych pacjentów wiadomości e-mail dotyczące możliwości podjęcia terapii marihuaną medyczną. M.in. na migreny, ból kręgosłupa, bóle nowotworowe, nudności, wymioty, przewlekłe stany zapalne, utratę apetytu i zaburzenia jedzenia, zaburzenia psychiczne, ADHD, depresję, psychozy, zaburzenia lękowe, problemy ze snem. Eksperci cytowani przez „Dziennik Gazetę Prawną”, która opisała tę kontrowersyjną akcję Lux Medu, zarzucili firmie reklamowanie produktu leczniczego oraz wprowadzanie w błąd co do możliwości zastosowania takiej terapii.

Marcin Sobczak z Pomorskiego Centrum Marihuany Leczniczej przyznaje, że część pacjentów zgłasza się po receptę na marihuanę wyłącznie do użytku rekreacyjnego. – To widać już po tym, jak wypełniają ankietę, a potwierdza się w trakcie wizyty i wywiadu medycznego – mówi lekarz. – W ostatnim miesiącu

odrzucałem cztery osoby. Oczywiście, jak ktoś jest sprytny, może zwyczajnie kłamać. Lekarz nie ma jak zweryfikować bólu czy bezsenności.

Miewa też pacjentów, którzy wcześniej trafili do innej konopnej kliniki i dostali receptę, nawet nie rozmawiając z lekarzem. Wystarczyło wypełnić ankietę, recepta przyszła mailem. Ministerstwo Zdrowia chciało zrobić porządek z firmami oferującymi recepty lub zwolnienia tylko na podstawie ankiety i uiszczonych opłat, bez kontaktu z lekarzem.

– Konopie to najmniejszy problem w receptomatach – mówi dr Marek Bachański, neurolog z Instytutu Pomnik – Centrum Zdrowia Dziecka, który jako pierwszy w Polsce leczył cierpiące na lekooporną padaczkę dzieci medyczną marihuaną sprowadzaną legalnie z zagranicy, za co został dyscyplinarnie zwolniony z pracy, a potem przywrócony wyrokiem sądu. – Benzodiazepiny i leki opioidowe są dużo groźniejsze, a wygląda na to, że mamy sporo ludzi od nich uzależnionych.

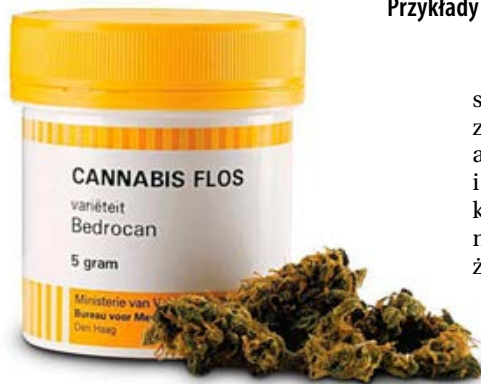
Porządki ministerstwa skończyły się dymisją ministra Niedzielskiego, który ujawnił, jakie leki przepisał sobie lekarz Piotr Pisula krytykujący nowe rozporządzenie, uniemożliwiające lekarzom wypisywanie recept. W efekcie regulację zawieszono najpierw do końca października, na po wyborach, następnie do końca roku. – Mamy opracowany standard teleporady, ustaliliśmy z Ministerstwem Zdrowia weryfikację historii recept na środki odurzające i leki psychotropowe przed wystawieniem kolejnych, by uniknąć wyłudzeń. Co z tego, skoro ministerstwo tego nie wprowadza – mówi Jakub Kosikowski. Wielu wątpi, czy te regulacje wystarczą.

Dekryminalizacja?

Przypomnijmy: to, co można kupić w aptece, czyli tzw. medyczna marihuana, to konopie indyjskie o zawartości od kilku do 22 proc. substancji psychoaktywnej THC, czyli tego, co „klepie”, nie różni się niczym od zioła stosowanego rekreacyjnie przez całe społeczeństwo – kupowanego na czarnym rynku. No może czystością, bo uprawiane jest w kontrolowanych warunkach i ma gwarancję, że nie jest doprawione syntetycznym THC lub inną chemiczną substancją. Badanie kanadyjskich naukowców opublikowane w „Journal of Cannabis Research” wykazało zanieczyszczenie pestycydami i substancjami chemicznymi jedynie 6 proc. legalnej marihuany. W przypadku próbek z czarnego rynku pestycydy były wszechobecne: 92 proc.



Przykłady medycznej marihuany dostępnej w aptekach.



zawierało potencjalnie niebezpieczne substancje chemiczne.

W Polsce jeszcze do 2000 r. posiadanie na własny użytek niewielkich ilości narkotyków nie podlegało karze. Zmieniono ten przepis po to, by diler zatrzymany z niedozwoloną substancją nie mógł uniknąć odpowiedzialności, deklarując posiadanie na własny użytek. W efekcie liczba wykrytych przestępstw posiadania narkotyków wzrosła z blisko 1,9 tys. w 1999 r. do ponad 31,2 tys. w 2007 r., jak podaje w swoim raporcie Polska Sieć Polityki Narkotykowej. Wynika z niego także, że po 2000 r. sprawy dotyczące posiadania marihuany były prowadzone głównie wobec osób, które miały ją na własny użytek, związany z rekreacyjnym paleniem, samoleczeniem lub uzależnieniem.

Natomiast liczba wykrytych poważnych przestępstw związanych z przestępczością narkotykową pozostała na niezmiennym poziomie. Duża liczba orzekanych kar nie zmniejszyła popytu ani podaży narkotyków. W badaniach przeprowadzonych na potrzeby raportu sami policjanci i prokuratorzy w większości ocenili swoje działania jako nieskuteczne. Badanie objęło także narkotykowych przestępców, którzy w większości deklarowali, że postępowanie karne nie wpłynęło na ich stosunek do tych substancji czy zaniechanie używania.

Dr Piotr Kładoczny, wiceprezes Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, jest zwolennikiem dekryminalizacji marihuany, która jest niewątpliwie łagodniejsza i mniej uzależniająca niż alkohol. Niekaranie za posiadanie niewielkich ilości na własny użytek mogłoby spowodować, że ludzie nie wchodziłoby np. w dopalacze.

– *Paradoksalnie dekryminalizacja posiadania na własny użytek załatwiłaby sprawę receptomatów* – mówi Piotr Kuźniewicz, ze Stonerchefa. – *Ktoś, kto używa ziola rekreacyjnie, zapewne wolałby hodować pod lampą albo w ogródku cztery krzaczki, niż płacić 150 czy nawet 200 zł za wizytę w konopnej klinice i kilkaset złotych za apteczną marihuanę.*

Cena zapewne jest jedną z przyczyn, dla których rekreacyjni palacze konopi indyjskich nie szturmują masowo aptek. 1 g marihuany na czarnym rynku kosztuje ok. 50 zł, cena aptecznej waha się między 55–70 zł, choć można polować na promocje. Jednak większość tych, którzy używają rekreacyjnie, ma swoje od lat wydeptane ścieżki i sprawdzonych dostawców i jest w stanie kupić taniej, za 50, a nawet 30 zł, jeśli zioło pochodzi z prywatnej, małej uprawy.

Legalizacja?

W Europie wiele państw nie karze za posiadanie niewielkich ilości konopi indyjskich na własny użytek. Portugalia w 2001 r. była pierwszym krajem na świecie, który zdekryminalizował użycie wszystkich narkotyków. W Czechach od 2010 r. można mieć do 15 g konopi indyjskich i nie więcej niż pięć roślin. Za używanie, posiadanie i uprawę niewielkich ilości nie karze się w Niemczech, Austrii, Hiszpanii, Holandii, Belgii, Luksemburgu, Chorwacji, Słowenii, na Malcie i we Włoszech. W tych krajach legalna jest marihuana medyczna lub leki kannabinoidowe.

Doktor Jerzy Jarosz przyznaje, że kiedy w 2015 r. dziennikarze pytali go, co by zrobił, gdyby od niego zależała legalizacja marihuany, był zdecydowanie przeciwny. – *A teraz uważam, że jedynym wyjściem jest częściowa legalizacja konopi indyjskich do użytku rekreacyjnego* – mówi lekarz. – *Wtedy będzie możliwość refundacji marihuany medycznej dla chorych i pełna kontrola NFZ nad lekarzami i receptami na refundowany lek. A ci, którzy po prostu chcą się odurzać konopiami, robiliby to na własną odpowiedzialność.*

Bo dziś wielu pacjentów na leczenie po prostu nie stać. – *Dawki dla dzieci z padaczką lekooporną są liczone w gramach i rodzice muszą zrezygnować z terapii* – mówi dr Marek Bachański.

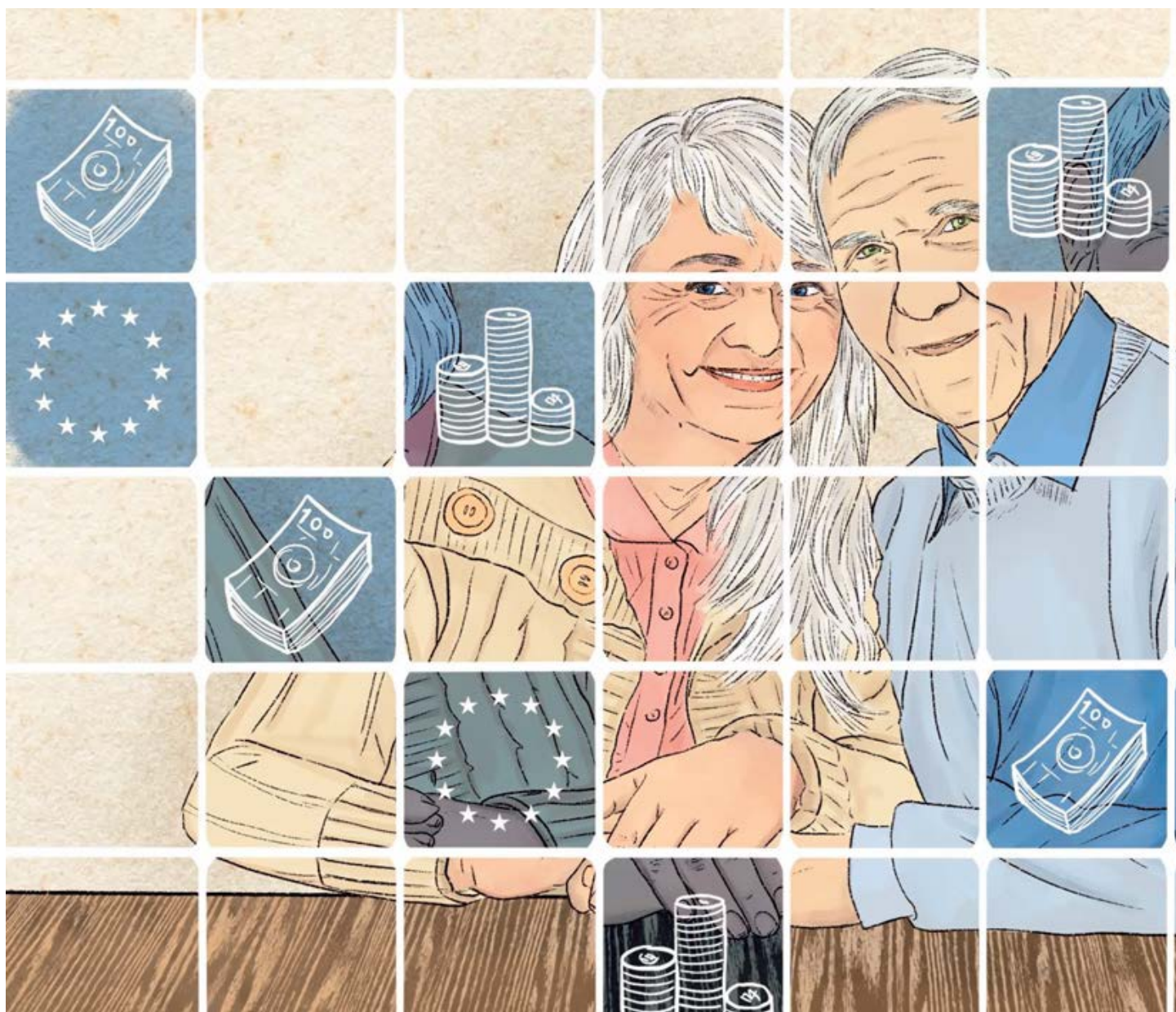
Czy częściowa legalizacja jest możliwa w Polsce? Przykład idzie z Europy. Niemcy w grudniu będą głosować nad legalizacją marihuany. Nasi południowi sąsiedzi, Czesi, chcą wprowadzić możliwość legalnego nabycia suszu z dziennym limitem do 5 g na osobę. Ma obowiązywać jednak zakaz reklamy i promocji.

Problemem jest unijne ustawodawstwo antynarkotykowe. Dlatego kraje członkowskie nie mogą tworzyć oficjalnego rynku marihuany, legalizują tylko posiadanie i uprawę na własne potrzeby czy tworzenie stowarzyszeń konopnych, jak w hiszpańskiej Katalonii. Malta, pierwszy kraj w Unii Europejskiej, który zalegalizował marihuanę w 2021 r., wydała właśnie pierwsze dwie licencje dla konopnych klubów (stowarzyszeń non profit) na legalną uprawę i dystrybucję marihuany.

Do częściowej legalizacji przymierza się też Belgia, wicepremier Pierre-Yves Dermagne stwierdził, że „legalizacja marihuany to rozwiązanie problemu narkotyków i bezpieczeństwa w naszych miastach” i postuluje „zakończenie hipokryzji wokół marihuany”, argumentując, że najlepszym sposobem kontroli nad marihuaną jest jej regulacja. Szwajcaria, niezwiązana unijnymi traktatami, wprowadziła pilotażowy projekt legalizacji marihuany, a Urząd Zdrowia Publicznego w Szwajcarii wydał zezwolenie na założenie pierwszych w Europie legalnych sklepów z marihuaną dla dorosłych, w ramach pilotażowego projektu. Z kolei w USA, w listopadzie, 24. stan, Ohio, zalegalizował marihuanę do użytku rekreacyjnego dla dorosłych.

Pewne jest jedno. Samo zalegalizowanie medycznej marihuany nie wystarczy. Przed polskim ustawodawcą i środowiskiem medycznym stoi wyzwanie, by jakoś uporządkować ten bałagan.

AGNIESZKA SOWA



Radość na starość



© MP/ANGO.PL

Jak się starzeć w lepszych warunkach dzięki unijnym pieniądzą, po które nie sięgamy, choć powinniśmy, rozmawiamy z **Justyną Ochędzan**, rzeczniką ds. ekonomii społecznej w Europejskim Komitecie Ekonomiczno-Społecznym w Brukseli.

MARTYNA BUNDA: – To prawda, że właśnie przechodzą nam koło nosa miliardy euro?

JUSTYNA OCHĘDZAN: – Tak. Mówimy o 12 mld euro z Europejskiego Funduszu Społecznego Plus, przeznaczonych na integrację społeczną, i dodatkowych środkach z Krajowego Planu Odbudowy. I jeszcze o przyszłych miliardach na wspieranie opieki długoterminowej. To są pieniądze na rozwiązania, które mogłyby m.in. uczynić znośniejszą naszą starość. Moglibyśmy tworzyć miejsca, z których sami będziemy chcieli skorzystać jako osoby starsze albo opiekunowie. Zamiast molochowatych DPS-ów, w których zamyka się ludzi z różnymi ograniczeniami jak w zoo.



ILUSTRACJA IZA KUCHARSKA

W Polsce starość to długo była sprawa rodzinna. Wyznaczało się kogoś do roli niewolnika, obsługującego bliskiego 24 godziny na dobę, albo załatwiała miejsce w DPS. Względnie, żeby trochę odetchnąć podrzucało się bliskiego do szpitala pod pretekstem, że się odwodnił.

Unia zwraca uwagę, że tak nie można: czynienie z kogokolwiek niewolnika jest niedopuszczalne. I proponuje ścieżkę wyjścia z tej patologii. Zgodnie z wytycznymi Unii powinniśmy też już odchodzić od DPS-ów. One zawsze będą istniały, ale znacznie większą częścią systemu opieki powinny być zupełnie inne rozwiązania. Lokalne, różnorodne,

wspierające rodzinę, wspomagające albo wyręczające ją w opiece. Pozwalające wydłużyć ten czas w życiu, gdy w ogóle nie potrzebujemy opieki. I profesjonalne. W tym sensie, że dadzą zatrudnienie właściwym osobom za przyzwoite pieniądze.

Oczywiście w organizowaniu pomocy nikt nie zabroni nikomu korzystać z formy pracy, jaką jest wolontariat, ale w unijnej idei, rozpisanej na konkrety w dokumencie „A European Care Strategy for caregivers and care receivers”, zwanym w skrócie „Care Strategy”, chodzi o to, żeby godziwie opłacać pracę opiekunów. Stworzyć etaty, zatrudnić tyle osób, ile naprawdę potrzeba. Nie łątać, nie przelewać z pustego w próżne. Również z tego powodu, że godna płaca w jakiejś mierze chroni np. przed wypaleniem, co jest zmurą zawodów opiekuńczych. Według wytycznych Unii polepszenie warunków, w jakich pracują ludzie świadczący usługi opiekuńcze odpłatnie, zarobkowo, jest nie mniej ważne niż budowanie nowych instytucji i rozwiązań.

Teraz powinniśmy w Polsce przekuć zapisy „Care Strategy” na konkrety.

Kto miałby korzystać z tych pieniędzy?

My. W sensie dosłownym. Ja, pani, nasi sąsiedzi. Zwłaszcza ludzie mieszkający na wsi, gdzie i tak trzeba wszystko sobie zorganizować, począwszy od transportu do lekarza do miasta. Właściwie każdy, kto ma pomysł na projekt polepszający życie seniorów albo swoją własną starość lub też na projekt organizujący opiekę nad osobami zależnymi i odciążający opiekunów. Każdy może się zgłosić po unijny grant. Każdy sensowny pomysł może uzyskać dofinansowanie.

Może nikt się nie zgłasza, bo ludzie są tak przeciążeni obowiązkami, że nie mają już siły, by wziąć na siebie rozliczanie unijnych pieniędzy?

Są już grupy sąsiedzkie, które korzystały np. z minigrantów przyznawanych przez fundacje i stowarzyszenia, żeby coś prostego wokół siebie zmienić na lepsze. Do niejednej wsi grupa koleżanek sprowadzała z grantowych pieniędzy lekarza, a w niejednym mieście organizowano rozwijające społeczność wydarzenia. To można pociągnąć dalej. Bo pieniądze, o których mówimy, są właśnie dla sektora obywatelskiego, dla lokalnych inicjatyw, bo Unia jest przekonana, że najlepsze rozwiązania powstają blisko problemu, blisko ludzi.

Rozliczyć unijny grant to jednak co innego, niż przyjąć 2 tys. zł

na przyjazd lekarza ginekologa z grantu z Funduszu Feministycznego i zorganizować tę wizytę.

A ja myślę, że nie mała część organizatorek stanowi oczywiście kandydatki na grantobiorczynie projektów w ramach „Care Strategy”. Nie ma specjalnej różnicy w procedowaniu takich przedsięwzięć, kwestią jest tylko skala. I horyzont czasowy. Teraz dzięki unijnym pieniądzązom moglibyśmy stworzyć dla siebie rozwiązania, które będą miały finansowanie przez lata. A na pewno będą potrzebne, bo o tym decyduje demografia.

Ale w poprowadzeniu tego tematu widzę też rolę samorządów. To kolejne naturalne środowisko do tworzenia projektów wspierających osoby z niepełnosprawnościami, wynikłymi również z wieku. Samorząd mógłby pełnić funkcję koordynatora, a współpracując z nim fundacje i stowarzyszenia prowadziłyby projekty, obsadziły etaty. Ludziom w samorządach z pewnością nie brakuje świadomości, że w ten sposób rozwiążą problemy, które i tak spadłyby na ich barki. I zrobią to sprawniej i szybciej. Bo czy opieka nad częścią społeczności jest mniej ważna niż nowy wodociąg albo drogi?

Nie wierzę też, że osoby, które mogłyby poprowadzić takie działania, nie czytają teraz naszego wywiadu. Bo przecież w Polsce właśnie starzeje się pokolenie, które i tak wszystko robiło samo – budowało szkoły społeczne dla swoich dzieci, niczego nie oczekując od państwa, organizowało sobie prywatną medycynę. Skoro w Polsce w ostatnich niestabilnych latach upadły tysiące firm, a pozostali ich właściciele, to może są wśród nich osoby gotowe poprowadzić podmiot zajmujący się opieką i niesprawnością?

Jakie to mogłyby być projekty?

Unia liczy np., że powstanie więcej małych placówek całodobowych prowadzonych przez organizacje pozarządowe, czy mieszkań wspomaganym. Liczy na rozwój usług świadczonych w środowisku domowym – bo to jest przyszłość usług społecznych. Unii chodzi o to, żeby wzmacniać system opieki nieformalnej w swojej okolicy, mieście, wsi. Szalenie istotne jest także, by np. na wzór niemiecki rozwijać drobne usługi, jak dowóz zakupów na tereny wiejskie. Dla samotnej osoby w zaawansowanym wieku czasami to jedyna szansa na zakupy.

Ciekawy przykład to darmowe taksówki dla seniorów, finansowane przez ►

► państwo; to rozwiązanie skopiowano nawet w Polsce. Dlatego dzielenie się rozwiązaniami i innowacjami pomiędzy krajami członkowskimi Unii Europejskiej jest tak ważne.

Przychodzi mi do głowy rozwiązanie skandynawskie: gmina za pieniądze publiczne zatrudniła ekipy remontowe, które w domach seniorów dokonywały drobnych usprawnień, np. zamiany wiszących szafek kuchennych na takie, do których można sięgnąć bez wspinania się na taborety. Bo z analiz Ministerstwa Zdrowia wynikało, że scenariusze utraty sprawności zwykle zaczynają się od jakiegoś upadku.

Świetnie i mądrze rozwiązanie, które z powodzeniem mogłoby być sfinansowane z pieniędzy unijnych, z „Care Strategy”. Podkreśla się w tym dokumencie, jak ważne jest, żeby człowiek starszy tak długo, jak się da, pozostawał w swoim dotychczasowym środowisku. Pewnie znajdują się dziesiątki innych, równie dobrych przykładów, które można podpatrzeć i wdrożyć u nas. Środków z Europejskiego Funduszu Społecznego Plus, które moglibyśmy przeznaczyć na podobne cele, jest bardzo dużo.

Ale zauważmy, że w ramach wdrażania „Care Strategy” możliwe są też znacznie większe projekty. Droższe. Na przykład miniosiedle, które stworzy dla siebie grupa seniorów. Parter, odpowiednia dostępność budynków, lekarz na etacie. I niezależne mieszkania. Wpisowe od nowych członków, pochodzące np. ze sprzedanego dawnego mieszkania, i zwracane rodzinie, gdy senior już umiera. Takich przedsięwzięć powstało sporo w Niemczech. I jak najbardziej mieszczą się w unijnych założeniach. Można by coś takiego stworzyć i u nas.

W Polsce mieliśmy już takie inicjatywy... przed drugą wojną. Wtedy powstała słynna dziesiąta kolonia WSM na warszawskim Żoliborzu. To był budynek z mieszkaniami dla seniorów i innych osób potrzebujących opieki, w ramach większego osiedla dla pracowników.

Skoro wtedy się udało, bez finansowania z zewnątrz, to dlaczego teraz się nie udaje?

Ale pamiętajmy, że w całej tej unijnej idei chodzi również o to, żeby chronić i profesjonalizować to, co już jest. Żeby np. wesprzeć te osoby, które życie postawiło przed koniecznością wzięcia na siebie opieki nad członkiem rodziny.

Matki Polki niewolnice, córki i synowie na trzech etatach...

Skoro kilka milionów Polaków, części Polek, pełni już funkcje opiekuńcze wobec najbliższych, powinny mieć wsparcie finansowe, wytchnieniowe, systemem tzw. subsydiów jako zwrotu z płaconego podatku. Unia mówi: opieka nad członkiem rodziny to nie może być niewola. Zdaję sobie sprawę, jak ograniczony jest czas osób opiekujących się bliskimi. Ale przecież są już w Polsce stowarzyszenia, szkoły, placówki pozarządowe, które im służą. Mogłyby to zacząć robić na większą skalę.

Państwo nie powinno być kimś w rodzaju akuszerki tych projektów?

Powinno, ale nie jest. Z różnych powodów politycznych poprzedni rząd stracił kontakt z sektorem pozarządowym i nie włączał go we współtworzenie pomysłu na środki unijne.

Państwo rozumiane jako system prawa i instytucji to również zbiór ludzi, którzy w tych instytucjach pracują. I mają swoje nawyki. W Polsce utarło się myślenie, że trzeci sektor pracuje za półdarmo. Że system profesjonalny to właśnie DPS-y. Przez ostatnie dekady wiele zrobiono, żeby ich standard się zmienił. Ale z poziomu urzędnika szczebla ministerialnego lepiej zarządza się siecią konkretnych DPS-ów niż masą nieokreślonych projektów i rozproszonych w środowisku usług opiekuńczych. Sprawę wszystkich DPS-ów w Polsce można załatwić jedną ustawą. A dziesiątek inicjatyw, które niewiele łączą? Dlatego na poziomie ministerstw niby rozumie się wyzwania, jakie przed nami stoją, ale jeśli chodzi o konkrety, cała para idzie w to, co już jest. Ale to nie wystarczy, żeby obsłużyć srebrne tsunami, które nadciągnie, gdy w starość wejdą roczniki wyżu lat 70. i 80. A to przecież już za chwilę.

Jeśli sami nie weźmiemy spraw we własne ręce, zostaniemy z naszymi umieralniami. Z załatwianiem miejsca w DPS, ZOL-ach, kombinowaniem, a na koniec taka właśnie będzie nasza własna starość. Szpital, względnie prywatny DPS, który może będzie przypominał elegancką placówkę medyczną

albo też okaże się dusznym wieloosobowym pokojem w nieremontowanym bliźniaku. W zależności od zasobności portfela. Ale naprawdę można by inaczej. Jeśli to sobie inaczej urządzimy. Bo wbrew temu, co od lat wciąż powtarzano w publicznej telewizji, Unia niczego nam nie każe, ale wiele umożliwia.

Człowiek, zgodnie z unijnymi standardami, ma prawo do godnej śmierci.

Jest o tym mowa wprost w Europejskim Filarze Praw Socjalnych, czyli karcie europejskich wartości w obszarze praw społecznych i socjalnych. Ale w Polsce godna śmierć pozostaje w sferze papierowych deklaracji.

W wielu krajach UE obywatele mają tzw. bezwzględne roszczenie prawne wobec państwa. W tym sensie, że jeśli coś jest zapisane w ustawach, to państwo, a nie obywatele, głowi się, jak zapewnić realizację tych praw. W Polsce to działa inaczej. Jako obywatele mamy do czegoś prawo. Ale to coś należy np. do zadań własnych gminy. A gmina nie ma pieniędzy na realizację. Nie ma, to nie ma. Zapisy o naszych prawach w przypadku, kiedy dotyczą kwestii opiekuńczych, w większości pozostają puste.

Całe pokolenie Polaków dało się przekonać, że pomoc i opieka państwa należą się tylko tym, którzy są niewydolni. Reszta ma sobie poradzić. Zarobić i sobie kupić.

A więc cała reszta, całe pokolenia tak właśnie zorganizowały sobie rzeczywistość – opłacając bliskiemu miejscu w domu opieki, opłacając pomoc medyczną, przekonane, że tak właśnie musi być – wystarczy, że będzie więcej pracowało. Ale już najwyższy czas porzucić to myślenie. Wszyscy mamy prawo do wsparcia w opiece czy starości. Nie tylko ci, którzy zupełnie sobie nie radzą, nie są w stanie utrzymać pracy czy mieszkania. Wsparcie państwa w pokonywaniu życiowych trudności należy się nam w takim samym stopniu, niezależnie od wcześniejszych życiowych dokonań. Ale najlepiej będzie dla nas, jeśli sami to sobie zorganizujemy.

ROZMAWIAŁA MARTYNA BUNDA

Gdzie szukać pomocy

Na portalu funduszeuropejskie.gov.pl w zakładce **punkty informacyjne** dostępne są adresy i numery telefonów w konkretnych województwach, pod którymi można uzyskać szczegółowe informacje dotyczące składania i procedowania wniosków do projektów wspominanych w tekście.



Marcin Potempa



Komu sprzyja wiatr

Pierwsi górnicy z likwidowanych kopalń dostają oferty zatrudnienia w elektrowniach wiatrowych.

Wkrótce może tu być kilkadziesiąt tysięcy miejsc pracy. Ale czy da się tak przenieść spod ziemi na stumetrowe wieże?

RYSZARDA SOCHA

W Finlandii lasy z wysokości wieży elektrowni wiatrowej wyglądają jak trawniczek. Gdy jest mgła, można odnieść wrażenie, że jest się między chmurami albo ponad nimi. Wielka zmiana, bo Marcin Potempa, rocznik 1976, wcześniej pracował tysiąc metrów pod ziemią – na oddziale wydobywczym Kopalni Borynia Jastrzębskiej Spółki Węglowej – teraz 160 m nad. Nie powie, że w kopalni nie ma romantyzmu, superwrażeń, choć innego rodzaju. Najpierw fascynowały go te setki kilometrów podziemnych korytarzy, potężne

maszyny. Ale z czasem monotonia tego systemu pracy zaczęła nużyć. Potrzebował odmiany. Skorzystał z tego, że dwa lata temu pojawił się program przekwalifikowania górników na techników i serwisantów turbin wiatrowych. Inicjowany przez firmy z branży wiatrowej, które potrzebują kadr, wspierany przez Spółkę Restrukturyzacji Kopalń. Dla uczestników darmowy.

Koledzy mówili: głupi jesteś

Przejsie od czarnego węgla do zielonej energii, o dziwo, nie wymaga lat edukacji. Wystarczą miesięczne kursy. Podczas tych szkoleń uczy się nie zawodu,

ale ogólnych zasad bezpieczeństwa, których trzeba przestrzegać w nowej pracy. Wiedzę i umiejętności, jak montować wieże wiatrowe, jak je serwisować, adepti kursów zdobywają już u pracodawcy, od bardziej doświadczonych kolegów. W grę wchodzi spektakularne operacje. Na przykład ważącą 700 ton turbinę trzeba wciągnąć dźwigiem na wysokość 100 m, osadzić i przykręcić. – *To branża dla ludzi trochę szalonych, a zarazem odpowiedzialnych* – opowiada Potempa. – *Tu śrubokręt nie może wypaść z kieszeni, bo spadając z tej wysokości, mógłby zabić człowieka.*

► Marcin Potempa spośród górniczej siódemki, która trafiła na pierwszy kurs (za pieniądze z UE, wart 30 tys. zł) miał za sobą najdłuższy staż – 15 lat pracy pod ziemią. Koledzy z kopalni mówili: głupi jesteś. Mądry, ich zdaniem, powinien czekać, ponieważ w związku z programami szybszych odejść z górnictwa miał perspektywę rychłej emerytury. Niektórzy łapią się na nią po 20 latach pracy, w wieku 40 lat. A on wybrał radykalną zmianę.

Może dlatego, że nie jest z górniczej rodziny. Pochodzi z Podbeskidzia. No i jest singlem, to mu łatwiej. – *Praca w kopalni jest stacjonarna, za płotem, 10 minut od domu* – opowiada. – *Generalnie ludzie tego chcą. Po pracy – piwo z kolegami. Po powrocie do domu – żona, dzieci. A wszystko na miejscu. Człowiek się przyzwyczaja, gnuśniej. Górnicy przywykli do tego, że mają stabilizację. Ktoś im obiecał, że będą tak mieli zawsze. Nikt nie zadaje im pytania: co ty, pracowniku, zrobisz, gdy ci ten zakład zamknie. Szanuje kolegów, którzy dalek pracują pod ziemią. Ale dla siebie chcą czegoś więcej, niż czekać na tę emeryturę, która może będzie, a może nie.*

Przy wiatrakach praca jest rotacyjna. Parę tygodni poza domem, przeważnie za granicą, parę w domu. Te rotacje – rytm pracy i wypoczynku – zależą zarówno od firmy, jak i pracownika. Według Marcina Potempy jest duża elastyczność, można się z pracodawcą dogadać.

Jako jednoosobowa firma zarabia lepiej niż w górnictwie, ale sam musi przypilnować swoich spraw, uregulować podatek, zdecydować, jaki ZUS chce płacić. Nic nie jest podane na tacy. W kopalni miał większe bezpieczeństwo socjalne, tu ma więcej wolności. – *Pracuję w zespołach wielojęzycznych* – opowiada. – *Obecnie moim przełożonym jest facet z Beninu, czarnoskóry, zna cztery języki. Ja na razie znam tylko angielski.*

Z kursu, w którym uczestniczył, na siedmiu górników na razie tylko dwóch zdecydowało się odejść z kopalni. On zaczynał od instalacji, czyli stawiania farm wiatrowych, gdzie pracuje się w zespołach 15-osobowych. Teraz jako serwisant pracuje w zespołach trzyosobowych. Objężdża się farmy, dokonuje przeglądów, konserwacji, wymiany zużytych elementów. Serwisy postrzegane są jako awans – nie pracuje się na deszczu, w śniegu.

Nadal mieszka w Jastrzębiu-Zdroju. Tam wraca po kolejnych pobytach za granicą. Czasem po sześciu tygodniach,

czasem po trzech miesiącach. Ma wtedy parę tygodni dla siebie. – *Czuję wolność* – relacjonuje. – *Mogę np. pojechać z siostrą do Austrii w Alpy. Ale dla wielu wolność to ta emerytura.*

Pracował w Finlandii, Niemczech, obecnie we Francji. – *Mieszkamy komfortowo, w domach wynajętych przez firmę. Poznajemy te kraje od podszewki, inaczej niż turyści. Jeśli chodzi o infrastrukturę, to najbardziej mi się podobały Niemcy. Tam też widziałem największą wolność – zawsze otwarte sklepy, wymieszane społeczeństwo na ulicach.*

Z kutra na wiatrak

Jakie są perspektywy górnictwa węgla kamiennego w Polsce, powszechnie wiadomo. Z pewnymi wyjątkami bardziej opłaca się sprowadzać węgiel z zagranicy, niż wydobywać w kraju. Część kopalń od lat przechodzi restrukturyzację. Związany z wojną w Ukrainie węglowy boom jest zjawiskiem chwilowym. A radykalne ograniczenie udziału tej kopaliny w tzw. miksie energetycznym nieuchronne.

OZE rosną w siłę i będą rosły. Według najnowszego raportu Międzynarodowej Agencji Energii Odnawialnej (IRENA) liczba miejsc pracy w całym tym sektorze w ciągu 10 lat (2012–22) wzrosła na świecie z 7,3 mln w 2012 r. do 13,7 mln. W tym 1,4 mln miejsc pracy przypada na OZE wiatrowe. Przodują Chiny (blisko połowa zatrudnienia). Za nimi są Niemcy (140–150 tys.). Polska na tym tle wypada błado. Co innego Polacy. Według Global Wind Organisation są szóstą narodowością wśród techników turbin wiatrowych w świecie. Można ich spotkać w Hiszpanii, ale też w Tajlandii.

Za tym eksportem stoją dwa wyspecjalizowane ośrodki szkoleniowe: Windhunter Academy w Koszalinie i Vulcan Training & Consultancy w Szczecinie. Każdy z nich wydaje rocznie po kilka tysięcy różnych certyfikatów umożliwiających pracę na całym świecie. Wkrótce część kadr będzie mogła też liczyć na zatrudnienie w kraju. Wraz ze zmianą przepisów blokujących rozwój energetyki wiatrowej na lądzie. I wraz z pojawieniem się farm wiatrowych w polskiej części Bałtyku. Branża prognozuje, że łącznie może być z tego



Mateusz Cichocki

100 tys. nowych miejsc pracy, a nawet więcej, w zależności od scenariusza rozwoju. Przygotowania do budowy morskich farm trwają od dawna. Lada moment wychy-

nię z wody te najbardziej zaawansowane inwestycje. Pierwszy prąd ma z nich popłynąć w 2026 r. Rybakom spędza to sen z oczu. Bo oznacza utratę części łowisk, wydłużenie drogi na inne, mniejszą opłacalność połowów, a z tą już od dawna jest kiepsko. Dla władzy ta grupa zawodowa nie jest aż takim kłopotem jak górnicy, więc raczej się z nią pięścić nie będzie.

Może dlatego rybacy wydają się bardziej otwarci na zmianę. Kiedy wiosną tego roku w Ustce rozeszła się wieść, że firma stawiająca farmy wiatrowe szuka przyszłych kadr w tym środowisku, świetlica, w której zorganizowano spotkanie, pękała w szwach. Mateusz Cichocki, rocznik 1986, wtedy jeszcze rybak na kutrze UST-203, szacuje, że przyszło ze 150 osób. A organizatorzy potrzebowali na razie ośmiu. Cichocki nie wie, dzięki czemu się załapał.

Był z niego niespokojny duch. Najpierw trzy lata studiował geografii, potem uganiał się za dziewczyną, wreszcie ukończył studia z „filozofii kultury i komunikacji społecznej”, ale niespecjalnie to czuł. Jego tata ze względów finansowych porzucił niegdys rolnictwo dla rybołówstwa. To wyczerpujące zajęcie. Z czasem zaczęło mu brakować sił. Syn zrobił stosowne kursy i zastąpił ojca na kutrze. Krok po kroku został bosmanem. – *Jako się odnalazłem* – powiada. – *Praca na morzu mnie ukształtowała, dorosłem, nabrałem też mięśni.*

Po 10, 11 latach zaczął odczuwać tę pracę w kręgosłupie, w rękach. Przerzucanie skrzynek po 25 kg z dziesiątkami ton połowu... Miał świadomość, że jak ojciec traci zdrowie. Na szczęście pojawiły się te szkolenia. Wszystko opłacone, podane na tacy.

W maju odbył kurs. Cały czerwiec jeszcze przepracował na morzu. A potem trafił do Flex Windu – duńskiej firmy z oddziałem w Szczecinie. W sierpniu pojechał na pierwszy projekt do Francji, w okolice Hawru, i pracuje tam od trzech miesięcy. Budują już drugą farmę. Następna będzie na Sycylii. – *Znów się szkolimy* – opowiada – *bo Włosi mają swoje wymagania, przepisy. No i kombinuje, jak zabrać na tę Sycylię rower.*

Tryska entuzjazmem: – *Praca super. Chłopaki chętnie pokazują, co robić, pomagają. Wszyscy są Polakami. Nikt się z nikogo nie śmieje. Mój angielski jest katastrofalny. Na szczęście jest telefon komórkowy i translator.*

Praca pozwala poznać kawałek świata. Zawsze tego chciał, ale brakowało mu odwagi. Pieniądze lepsze niż na morzu ma już od początku, na razie o ok. 20 proc. Dostaje coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Widzi, że da się awansować. I to dosyć szybko. Minus, że wyjeżdżając z domu, nie do końca wie, kiedy wróci. Ale zna takich, którzy mając rodzinę, jakoś się w tych realiach odnaleźli.

Męski zawód

Mateusz Kuliberda, rocznik 1992, już jako rybak poznał pracę za granicą – sześć tygodni tam, dwa tygodnie w domu. Ten z wykształcenia technik informatyk został rybakiem, kontynuując tradycję rodzinną. Po ojcu i dziadku. W 2014 r. zatrudnił się jako rybak w Danii. Na Morzu Północnym rybak łowiło się więcej. Praca bardzo ciężka. Zastanawiał się, jak długo będzie w stanie wstawać do tych ryb o trzeciej rano. Wtedy był sam. Teraz ma rodzinę, dwuletnie dziecko. Gdy się dowiedział

o projekcie przebranżowienia rybaków, uznał, że otworzyła się przed nim furta. Samo szkolenie też się spodobało – symulator przeciwpożarowy, ćwiczenia wysokościowe, sale z narzędziami hydraulicznymi.

Po kursie zaczął pracę w Windhunterze, bo firma prócz szkoły ma serwis farm wiatrowych. Najpierw pracował w Niemczech, teraz blisko Piły. Na weekendy wraca do domu do Ustki. Zarobki jako rybak w Danii miał lepsze – 7 proc. od tego, co złowili. W najlepszych miesiącach nawet 35 tys. zł, poniżej 10 tys. zł nie schodził. Ale w nowej branży stawia pierwsze kroki, liczy, że z czasem będzie lepiej. W przyszłości chciałby pracować w cyklach dwa tygodnie na dwa. Bo dziecko rośnie, coraz trudniej się wyjeżdża z domu. Rodzina akceptuje jego wybór.

Przeszkolonych na wiatraki górników i rybaków na razie jest niewielu. Windhunter ma na koncie dwa kursy dla górników (14 osób) i jeden dla rybaków (8 osób). Vulcan w ciągu trzech lat zamierza przeszkolić ok. 60 pracowników kopalń, głównie tych przeznaczonych do likwidacji.

To jest przyszłość

Dr hab. Sylwiusz Retowski, profesor SWPS zajmujący się psychologią pracy, pomysł z wiatrakami odbiera jako krok we właściwym kierunku. Przywołuje artykuł opisujący przemianę, która dokonała się w Niemczech w Zagłębiu Ruhry – „Od węgla do centrum zielonego przemysłu i wiedzy”. W górnictwie w 1955 r. pracowało tam 480 tys. ludzi, w 2018 r. – 3300. Odchodzenie od węgla trwało 60 lat, obejmowało różne działania – od wcześniejszych emerytur po przekwalifikowania, ale raczej w obrębie zawodów technicznych. Bo naszym górnikom na początku proponowano kursy z florystyki. – *Górnicy i rybacy mają swój etos pracy, silną tożsamość* – tłumaczy. – *To nie są takie zwyczajne zawody. Dlatego transformacja jest tu ogromnym wyzwaniem. Na rynku pracy pojawia się sporo miejsc w usługach. Ale kierowanie tam tych mężczyzn ma małe szanse powodzenia.*

Coś jest w tej myśli o męskim świecie. Paweł Wargoński, rocznik 1979, nie był ani górnikiem, ani rybakiem. Od 20 lat pracował w Warszawie, za biurkiem, w tłoczni płyt winylowych. Czuł się trochę wypalony. Rok chodził z myślą o zmianie pracy. Kolega marynarz wskazał na wiatraki – że to ma przyszłość. Wargoński sam szukał kursów, sam za nie zapłacił. Wziął urlop, pojechał do Vulcanu w Szczecinie. – *Miejsce pełne ludzi z pasją* – opisuje.

Od roku pracuje w nowej branży. Jego zarobki się podwoiły w porównaniu z poprzednią pracą. – *Ale nie jest to zajęcie dla każdego* – relacjonuje. – *Musiałem wejść w świat mężczyzn daleko od domów. Pierwsze tygodnie nie były łatwe. Luty, zimno, praca na dworze. Trzeba się było przyzwyczaić do temperatury, zmiennych warunków atmosferycznych. To było wyzwanie, lekcja pokory. Na początku zaciskałem zęby. Przeraziła mnie własna niewiedza. Ale z każdym dniem jest łatwiej, rośnie świadomość i umiejętności.*

Największym problemem była rozłąka z dziećmi (syn 15 lat, córka 9). Sześć tygodni w pracy, dwa w domu. – *Większość znajomych nie sądziła, że się odważę* – stwierdza Wargoński. – *Ale tu jest przyszłość. Biorę udział w tej zmianie, by nasze dzieci żyły zdrowiej i dłużej. Myślę, że robię coś nie tylko dla siebie. Z synem czasem rozmawiamy na ten temat.*

Może ten głos Wargońskiego powinni usłyszeć górnicy, ale i decydenci. Może to, co obecnie wygląda na eksperyment, powinno dostać wiatru w żagle. Nie będzie nas stać na odchodzenie od węgla w nieskończoność.

RYSZARDA SOCHA

REKLAMA



Prywatna Klinika Rehabilitacyjna
CHOROBY KREGOSŁUPA,
NARZĄDU RUCHU I GŁOWY
Krojanty - Dwór k. Chojnic
tel. (052) 398-56-56
fax. (052) 398-56-06
www.krojanty.com.pl
klinika@krojanty.com.pl

LECZYMY:

rwę kulszową, wypadnięcia dysków,
chroniczne zespoły bólowe
kręgosłupa i głowy, powikłania
choroby zwyrodnieniowej kręgosłupa,
następstwa i powikłania urazów
układu kostnego, więzadeł i stawów,
migrenowe bóle głowy.

PROWADZIMY REHABILITACJĘ:

po wylewach, po operacjach
ortopedycznych, po złamaniach



ZRÓB PREZENT
SWOIM RODZICOM

PiS stworzyło Komisję Nadzoru Finansowego dla siebie. Jako potężne narzędzie władzy nad rynkiem finansowym, biznesem i przeciwnikami politycznymi. Teraz, bojąc się, że skorzysta z niego nowy rząd, premier powołał ponownie na szefa KNF Jacka Jastrzębskiego.

Tropem pieniędzy

JOANNA SOLSKA

M

ateuszowi Morawieckiemu zależy, aby nowy szef KNF był człowiekiem starej ekipy. Kadencja obecnego prezesa Jacka Jastrzębskiego skończyła się 23 listopada. Nowego mógłby powołać nowy premier. Wiele osób uważa, że przedłużenie misji Morawieckiego poza granice sensu i przyzwoitości miało właśnie ten cel: zabetonować KNF. Dlaczego? Bo ta mało znana instytucja ma ogromną władzę. A w komisji znajduje się też klucz do szybkich rozliczeń z odchodzącą ekipą.

Mówi były prezes banku: – *Jeśli przychodził do mnie prokurator i żądał wglądu w bankowe konta polityka, bo szukał na niego haków, to ja miałem prawo i obowiązek poprosić go o nakaz sądowy. Bez nakazu żadnego kwitu nie pokażę. Od 2006 r., czyli od powołania Komisji Nadzoru Finansowego, jej urzędnik ma prawo zażądać ode mnie bez nakazu wszystkich kwitów.*



ILUSTRACJA MARCIN BONDAROWICZ

Teraz mógłby na przykład zapytać, ile pieniędzy ma na koncie żona premiera, skąd i z jakich transakcji wpłynęły na jej rachunek i co z nimi zrobiła, jeśli ich już tam nie ma. Albo poprosić o wgląd we wszystkie przepływy finansowe na kontaktach szefa Orlenu Daniela Obajtki. Komisja jest jedynym miejscem, w którym łatwo sprawdzić, kto, ile i w jaki sposób zarobił oraz co zrobił z tymi pieniędzmi. I tego się boją ludzie władzy.

Możliwość obsadzenia 1400 świetnie opłacanych stanowisk i 500 mln zł budżetu komisji to tylko wisienka na torcie, której odchodząca władza także nie chce stracić. Zwłaszcza że te pieniądze nie pochodzą z budżetu, lecz ze składek nadzorowanych przez KNF firm. – *Do niedawna przewodniczący KNF zarabiał 30 tys. zł miesięcznie, ale jedna z osób branych pod uwagę jako nowy przewodniczący komisji oświadczyła, że za takie pieniądze pracować nie będzie. Obecnie miesięczna pensja wynosi już 80 tys. zł* – ujawnia członek zarządu towarzystwa ubezpieczeniowego.

Napad na banki

Rynek boi się komisji, ale jej nie szanuje, bo solidnie na to zapracowała. Do przejęcia nadzoru nad całym rynkiem finansowym PiS dążyło, odkąd w 2005 r. po raz pierwszy wygrało wybory parlamentarne. Najbardziej łakomym kąskiem wydawał się wtedy Generalny Inspektorat Nadzoru Bankowego, podlegający NBP, którego prezesem był wtedy prof. Leszek Balcerowicz. Wśród banków GINB miał opinię surowego, ale kompetentnego.

Żeby odebrać Balcerowiczowi nadzór nad bankami, w 2006 r., na mocy uchwalonej przez PiS, LPR i Samoobronę ustawy, utworzono Komisję Nadzoru Finansowego, która wchłonęła GINB. A przy okazji nadzory nad ubezpieczeniami, Komisję Papierów Wartościowych i Giełd, fundusze emerytalne oraz inwestycyjne. Od początku jednak było podejrzane, że ustawodawca nie podporządkował nowej komisji Spółdzielczych Kas Oszczędnościowo-Kredytowych. Blisko związanych z nimi było wielu polityków PiS, którym najwyraźniej zależało, by nikt im nie zaglądał w papiery.

Powstał moloch wyposażony w ogromną władzę nad całym rynkiem finansowym. Politycy PiS tłumaczyli, że dzięki temu interesy konsumentów będą lepiej chronione, a zintegrowany nadzór mają w Unii także Niemcy i Wielka Brytania. Na szefa nowo utworzonej instytucji nadzorczej PiS powołało Stanisława Kluzę, ministra finansów w rządzie Jarosława Kaczyńskiego. W 2011 r. następcę Kluzy wskazał premier rządu PO-PSL, został nim Andrzej Jakubiak.

Z dbałością o interesy konsumentów od początku było różnie. Zaczęła się moda na kredyty walutowe, które wtedy klientom wydawały się bardziej korzystne niż te w złotych. Banki też chętnie pożyczają we frankach szwajcarskich. Politycy PiS, którzy zabierali w tej sprawie głos, opowiadali się za wolnym rynkiem. Ludzie chcą się zadłużać w walutach – więc nie wolno im tego zabraniać. Kluzę jednak, jako prezes KNF, ośmielił się wydać rekomendację „S”, zalecającą bankom większą ostrożność przy udzielaniu kredytów walutowych. Problem z kredytami frankowymi jednak narastał. Do tej pory go nie rozwiązano, sprawy indywidualne rozstrzygają sądy.

Aleksandra Wiktorow o funkcjonowaniu KNF nie ma dobrego zdania, bo jako rzecznik finansowy miała z komisją częste kontakty. To ona alarmowała, gdy na rynku pojawiły się tzw. polisolokaty, że jest to produkt, który z założenia nie

może być dla klientów korzystny. Sprzedawały się dobrze, gdyż reklamowano je jako sposób na uniknięcie podatku Belki. KNF ostrzeżenia Wiktorow ignorowała, po kilku latach okazało się, że rzeczniczka miała rację, polisolokaty były oszustwem. – *Ci z komisji zawsze patrzyli na mnie z góry, twierdzili, że oni nie są od dbania o interesy konsumentów, tylko o stabilność rynku finansowego* – twierdzi Aleksandra Wiktorow. – *Jak sprawy zaczęły masowo trafiać do sądów, które przyznawały rację klientom, to KNF trwała przy swoim, twierdząc, że korzystne dla ludzi wyroki mogą zagrozić stabilności rynku finansowego.*

Rząd PO-PSL od początku usiłował podporządkować system SKOK nadzorowi KNF, ale PiS się sprzeciwiał. Udało się to dopiero pod koniec 2012 r. I kiedy nadzorcy zaczęli przyglądać się finansom poszczególnych kas, okazało się, że większość z nich to kandydaci na bankrutów, którzy nie mają środków, żeby utrzymać się na rynku. Pod nadzór KNF trafiły za późno, gdy już wyprowadzono z nich pieniądze. Do tej pory nie wiadomo, co się z nimi stało.

Rząd PO-PSL nie chciał dopuścić do upadłości kas, świadomy że PiS zrobiłby wszystko, aby to jego obarczyć winą. W połowie 2013 r. na 55 kas w 44 trzeba było przeprowadzać postępowanie naprawcze; do przejmowania poszczególnych kas skłaniano banki. KNF próbowała wyjaśniać, co stało się z miliardami, które zniknęły z kas. Na ofiarę działań zorganizowanej grupy przestępczej wyglądała zwłaszcza SKOK Wołomin. Potwierdzeniem, że przekręty w SKOK Wołomin są sprawą mafii, był brutalny napad na Wojciecha Kwaśniaka w maju 2014 r., wtedy wiceprzewodniczącego KNF, który nadzorował banki i SKOK. Sygnał był jasny – ma się od SKOK odczepić. Z akt śledztwa wynika, że bandytę miał wynająć członek rady nadzorczej SKOK Wołomin Piotr P. Procesy w sprawie przez osiem lat rządów PiS toczyły się wyjątkowo ślamazarnie. I ciągle nie wiadomo, gdzie podziały się pieniądze.

Z Bankowego Funduszu Gwarancyjnego, na który składają się banki (SKOK dopiero od 2012 r.), klientom kas, którzy stracili oszczędności, wypłacono w sumie ok. 4,5 mld zł. Prezes banku (prosi o anonimowość) uważa, że dokładne przesłedenie dokumentów w KNF dałoby odpowiedź, co się stało przynajmniej z częścią tych pieniędzy. I, ewentualnie, kto i ile wytransferował za granicę. Ślady po pieniądzach nie giną. PiS to wie, więc zaatakowało z wyprzedzeniem. Pod koniec 2018 r. prokuratura kontrolowana przez PiS postawiła zarzuty... ofierze napadu Wojciechowi Kwaśniakowi, byłemu już wiceprzewodniczącemu KNF, jego szefowi Andrzejowi Jakubiakowi oraz kilku innym pracownikom komisji za to, że „dopuszcili się zaniedbań w 2013 i 2014 r., które pozwoliły na kontynuowanie przestępczej działalności” w kasie SKOK Wołomin. Proces ruszył dopiero we wrześniu tego roku.

Nasi prezesi

Ponownie PiS mogło skorzystać z narzędzia władzy, jakie skonstruowało, dopiero od 2016 r., gdy skończyła się kadencja Andrzeja Jakubiaka w KNF. Wprawdzie Adam Glapiński, już jako prezes NBP, rozpoczął starania, aby z KNF znów wyodrębnić nadzór nad bankami i ponownie umieścić go w strukturze NBP, ale bezskutecznie. Glapiński zadowolił się tym, że – jak donosiły media – rekomendował na szefa KNF Marka Chrzanowskiego.

O tym, do czego można używać KNF, przekonał się ekonomista Rafał Antczak, który miał zostać prezesem Giełdy ►

► Papierów Wartościowych, a na to musi zgodzić się KNF. Antczakowi nie można było zarzucić braku kompetencji, ale politykom PiS podpadł wcześniejszą współpracą z Zytą Gilowską. Pracowali, jeszcze w PO, nad wprowadzeniem podatku liniowego „trzy razy 15”. KNF ze zgodą na nominację Antczaka zwlekała tak długo, aż on sam z prezesowania GPW zrezygnował.

O kompetencjach zaakceptowanych przez KNF prezesów GPW, jak i samej komisji, a może po prostu o stopniu jej uzależnienia od partii świadczy ich stosunek do firmy windykacyjnej GetBack, która stała się negatywnym bohaterem wielkiej afery finansowej. Utopiło w niej oszczędności wiele osób, które najpierw kupiły jej akcje, a potem obligacje i straciły na tym ok. 2 mld zł. – *GPW zatwierdziła prospekt emisyjny GetBacku, z którego cały rynek się śmiał, bo był po prostu nieprawdziwy. KNF w działalności GetBacku przez kilka lat także nie dostrzegła nieprawidłowości. Bo GetBack dobrze żył z władzą. Zanim wybuchła afera, firma finansowała imprezy, na których nagradzano m.in. prezesa PiS – przypomina prezes banku.*

Prywatne firmy finansowe nie dyskutowały z decyzjami KNF, wołały się podporządkować. Komisja może nakładać kary finansowe, to ona też decyduje, jaką część zysków w postaci dywidendy mogą otrzymać akcjonariusze, a jaka musi zasilić rezerwy, jeśli KNF uzna, że współczynnik wypłacalności jest za mały. Wielka władza nad rynkiem finansowym jest uzasadniana troską o jego stabilność. Gdyby komisja była kompetentna i niewyikłana w interesy ekipy rządzącej, taka władza byłaby w pełni uzasadniona. KNF nie cieszy się jednak takim szacunkiem jak amerykańska FED.

Z KNF do aresztu

Z KNF lepiej jednak nie zadziierać także dlatego, że może nie zatwierdzić prezesa lub członka zarządu banku, ubezpieczyciela czy funduszu zagranicznego. Kłopoty z tym miała wielka grupa ubezpieczeniowa AXA. – *Można to obejść, prezes po prostu może być pełniącym obowiązki* – podpowiada Zygmunt Kostkiewicz, prezes Polskiego Gazu Towarzystwa Ubezpieczeń Wzajemnych, który przypuszcza, że tak poradzą sobie prezesi banków czy innych instytucji finansowych kontrolowanych przez państwo, którzy przy nowym rządzie raczej nie mogą liczyć na utrzymanie się na stanowisku.

– *W zarządach przedsiębiorstw kontrolowanych przez państwo są obecnie wyłącznie nominaci partii rządzącej. Do braku u nich kompetencji KNF się nie przychepia* – twierdzi były członek zarządu PZU. Nikogo więc nie dziwi, że ten sam działacz partyjny kieruje stocznia, a potem PZU Życie. Liczebność zarządów wynika raczej z tego, ilu osobom trzeba dać posadę. Narodowy ubezpieczyciel nie rozwija się, traci rynek, ale osoby zasłużone dla partii mają lukratywne stanowiska. Były wprawdzie przypadki, że KNF miesiącami kazała czekać na rekomendację nawet Leszkowi Skibie, wiceministrowi finansów, który został prezesem kontrolowanego przez państwo Pekao SA, ale wynikało to raczej z walk frakcyjnych w samym obozie władzy.

W końcu bohaterem kolejnej afery stał się sam przewodniczący komisji (od tamtej pory opisywany już jako Marek Ch.). Spotkanie z nim potajemnie nagrał Leszek Czarnecki, kontrolujący jedyny prywatny bank w kraju z polskim kapitałem, Getin Bank. Z ujawnionych przez niego taśm dowiedzieliśmy się, że od przewodniczącego Komisji Nadzoru Finansowego otrzymał propozycję nie do odrzucenia. Jeśli chce uratować swój bank przed przejściem go za symboliczną złotówkę, musi wręczyć okazałą łapówkę oraz zatrudnić w banku wskazanego szłowieka.

Po skandalu z upublicznieniem taśm Marek Ch., choć bez pośpiechu służb, trafił do aresztu. Wkrótce został wypuszczony i sprawa ucichła na kilka lat. Proces Marka Ch. dopiero się rozpoczął, ale dziennikarzy na pierwszą rozprawę nie wpuszczono. Kandydata na zwolnione stanowisko przewodniczącego KNF wskazał premier Mateusz Morawiecki.

Został nim Jacek Jastrzębski.

Leszek Czarnecki, tak jak zapowiadał poprzedni przewodniczący KNF, po niedługim czasie stracił jednak swój bank. – *Teraz walczy o odszkodowanie od państwa w arbitrażu międzynarodowym* – twierdzi jego znajomy, zapewniając, że mówi o potężnej sumie. O tym, w czyje ręce trafi Velo Bank, utworzony z resztek po bankowym imperium Leszka Czarneckiego, zadecyduje oczywiście Komisja Nadzoru Finansowego.

Wgląd w sprawozdania

Były bankier zwraca uwagę, że władza KNF nie ogranicza się do potężnego rynku finansowego. To jest władza także nad wielkim biznesem, konkurencją polityczną, nad każdym. – *Mając, za pośrednictwem KNF, możliwość zajrzenia w bankowe rachunki każdego przedsiębiorcy, politycy bez wiedzy sądów mogą w nich szukać haków. Nie po to, żeby ewentualnie przekręcić upublicznić i ukarać, ale żeby podporządkować sobie jego biznes.* Nazwiska osób, które nigdy wcześniej z PiS nie sympatyzowały, a od kilku lat wyraźnie tę partię wspierają, nasuwają się same.

Do czego jeszcze można wykorzystać władzę nad KNF, najlepiej wiedz ci, którzy komisję stworzyli. Więc strach, że teraz to narzędzie można będzie skierować przeciwko nim, jest wielki.

Zarządy banków i ubezpieczyciele podpowiadają nowej władzy, że teraz ona powinna skorzystać z patentu PiS. Pomysł podsunęła świeża nominacja Piotra Patkowskiego, wiceministra finansów, który ewakuował się z odchodzącego rządu na fotel prezesa Polskiej Agencji Nadzoru Audytowego. I chociaż PiS stracił władzę, jego nominat będzie miał wgląd we wszystkie sprawozdania finansowe każdej prywatnej firmy przez kolejne kilka lat. Gdyby agencję nadzoru audytowego połączyć z KNF, to powstałaby nowa instytucja i Patkowski, a także nominowany przez Morawieckiego nowy szef komisji też mogliby, zgodnie z prawem, stracić pracę. Gra jest naprawdę o bardzo wysokie stawki, mierzone milionami złotych i latami więzienia.

JOANNA SOLSKA

ILUSTRACJA ŁUKASZ RAYSKI



Od windykacji do oceny ryzyka – 20 lat informacji gospodarczej w Polsce

Krajowy Rejestr Długów to instytucja, która przez dwie dekady swojej działalności znacząco przyczyniła się do kształtowania kultury płatniczej w Polsce. Początkowo traktowany jako kolejne narzędzie windykacyjne ewoluował w nieocenione źródło informacji gospodarczych, wspierające przedsiębiorstwa w podejmowaniu świadomych decyzji finansowych. Wykorzystuje w tym uczenie maszynowe i zaawansowane algorytmy. Dziś Krajowy Rejestr Długów zna 3/4 przedsiębiorców i konsumentów. Prawie 70 proc. uważa, że ma on pozytywny wpływ na polską gospodarkę.

Historia Krajowego Rejestru Długów Biura Informacji Gospodarczej zaczęła się 4 sierpnia 2003 r. od hasła „Utrudniamy życie dłużnikom”. Było ono na tyle skuteczne, że w ciągu 20 lat działalności KR D odzyskało dla przedsiębiorców szukających w nim pomocy aż 152 mld zł. Ale już w 2007 r. postrzeganie tego pierwszego w Polsce biura informacji gospodarczej zaczęło się zmieniać, głównie za sprawą światowego kryzysu finansowego, który ze Stanów Zjednoczonych rozlał się na cały świat. Także w naszym kraju przedsiębiorcy zrozumieli, że sprzedawanie towarów i usług klientom, o których nic się nie wie, może skończyć się poważnymi kłopotami. O ile w pierwszym roku funkcjonowania Krajowego Rejestru Długów zostało z niego pobranych 7 tys. raportów gospodarczych o konsumentach i przedsiębiorcach, o tyle w 2007 r. był to już milion, a w 2022 r. przekroczony został poziom 46 mln raportów. W 2023 roku na pewno pobity zostanie kolejny rekord, a liczba pobranych informacji przekroczy pułap 50 milionów.

Algorytm oceni wiarygodność klienta

W ten sposób Krajowy Rejestr Długów przekształcił się z rozwiązania windykacyjnego w innowacyjne wsparcie dla przedsiębiorców. To już nie jest tylko rejestr, do którego wpisuje się dłużnika, ale przede wszystkim źródło wiedzy o klientach, zmniejszające ryzyko finansowe w transakcjach handlowych. Przez dwie dekady działalności zmieniła się zawartość raportów pobieranych przez przedsiębiorców. To już nie są proste komunikaty, czy sprawdzany klient jest dłużnikiem bądź nie jest. To szereg danych zaciąganych z różnych źródeł i agregowanych w jedną informację o sprawdzanym podmiocie z nadaniem mu jednej z ośmiu kategorii wiarygodności płatniczej - od najbardziej wiarygodnej do dyskwalifikującej do współpracy. Dodatkowo w raporcie zawarta jest sugerowana kwota limitu kupieckiego, czyli kwoty do której bezpiecznie można sprzedać sprawdzanej firmie towar lub usługę z odroczonym terminem płatności. Przy czym – co istotne – dzięki wykorzystaniu zaawansowanych technologii można otrzymać ocenę wiarygodności płatniczej dowolnej firmy w Polsce.

KRD trwale wpisało się w polską gospodarkę i jest jej aktywnym uczestnikiem. Z bazy danych rejestru regularnie korzystają m.in. banki, firmy leasingowe, operatorzy telekomunikacyjni oraz przedsiębiorstwa ze wszystkich branż, dla których jest on jednym z podstawowych sposobów weryfikacji klientów. Zbierając ogromne liczby informacji i stale rozwijając swoje technologie, Krajowy Rejestr Długów stał się nieodzownym partnerem biznesowym, a udostępniając dane o dłużnikach, chroni polskie firmy przed nieuczciwymi klientami i dzięki temu pozytywnie oddziałuje na całą gospodarkę.

Pozytywny wpływ na gospodarkę

Z najnowszego badania „Krajowy Rejestr Długów – 20 lat informacji gospodarczej w Polsce”, przeprowadzonego przez TGM Research w lipcu 2023 r., wynika, że markę tę zna 78 proc. przedsiębiorców z sektora MŚP i 74 proc. konsumentów. Zdaniem 77 proc. Polaków, KR D zabezpiecza polski system finansowy, gromadząc i udostępniając informacje o przedsiębiorstwach i konsumentach. Prawie 70 proc. uważa, że ma on pozytywny wpływ na polską gospodarkę.

Główną korzyścią płynącą z współpracy z KR D jest weryfikacja wiarygodności płatniczej kontrahentów – uważa tak aż 65 proc. przedsiębiorców biorących udział w badaniu. 54 proc. wskazywało na unikanie dzięki temu późniejszych kosztów windykacji. Z kolei 42 proc. firm przyznaje, że współpraca z KR D wpłynęła pozytywnie na ich płynność finansową.

KRD pełni znaczącą rolę w krajowej gospodarce, aktywnie wspierając jej funkcjonowanie. Badanie „Krajowy Rejestr Długów – 20 lat informacji gospodarczej w Polsce” wyraźnie pokazuje, że przedsiębiorcy szczególnie doceniają możliwość weryfikacji swojego kontrahenta oraz oceny jego wiarygodności płatniczej. Mimo dogłębnej analizy, której celem jest zmniejszenie ryzyka podczas zawierania transakcji z kontrahentami, zdarzają się sytuacje, gdy ci zawodzą. W takich momentach KR D pomaga odzyskać nieuregulowane należności. Pomoc tę doceniło 43 procent ankietowanych. ■

Drożej, ale taniej

Black Friday za nami, czas na przedświąteczną gorączkę w sklepach. Biedronka i Lidl toczą bój na promocje, walcząc o tytuł najtańszej sieci. A przy okazji uciekają konkurencji, której coraz trudniej za nimi nadążyć.

CEZARY KOWANDA



Gdzie wydamy najmniej na świąteczne zakupy? To pytanie będzie z pewnością nurtować w najbliższych tygodniach wielu Polaków. Bo chociaż drożyzna nie jest tak dotkliwa jak rok temu, ceny wciąż rosną. Według danych Głównego Urzędu Statystycznego za październik inflacja wynosi 6,6 proc., a przykładowo żywność w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy podrożała średnio o 8 proc. Przed wyborami rządzący odmieniali przez wszystkie przypadki słowo „dezinflacja”, oznaczające inflację, tyle że mniejszą. Niektórzy mylili je z deflacją, co oznaczałoby spadek cen. Nic bardziej mylnego: wciąż jest coraz drożej, chociaż sieci handlowe chcą nas przekonać, że wcale tak nie jest.

Od kilku miesięcy zwłaszcza liderzy rynku toczą zacięty bój o miano najtańszego sklepu w Polsce. Kontrolowana przez portugalskie Jeronimo Martins Biedronka ma już prawie 3,5 tys. punktów, a jej udział w handlu żywnością to aż 30 proc. Mówiąc prościej, niemal co trzecia złotówka wydawana na jedzenie trafia do jednej z kas Biedronki. Wiceliderem jest niemiecki Lidl, który ma co prawda „tylko” ok. 900 sklepów, ale za to większych od Biedronek i podobnie duże ambicje dalszej ekspansji. Obaj gracze przekonują, że są najtańsi, chociaż czasem ich marketingowe wysiłki przyjmują kuriozalne formy. Na przykład Biedronka najpierw prosiła dane z koszyka porównawczego, przygotowywanego przez dziennik „Fakt”, przekonując że została w nim niesprawiedliwie potraktowana. A teraz co tydzień ogłasza, że koszyk wybranych dwudziestu, ponoć najpopularniejszych, produktów jest u niej tańszy niż w Lidlu, Dino czy Auchan, bo z tymi sieciami się porównuje. Kłopot w tym, że to sama Biedronka najpierw dobiera sobie produkty do tego zestawienia, a potem obwołuje się niekwestionowanym zwycięzcą.

Przygotowywane niezależnie od sieci porównania pokazują, że różnice cenowe między Biedronką a Lidlem są w zasadzie minimalne i głównie dotyczą tych produktów, które są w danej chwili objęte promocją tylko u jednego z graczy. Z pewnością za to szefowie Biedronki i Lidla uważnie śledzą każdy krok rywala. Gdy latem Biedronka ogłosiła, że obniża ceny wielu produktów marek własnych (najczęściej zresztą o symboliczne kilka procent), zaraz z podobnym zapewnieniem pospieszył Lidl. Kiedy tuż przed 1 listopada Lidl wprowadził atrakcyjną ofertę sprzedaży zniszczy

© ANDRZEJ ZBRANIECKI/EAST NEWS

(sześć w cenie trzech), Biedronka pospieszyła z identyczną akcją tego samego dnia, tyle że od południa. W wielu sklepach sieci pracownicy nie zdążyli nawet wywiesić odpowiednich powiadomień przy przecenionych produktach.

Naśladowanie promocji podpatrzonych u konkurenta stało się zresztą standardem. Często artykuł przeceniony od poniedziałku do środy w jednej sieci będzie tańszy od czwartku do soboty w drugiej. W ostatnim raporcie finansowym Portugalczycy przyznali, że Niemcy są ich najbardziej agresywnym konkurentem na polskim rynku, ale nie bez satysfakcji dodali, iż to oni wychodzą zwycięsko z tej rywalizacji. Kolejne sformułowanie, którego nie da się obiektywnie zweryfikować. A co to oznacza dla klienta?

Przed wszystkim ból głowy, jeśli chce rzeczywiście szukać najtańszych ofert.

Wykluczeni z promocji

Kiedyś zasady promocji były proste: produkt kosztował okresowo mniej niż zazwyczaj. Teraz mamy bardzo wiele wariantów obniżek cenowych. Czasem trzeba równocześnie kupić więcej sztuk danego artykułu albo w sumie wydać na całe zakupy określoną kwotę. Coraz

więcej promocji jest zarezerwowanych tylko dla posiadaczy kart stałego klienta albo nawet aplikacji mobilnych. To w nich trzeba aktywować specjalne kupony albo potrząsnąć telefonem, aby otrzymać dostęp do specjalnej oferty. – *Cel sieci handlowych jest prosty: przyciągnąć spektakularną obniżką jednego artykułu w nadziei, że dzięki temu klient zrobi przy okazji resztę zakupów. Niestety, im bardziej promocje są uzależnione od używania nowych technologii, tym bardziej tracą na tym wykluczeni cyfrowo – seniorzy czy osoby uboższe* – opisuje Milena Błaszczuk, analityczka ASM Sales Force Agency.

To właśnie ta firma co miesiąc sprawdza ceny najpopularniejszych produktów w głównych sieciach handlowych. Według danych za wrzesień koszyk zakupowy, obejmujący 40 artykułów żywnościowych i chemii gospodarczej, zdrożał średnio o 9 proc. w ciągu roku. Na pocieszenie można dodać, że jeszcze w lipcu roczne tempo wzrostu cen wynosiło w tym badaniu aż 20 proc. W porównaniu z sierpniem wartość koszyka, patrząc na cały rynek, prawie się nie zmieniła, ale można zaobserwować spore różnice między poszczególnymi

sklepami. W pięciu sieciach było drożej, za to w ośmiu nieco taniej. Pozycjami na podium podzieliły się Biedronka, Lidl i francuski Auchan, który stara się bronić pozycji hipermarketów – kiedyś kojarzonych z najniższymi cenami, a dziś walczących o przetrwanie w erze dyskontów.

Różnice między tą trójką były niewielkie, ale już reszta graczy wyraźnie zaczyna od nich odstawać. Zwłaszcza mniejsze sieci nie mogą sobie pozwolić na oferowanie takich samych cen, bo nie są w stanie wynegocjować podobnych warunków u dostawców. Do analogicznych wniosków dochodzi inne, cyklicznie przeprowadzane badanie koszyków zakupowych przez portale DlaHandlu.pl i PortalSpożywczy.pl. W nim również o palmę pierwszeństwa walczą Biedronka i Lidl, a różnice między nimi są minimalne. Nieco droższe zakupy zrobimy w Auchan i Kauflandzie (to sieć należąca do tego samego właściciela co Lidl). Reszta graczy w tej rywalizacji o miano najtańszego już się nie liczy.

Magia mandatów

Nie znaczy to jednak wcale, że szefowie Biedronki śpią spokojnie. Ich największym zagrożeniem nie jest nawet ►

REKLAMA



**W środę 6 grudnia
z „Wyborczą”**

**Wyjątkowy
kalendarz
astronomiczny**

GAZETA
wyborcza

► niemiecka czy francuska konkurencja, lecz polski urząd. Dokładnie Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, który od dłuższego czasu wzięty sobie na cel lidera rynku i nakłada na właściciela Biedronki surowe kary za różne przewinienia. Część z nich dotyczy polityki cenowej. 115 mln zł muszą zapłacić Portugalczycy za to, że zbyt często ceny podawane na półkach różniły się – oczywiście na niekorzyść klienta – od tych na paragonach po zakupie.

Biedronka odwoływała się od tego ogromnego mandatu, ale przegrała przed sądami z UOKiK. Teraz próbuje bronić się przed karą w wysokości 160 mln zł za swoją akcję promocyjną o nazwie Tarcza Antyinflacyjna, która zdaniem Urzędu była zbyt skomplikowana i nieuczciwa dla klientów. Urząd idzie zresztą za ciosem: skrytykował Biedronkę za inną promocję sprzed roku o nazwie Magia Rabatów, bo trudno było się zorientować, jakie produkty są nią objęte. W tym przypadku Portugalczycy dopiero czekają na wymiar kary. Niska na pewno nie będzie.

Ukarać za to ani ich, ani pozostałych graczy nie można za inną powszechną praktykę. Gdy zeszłej zimy w błyskawicznym tempie rosły hurtowe ceny wielu podstawowych produktów, sieci handlowe szybko przerzuciły dodatkowe koszty na konsumentów. Mleko, oleje, mąka czy cukier drożały gwałtownie, a roczna inflacja samej żywności doszła wówczas według GUS do ok. 25 proc. Teraz sytuacja jest zupełnie inna, bo notowania wielu surowców na światowych giełdach towarowych znacznie spadły. Jednak sieci handlowe nie są skóre do równie szybkiego obniżania cen produktów na półkach. Wybierają zupełnie inną taktykę: utrzymują podstawowe ceny na dotychczasowym poziomie albo korygują je w dół tylko nieznacznie. Równocześnie wprowadzają bardzo atrakcyjne rabaty, ale na określonych warunkach. Dobry przykład to oleje roślinne, jak słonecznikowy czy rzepakowy, potrzebne przez cały rok, ale szczególnie popularne w naszych kuchniach przed świętami. Litrowa butelka kosztuje w dyskontach czy hipermarketach wciąż 8–9 zł, ale często w tej samej cenie albo niewiele wyższej można dostać dwie. Oczywiście w ramach promocji, zachwalanych przez dyskonty czy supermarkety jako wyjątkowo atrakcyjne.

Podobna strategia sprzedażowa dotyczy cukru. Kilogram produktu niezbędnego do świątecznych wypieków kosztuje nadal prawie 6 zł, ale ta cena

potrafi spaść nawet do 3–4 zł, jeśli w czasie promocji klient kupi równocześnie kilka kilogramów albo wyda na inne produkty 100 czy 150 zł w ramach jednej transakcji. Także zakup nabiału może okazać się prawdziwym polem walki – mimo bardzo niskich kwot płaconych w skupie rolnikom handlowcy nie obniżyli znacząco cen za litr mleka czy kostkę masła. Za to zdecydowanie wzrosła ich gotowość do oferowania atrakcyjnych promocji, gdy klient zechce kupić od razu na przykład sześć litrów czy trzy kostki. I oczywiście wylegitymuje się przy kasie kartą lojalnościową właściwej sieci.

Omnibus na straży

Promocyjne obietnice zarówno branży spożywczej, jak i reszty handlu ma weryfikować unijna dyrektywa Omnibus, która w Polsce obowiązuje od początku tego roku. Ubiegłotygodniowy Black Friday, czyli Czarny Piątek, był zatem pierwszym w historii, gdy sprzedawcy nie mogli już bezkarnie udawać promocji. Przy informacji o każdej obniżce ceny trzeba obowiązkowo podać nie tylko tę sprzed udzielenia rabatu, ale także najniższą w danym sklepie w ciągu ostatnich 30 dni. Także ta, wydawałoby się, banalna zasada wywołała sporo kontrowersji. Do akcji ruszył oczywiście UOKiK. Zagroził surowymi karami wszystkim, którzy ośmielią się używać określeń takich jak „cena referencyjna” czy „cena omnibus”. Trzeba za każdym razem pisać o cenie „najniższej z ostatnich 30 dni przed obniżką”, nawet jeśli takie sformułowanie zajmuje dużo miejsca. Aż 84 proc. osób biorących udział w najnowszym badaniu firmy SMSAPI przyznaje, że zauważyło te nowe komunikaty. A 70 proc. deklaruje, że zdarzyło im się zrezygnować z zakupu, gdy aktualna cena promocyjna była mniej korzystna niż ta najniższa z ostatniego miesiąca.

Nowe przepisy i doświadczenia minionych lat sprawiają, że chociaż na Black Friday i inne akcje promocyjne wciąż czekamy z napięciem, to podchodzimy do nich z większym niż kiedyś realizmem. – *Z jednej strony ok. 60 proc. pytanych przez nas Polaków deklarowało, że zamierzają szukać okazji na Black Friday, a na zakupy są nawet skłonni przeznaczyć wyraźnie więcej pieniędzy niż w ubiegłym roku. Ale równocześnie już mało kto oczekuje przecen rzędu 60–70 proc., zachwalanych jeszcze niedawno w reklamach. Zdajemy sobie bowiem sprawę, że takie rabaty w rzeczywistości są mało prawdopodobne,*

a pojawiały się głównie z powodu stosowania przez sprzedawców różnych sztuczek. Za bardzo atrakcyjne uważamy już obniżki o 30–40 proc. – mówi Robert Biegaj, Country Manager w firmie Offerista, doradzającej branży handlowej.

Jednak niektóre firmy i tak próbują przechytryć nowe przepisy. Możliwości jest kilka. Pierwsza z nich to podniesienie ceny dokładnie miesiąc przed tak ważnym dniem jak Black Friday, utrzymanie na zawyżonym poziomie przez 30 dni i triumfalna obniżka na Czarny Piątek. Sklep w takiej sytuacji zakłada, że nie straci klientów, bo ci i tak czekają na Black Friday, więc nie będą w międzyczasie szukać tańszego produktu u konkurencji. Druga technika zakłada wykorzystywanie bardzo dziś popularnych kuponów czy kodów rabatowych. Najpierw cena produktu jest dość wysoka, ale łatwo ją obniżyć poprzez zastosowanie takich właśnie zniżek, dostępnych po wpisaniu odpowiedniego hasła czy zamówieniu newslettera. Tymczasem na Black Friday czy podczas poświęconej wyprzedaży zasadnicza cena spada, więc można pochwalić się rzekomą promocją. Oczywiście w tym czasie żadne kody zniżkowe już nie obowiązują, a zatem w rzeczywistości płaci się tyle samo co wcześniej. Albo nawet więcej.

Czyszczenie półek

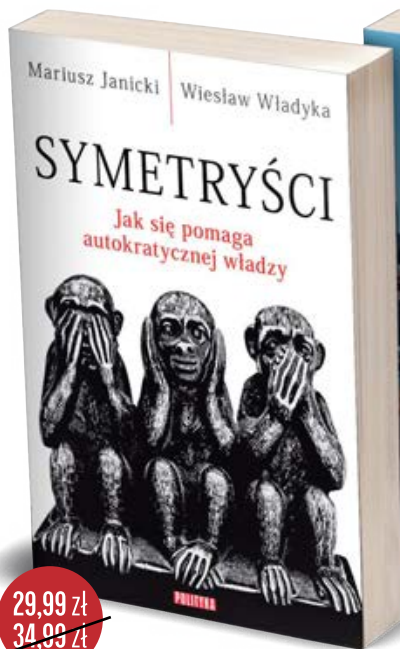
Wciąż też Black Friday i inne okresy promocyjne są po prostu świetną okazją do pozbycia się zalegających w magazynach zapasów. W tym roku najlepszego przykładu tej taktyki dostarczyła Polska Grupa Górnicza, która wprowadziła własne – nomen omen – Czarne Tygodnie (Black Weeks). Aż do 8 grudnia każda tona węgla kupiona przez sklep internetowy PGG jest tańsza o 200 zł po wpisaniu specjalnego kodu rabatowego.

Trudno o większy kontrast z ubiegłym rokiem, gdy ceny węgla były kolejne rekordy, a zdesperowani klienci szukali go po całym kraju. Tym razem surowca, sprowadzanego za odchodzącej władzy w kuriozalny sposób z całego świata, jest zdecydowanie za dużo na rynku, więc doczekał się własnych promocji. To najlepszy dowód na to, że polityka rabatowa każdego sprzedawcy podlega tym samym, bezwzględny dla klienta prawom: żadna obniżka nie pojawia się z dobroci serca. Zawsze stoi za nią bezwzględna biznesowa kalkulacja. Warto o tym pamiętać i w grudniu, podczas poszukiwania prezentów, i w każdym innym miesiącu roku.

CEZARY KOWANDA



Wartościowe pomysły na prezenty świąteczne!



Mariusz Janicki, Wiesław Władyka
SYMETRYŚCI
Jak się pomaga autokratycznej władzy



Tomasz Zalewski
ŻYDOWSKA AMERYKA
Wczoraj i dziś diaspory w USA



Jerzy Baczyński
PRZYPISY
czyli krótka historia 8 długich lat

Wyjątkowy kalendarz
POLITYKI z zegarem



Prenumerata roczna
naszych czasopism



Tylko na sklep.polityka.pl

*ceny obowiązują przy zamówieniach złożonych do 31.12.2023



Ocalały

Pedro Sánchez pozostanie premierem w zamian za amnestię dla katalońskich independentystów. To wysoka cena za utrzymanie władzy. Ale niewygórowana za jedność Hiszpanii.



ADAM SZOSTKIEWICZ

Pedro Sánchez ogłosił skład swojego nowego rządu dokładnie w rocznicę śmierci Francisco Franco – 20 listopada. To nie mógł być przypadek, bo 51-letni socjaldemokrata wielokrotnie deklarował, że chce powstrzymać „reakcyjną prawicę”. I rzeczywiście, jego gabinet ma charakter wyraźnie

progresywny. Priorytety są społeczne i ekonomiczne: redukcja bezrobocia młodych, wyższe emerytury, mieszkalnictwo, zielona transformacja, równość praw kobiet i mężczyzn, pakt dla osób LGBT, krótszy tydzień pracy.

Sánchez pokieruje radą ministrów złożoną z 22 osób, w tym 12 kobiet; czterem z nich powierzył funkcję wicepremierów; koalicyjny partner, partia Sumar, dostał pięć resortów. Kompletowaniu rządu towarzyszyły wewnętrzne spory o konkretne teki ministerialne, proces dobiegł jednak szczęśliwie do końca. Ale za jaką cenę? Wielu w Hiszpanii – szczególnie na prawicy – twierdzi, że będzie ona zbyt wysoka dla kraju.

Ową ceną jest obietnica amnestii dla liderów i uczestników secesjonistycznego referendum w Katalonii z 2017 r. – nowy rząd powstał dzięki woli Sáncheza w tej sprawie. Wcześniej amnestię wykluczał on jako niezgodną z konstytucją. Ale zmienił zdanie, gdy stało się jasne, że bez poparcia deputowanych katalońskich w parlamencie krajowym nie utworzy rządu i będą kolejne wybory. Ten ruch dał mu większość. Jednak naraził go na niesłychanie gwałtowne ataki prawicy i krytykę we własnym obozie politycznym.

Sprawa katalońska dzieli Hiszpanię nie tylko według osi prawica–lewica. Na lewicy też są zwolennicy jednolitego i scentralizowanego państwa narodowego. Przeciwno układaniu się Sáncheza z katalońskimi narodowcami wystąpiło publicznie wielu działaczy socjalistycznych, w tym były premier Felipe González. Sánchez widzi jednak sprawę inaczej. Mówi o wielonarodowości Hiszpanii. W parlamencie nie waha się pozdrowić deputowanych katalońskich i baskijskich w ich językach.

Przedstawiając 16 listopada w parlamencie program swojego rządu, mówił o ścieżce pojednania, wzajemnego zrozumienia i przebaczenia. To lepsze – przekonywał deputowanych – niż narzucane rozwiązania i podsycanie napięcia w społeczeństwie. A skoro potrzeba mostów politycznych, to należało ułaskawić liderów katalońskich separatystów i podjąć dialog. W ocenie Sáncheza taka właśnie polityka zadziałała, bo dziś większość mieszkańców 8-milionowej Katalonii woli obecny kompromis i autonomię od walki o niepodległość.

Z niedawnego sondażu – przeprowadzonego zresztą nie na zlecenie Madrytu, ale władz autonomii katalońskiej – płyną dwa wyraźne komunikaty. Za amnestią dla działaczy odpowiedzialnych za zorganizowanie formalnie nielegalnego referendum niepodległościowego w 2017 r. opowiada się 60 proc. ankietowanych. Ale z drugiej strony tylko niecałe 31 proc. uważa, że secesja jest najlepszym sposobem ułożenia stosunków między Katalonią a Hiszpanią. To najgorszy dla independentystów wynik od 2012 r. A jeśli nie niepodległość, to co? 31 proc. pytanym wskazuje na szeroką autonomię w ramach Hiszpanii, 23 – na model państwa federalnego.

Koniec tymczasowości

Powołanie rządu Sáncheza oznacza zamknięcie okresu niepewności w polityce hiszpańskiej. Trwał on od maja, kiedy Sánchez – po słabych wynikach socjalistów w wyborach lokalnych – rozpiął przyspieszone wybory parlamentarne. Ruch nie przyniósł oczekiwanych efektów: ani lewica, ani prawica nie zdobyły większości pozwalającej na utworzenie rządu. Lider prawicowej Partii Ludowej Alberto Feijóo mimo to podjął się próby utworzenia rządu zleconej mu przez króla Filipa VI. Zabrakło mu jednak do wymaganej ►

► większości czterech głosów. Nie mógł liczyć m.in. na głosy przedstawicieli Katalonii i Kraju Basków, domagających się większej autonomii. Na głosy mniejszości narodowych i regionalnych liczył tylko Sánchez. I się nie przeliczył.

Prawica jednak nie odpuściła. Jej liderzy wytykają Sánchelowi katalońskie „oszustwo” i obłudę. Lider skrajnie prawicowej partii VOX i gwiazda europejskiej altprawy Santiago Abascal przyrównał Sánchela do Hitlera montującego zamach stanu. Wezwał senat do zablokowania amnestii, a Partię Ludową – do zgłoszenia wniosku o delegalizację dwóch katalońskich partii niepodległościowych. Feijóo tak daleko się nie posunął. W gorącej debacie zarzucał Sánchelowi polityczną korupcję, ale uznał rzeczywistość powyborczą: to Sánchez ma większość i będzie premierem.

Gorąco było nie tylko w Korteżach, ale i na ulicach. Wielotysięczne manifestacje przeciwko lewicy i amnestii odbyły się m.in. w Madrycie i samej Barcelonie. Prawica groziła i grozi sparaliżowaniem prac rządu Sánchela, co ma doprowadzić do kolejnych przyspieszonych wyborów. Sympatycy prawicy oblegli siedzibę partii Sánchela w Madrycie, rzucali jajkami w socjalistycznych deputowanych zmierzających do parlamentu. Alberto Feijóo podczas debaty parlamentarnej przed wotum zaufania dla Sánchela groził, że amnestia doda skrzydeł nacjonalistom katalońskim: „Nikt nie zrobił dla sprawy separatystów tyle, ile señor Sánchez”.

Szczególnie że deputowani katalońscy w Korteżach oczekują więcej niż tylko amnestii dla liderów i uczestników ruchu na rzecz niepodległości. Wspomniane referendum z 2017 r., które było kulminacją tego ruchu, przebiegło w napiętej sytuacji, włącznie z interwencjami policji. Przy frekwencji 44 proc. za niepodległą Katalonią o ustroju republikańskim opowiedziało się wówczas nieco ponad 2 mln uczestników (92 proc.). A zaraz potem autonomiczny parlament kataloński ogłosił niezależność kraju od Hiszpanii.

Prawica karmi się gniewem

Autonomiczny rząd pod kierownictwem independentysty Carlesa Puigdemonta nie podjął jednak próby wcielenia deklaracji w życie. Za to ówczesny prawicowy premier Hiszpanii Mariano Rajoy rozwiązał autonomiczny parlament i rząd Katalonii. Zaprowadził rządy bezpośrednie z Madrytu. Dziennik „El País” alarmował wtedy, że sieć rosyjskich trolli, siejących dezinformację w celu osłabienia USA i Unii Europejskiej, działa w Katalonii z całą mocą na korzyść secesjonistów.

Władze centralne wydały nakaz aresztowania Puigdemonta (za to, że wyraził zgodę na referendum oraz zachęcał do secesji) i niektórych jego współpracowników. Puigdemont zbiegł jednak z Katalonii i przebywa w Belgii, korzystając z immunitetu członka Parlamentu Europejskiego. Jego współpracownicy, oskarżeni o próbę dokonania przewrotu, korupcję i naruszenie integralności państwa, zostali jednak skazani na surowe kary więzienia.

Sánchez, choć wcześniej katalońskie referendum potępił i oświadczył, że zasądzone wyroki powinny być wykonane, teraz zgodził się na darowanie części wymierzonych

kar. Przyjął linię, że dzięki amnestii jego rząd ma większe szanse utrzymać się u władzy i realizować swój progresywny program.

Sánchez uzasadnia swój ruch, wpisując go również w kontekst globalny. Siły populistyczne żerują dziś na niepokoiu społeczeństw zachodnich. Wynika on z rozczarowania i niezadowolenia funkcjonowaniem państw demokratycznych w epoce wojen w Ukrainie i na Bliskim Wschodzie, kryzysu klimatycznego, rosnących nierówności społecznych, słabnięcia poczucia bezpieczeństwa. Tym właśnie gniewem karmi się skrajna prawica.

Warto tu zaznaczyć, że podobne gambity nie są czymś nowym w polityce demokratycznej. Przykładem może być zgoda Tony’ego Blaira na amnestię dla więzionych na mocy wyroków sądowych secesjonistów w Irlandii Północnej. Był to jeden z warunków porozumienia wieloletniego z 1998 r., kończącego wieloletni konflikt w tej części Zjednoczonego Królestwa.

Krytycy katalońskiego gambitu Sánchela podkreślają, że nie ostanie się on w niezależnym hiszpańskim wymiarze sprawiedliwości, gdy Sąd Najwyższy i Trybunał Konstytucyjny wezmą pod lupę skargi na ustawę amnestijną po jej przyjęciu przez Kortezy. Katalońscy secesjoniści nie mają zaufania do hiszpańskich sądów, więc oczekują od Sánchela gwarancji, że dotrzyma słowa. Projekt nowego prawa przewidywał, że amnestia ma wejść w życie nie później niż za dwa miesiące od uchwalenia stosownej ustawy, choćby nawet miały być wszczęte postępowania sądowe w sprawie jej zgodności z konstytucją i prawem.

Walka z amnestią będzie się toczyła czy inaczej – zarówno na płaszczyźnie politycznej, jak i prawnej. Secesjonistom nie podoba się, że Sánchez mówi o „akcie łaski”, gdy ich zdaniem chodzi o akt sprawiedliwości respektujący prawa ludzkie i obywatelskie. Nie godzą się na zrównanie ofiar z ich prześladowcami działającymi na rozkaz państwa hiszpańskiego. Mało prawdopodobne, by taka argumentacja trafiła do prawicy i znacznej części hiszpańskiego społeczeństwa.

Co teraz zrobi twarz katalońskiego ruchu niepodległościowego Carles Puigdemont? Zdaniem dziennika „El País” nie musi już się obawiać powrotu z wychodźstwa po przyjęciu ustawy. Innego zdania jest hiszpański sędzia śledczy Manuel García-Castellón, który zgłosił właśnie wniosek do Sądu Najwyższego, aby rozpoczął dochodzenie przeciwko Puigdemontowi w sprawie jego odpowiedzialności za zablokowanie lotniska w Barcelonie podczas wydarzeń w 2017 r. W ocenie sędziego były to działania „terrorystyczne”. Nie wiadomo więc, czy zaryzykuje powrót do ojczyzny.

Projekt ustawy amnestyjnej dotyczy okresu od 2012 r. do chwili obecnej. Z amnestii może skorzystać ok. 400 osób uczestniczących w różny sposób w działalności na rzecz secesji Katalonii od Hiszpanii. Umorzone zostaną także sprawy wytoczone przeciwko 73 funkcjonariuszom policji oskarżonym o zadanie obrażeń uczestnikom referendum w 2017 r. Gambit Sánchela był wyrazem wiary w demokrację hiszpańską. Oby się nie rozczarował.

ADAM SZOSTKIEWICZ

Wielotysięczne manifestacje przeciwko lewicy i amnestii odbyły się m.in. w Madrycie i Barcelonie. Prawica grozi sparaliżowaniem prac rządu Sánchela, co ma doprowadzić do przyspieszonych wyborów.





Rozmowa z dziennikarką **Sylvie Kauffmann**, była redaktorką naczelną „Le Monde”, o tym, jak Putin zwiódł Europę Zachodnią. I dlaczego z Chinami może być podobnie.



Sylvie Kauffmann

– rocznik 1955, znana francuska dziennikarka, absolwentka Sciences Po. Na początku kariery związana z AFP, w latach 80. była korespondentką tej agencji w Warszawie, a potem m.in. w Moskwie. Od 1988 r. nieprzerwanie pracuje w „Le Monde”, z początku jako szefowa waszyngtońskiego biura gazety, a później jako pierwsza kobieta na stanowisku redaktora naczelnego. Wciąż jest związana z „Le Monde”, ale pisze również felietony do „New York Timesa” i „Financial Timesa”.

© FRED DUFOUR/AFP/GETTY IMAGES



JAROSŁAW KUISZ: – **Właśnie ukazała się pani książka „Les aveuglés” (Zaślepieni) o tym, jak „Berlin i Paryż dały Rosji wolną rękę”. To analiza błędów Europy Zachodniej, które przyczyniły się do rosyjskiej agresji na Ukrainę. Niemcy i Francuzi nie poznali się na Putinie?**

SYLVIE KAUFFMANN: – Nie poznali. Szczególnie że pierwsze oznaki tego, jaką osobą jest Władimir Putin, były widoczne jeszcze, zanim doszedł do władzy. Mam na myśli dwie wojny czeczeńskie, jego przeszłość w KGB i sposób, w jaki zachowywał się po powrocie do Leningradu. Sam temat jego pracy magisterskiej jest dość wymowny: jak surowce mogą być wykorzystywane jako narzędzie polityki zagranicznej. Oczywiście w tamtym czasie trudno było przewidzieć, jak to zainteresowanie może się przełożyć na jego własną politykę. Ale była to zapowiedź sposobu, w jaki Putin wykorzystał gaz niczym broń

przeciwko krajom europejskim, zwłaszcza Niemcom.

Kiedy Europejczykom powinien się włączyć alarm?

Już podczas pierwszych kolorowych rewolucji w Gruzji i na Ukrainie, odpowiednio w 2003 i 2004 r. Szczególnie niepokojące były twierdzenia Putina, że to rzekomo Zachód potajemnie podzegał do tych rewolucji. Tym bardziej że istniał wtedy jeszcze nieformalny sojusz pomiędzy Francją, Niemcami i Rosją przeciwko wojnie w Iraku. Gerhard Schröder i Jacques Chirac ramie w ramie z Putinem sprzeciwiali się amerykańskiej inwazji na Irak, co przełożyło się na ich późniejszą współpracę w sprawie Ukrainy i Gruzji. Z perspektywy czasu widać, jak poważne były to ostrzeżenia.

Ale to chyba był dopiero początek zaślepienia?

Kolejnym takim momentem było przemówienie Putina na Monachijskiej

Konferencji Bezpieczeństwa w 2007 r. To tam po raz pierwszy przed międzynarodową publicznością zaatakował amerykańską hegemonię i rzekomy imperializm USA. Publiczność była uważnie dobrana – wysłuchali go najważniejsi przedstawiciele zachodniego establishmentu, m.in. Angela Merkel, ale przede wszystkim ministrowie obrony i ministrowie spraw zagranicznych państw zachodnich.

I jaki był efekt?

Z wyjątkiem Bałtów, dobrze znających Rosję, wszyscy doznali szoku. Ale, co ciekawe, ten efekt nie utrzymał się długo. Putin zszedł ze sceny, a my wszyscy zbyt szybko otrząsnęliśmy się i wróciliśmy do prób współpracy – Niemcy do handlu gazem, Francuzi do fantasmagorii dotyczących architektury bezpieczeństwa w Europie, która miałaby obejmować Rosję, a Brytyjczycy do prania w Londynie pieniędzy rosyjskich oligarchów.

► Powody tego zaślepienia były zatem przyziemne?

Tak, ale tych powodów było zdecydowanie więcej. Jednym z nich był sposób, w jaki zakończyła się zimna wojna. Ulegliśmy złudzeniu, że demokracja, gospodarka rynkowa, wszystkie te fundamenty zachodniego świata zwyciężyły i że nie ma dla nich żadnej alternatywy. Kraje Układu Warszawskiego miały się stać częścią Zachodu, naśladować go, wstąpić do Unii Europejskiej i NATO. Dzisiaj można się tylko śmiać z przekonania, że Rosjanie z dnia na dzień zmieniają się w szwedzkich socjaldemokratów. Panowała wtedy atmosfera wielkiej nadziei i naiwności.

W „zmianę poprzez handel” szczególnie wierzył Berlin. Współpraca z Rosją była bajecznie korzystna dla niemieckiej gospodarki. Ale może było więcej powodów przywiązania do Rosji?

Każdy kraj europejski miał własne powody, by utrzymywać stosunki z Rosją. Ale rzeczywiście Niemcy odegrały tu kluczową rolę, właśnie ze względu na złożoność stosunków niemiecko-rosyjskich, która ma swoje korzenie w minionych stuleciach, a zwłaszcza w XX w. Trzeba tu rozumieć poczucie winy za nazistowskie zbrodnie, dokonane na terenie Związku Radzieckiego. Pytani o swoje stosunki z Rosją, niemieccy politycy zawsze zaczynają od stwierdzenia, że Niemcy są odpowiedzialni za śmierć 20 mln Sowieców. Jednocześnie mają tendencję do utożsamiania Sowieców z Rosjanami. Zapominają o wszystkich innych narodach zamieszkujących ZSRR, które też przecież padły ofiarą nazistowskich zbrodni.

To poczucie winy miesza się też z wdzięcznością za radziecką zgodę na zjednoczenie Niemiec. Do tego dochodzi jeszcze dziedzictwo Ostpolitik z początku lat 70. – ta strategia [polegająca na normalizacji stosunków z blokiem wschodnim – przyp. red.] i postać Willy’ego Brandta stały się swego rodzaju symbolami SPD.

A inne kraje?

Tu sprawa wygląda inaczej. Oczywiście Francja, Włochy i Wielka Brytania również miały interesy handlowe z Rosją, ale żaden z tych krajów nie pozwolił na rozwinięcie takiej zależności gospodarczej, jak zrobili to Niemcy. Jest wielką tajemnicą, dlaczego zależność od rosyjskiego gazu była podtrzymywana nie tylko przez Schrödera (kanclerza w latach 1998–2005), ale także przez Merkel (2005–21) – pod jej rządami udział tego rosyjskiego surowca w niemieckim zużyciu wzrósł z 33 do 55 proc.

Gdy w książce porównuje pani politykę niemiecką do francuskiej, widać, że na początku we Francji panowała

nieufność wobec Rosji, zwłaszcza ze względu na wojnę w Czeczenii.

Za rządów Chiraca (2005–07) francuska opinia publiczna opowiadała się przeciwko wojnie w Czeczenii. Intelktualiści tacy jak André Glucksmann, a także moi koledzy dziennikarze z „Le Monde” odegrali ważną rolę w mobilizowaniu Francuzów przeciwko rosyjskiej agresji. W tym samym czasie sprzeciw niemieckiej opinii publicznej był znikomy.

Putin zdawał sobie z tego sprawę. Dlatego początkowo nie chciał przyjeżdżać do Francji na zaproszenie Chiraca. Z czasem prezydenta Francji zaczęło uwierać to, że inne państwa europejskie nawiązują stosunki z Rosją. Nie chciał być marginalizowany. Tak więc krok po kroku zaczął zbliżać się do Rosjan i ostatecznie, również dzięki wojnie w Iraku, udało mu się to.

Francuzi też dali się zaślepić?

Tak. Od tego czasu stosunki z Rosją były podporządkowane francuskiemu przekonaniu, że postzimnowojenna europejska architektura bezpieczeństwa stopniowo się rozpada i musi zostać zastąpiona czymś innym. Francuzi postrzegają siebie jako potęgę nuklearną i z tego powodu wierzyli, że nowy porządek można osiągnąć tylko z udziałem Rosji, posiadającej ogromny arsenał jądrowy.

To ambicja, która przyświecała wszystkim francuskim prezydentom od czasów Chiraca. Oczywiście istniały między nimi różnice na poziomie wrażliwości. Nicolas Sarkozy (prezydent w latach 2007–12) był nastawiony do Rosji wręcz entuzjastycznie. Rok po tym, jak wygrał wybory, w Rosji prezydentem został Dmitrij Miedwiediew – ci dwaj dobrze się dogadywali.

W 2008 r. podczas wojny gruzjińskiej, korzystając z faktu, że Francja sprawowała rotacyjną prezydencję w Unii Europejskiej, Sarkozy przejął inicjatywę negocjacyjną i podpisał porozumienie pokojowe na warunkach korzystnych dla Rosji. W tamtym czasie wszyscy uważali to za szczyt francuskiej i europejskiej dyplomacji. W rzeczywistości była to porażka i sygnał wysłany Putinowi, że może dalej snuć plany i realizować swoje imperialistyczne ambicje, ponieważ tak naprawdę nie napotka żadnego oporu ze strony Zachodu.

Pośród francuskich prezydentów Sarkozy okazał się największym ślepcem?

Tak. Oprócz porażki negocjacyjnej w sprawie Gruzji, to on podpisał w 2011 r. umowę z Rosją na dwa francuskie okręty desantowe typu Mistral. Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby Rosja dysponowała dzisiaj takimi jednostkami na Morzu Czarnym. Miałoby to katastrofalne skutki dla Ukrainy.

Podpisanie kontraktu na te okręty to była zła decyzja, którą Sarkozy’emu odradzał jego własny szef sztabu. Na szczęście umowa nie doszła do skutku – głównie z powodu zagranicznej, szczególnie polskiej presji. Pierwszy okręt został ukończony, a w szkoleniu brało już udział 400 rosyjskich marynarzy. Jednak sprzedaż ostatecznie zablokował następca Sarkozy’ego François Hollande.

Jego prezydentura to była jakościowa zmiana?

Hollande w porównaniu z poprzednikami był bardziej ostrożny i znacznie mniej entuzjastycznie nastawiony do Rosji. Zdawał sobie sprawę, że Putin nie jest demokratą i nigdy nim nie będzie. Problem Hollande’a polegał na tym, że nie był wystarczająco odważny, by w procesie mińskim [porozumienia mińskie z 2015 r. zakończyły pierwszy etap rosyjskiej agresji na Ukrainę i są oceniane jako korzystne dla Rosji – przyp. red.] postawić się Angeli Merkel. Sprawa przynależności Krymu została zepchnięta na bok. A Putin przeciągał negocjacje w nieskończoność.

Dzisiaj Hollande sugeruje, że to było kupowanie czasu dla Ukrainy.

Podobnie tłumaczyła to Merkel. Ten argument mnie jednak nie przekonuje. Gdyby Francja naprawdę chciała wtedy kupić czas Ukrainie, dozbierałaby ją – tak jak robili to Brytyjczycy. Jednak ani w Niemczech, ani we Francji nie brano tego pod uwagę. Być może więc kupiliśmy trochę czasu, ale nie zrobiliśmy nic, by naprawdę pomóc Ukraincom.

W książce opisuję moment po ucieczce prezydenta Wiktora Janukowycza (w trakcie euromajdanu w 2014 r.). W kraju zaplanowano zamieszanie, ustanowiono tymczasowe władze. A Rosjanie wysłali na Krym „zielone ludziki”. Jak zareagował Zachód? Amerykanie i Niemcy przekonali Ukraińców, aby nie stawiali oporu, skoro nie stawili go sami mieszkańcy Krymu. To był wielki błąd, który przypieczetowano podczas procesu mińskiego – uznano, że sprawa Krymu nie zasługuje nawet na uwzględnienie jej w negocjacjach.

Następny był Emmanuel Macron.

Gdy obejmował urząd w 2017 r., był przekonany, że należy odbudować europejską architekturę bezpieczeństwa. I że nie da się tego zrobić bez Rosji. Różnica między nim a Sarkozy’em polega na tym, że Macron nie dał się zwieść pozorom demokracji, które próbował stworzyć rosyjski reżim. Od początku wiedział, kim jest Putin, ale uważał, że dla dobra bezpieczeństwa Europy należy z nim rozmawiać. Dlatego m.in. w 2017 r. zaprosił Putina do Wersalu, a dwa lata później

do swojej letniej rezydencji w Brégançon. Zrobił to bez konsultacji z niemieckimi partnerami, łamiąc tym samym świętą zasadę, zgodnie z którą decyzje w sprawie Rosji są podejmowane wspólnie przez Paryż i Berlin. Nie uzgadniał też niczego z partnerami wschodnio- i środkowoeuropejskimi. I to mimo sprzeciwu francuskiego MSZ. Po spotkaniu z Putinem w przemówieniu do francuskich ambasadorów Macron powiedział: „Wiem, że wielu z was było szkolonych w czasach zimnej wojny. Nadszedł jednak czas na zmianę linii i w sprawie Rosji macie podążać moim śladem”. Dyplomaci byli w szoku.

I co z tego wyszło?

Próby wznowienia dialogu z Rosją ostatecznie spełzły na niczym. Ale uświadomienie sobie tego zajęło Macronowi dużo czasu. W rzeczywistości zdał sobie z tego sprawę dopiero po 24 lutego [data zeszłorocznej rosyjskiej agresji na Ukrainę – przyp. red.]. Jednocześnie używał charakterystycznego dla poprzednich francuskich prezydentów wyrażenia: Rosji nie należy upokarzać.

Ale co to w zasadzie oznacza? Nasze, wschodnioeuropejskie skojarzenia są oczywiste – za kulisami może narodzić się nowa Jałta.

Ach, właśnie! Obawiamy się upokorzenia Rosji, a zapominamy o tym, kiedy to Rosja upokarza innych. Znalazłam przemówienie, w którym do nieupokarzenia Rosji wzywał prezydent Chirac. Ma ono więc naprawdę długą historię. Myślę, że to sformułowanie odzwierciedla kilka rzeczy.

Po pierwsze, to wyraz historycznej traumy – strachu przed tym, że historia może się powtórzyć. Pierwsza wojna światowa zakończyła się upokorzeniem Niemiec poprzez postanowienia traktatu wersalskiego. Doprowadziło to do narastania frustracji, która w końcu przerodziła się w agresję. Po drugie, na taką postawę oddziałuje również wizja Wielkiej Rosji, zakorzeniona i na francuskiej prawicy, i na lewicy. Chodzi o pewne fantastyczne wyobrażenie rosyjskiej historii i kultury. Z tego wynika poczucie, że gigantów nie należy upokarzać, szczególnie jeśli dysponują arsenałem nuklearnym.

Teraz to się zmieniło. Dawno już nie słyσαμε we Francji ostrzeżeń przed upokarżaniem Rosji.

Czy ten sposób myślenia może jeszcze wrócić?

Kiedy pisałam „Zaślepionych”, dużo myślałam o Chinach. Czy w naszych relacjach z Chinami wykazujemy taką samą ślepo-

ść, jak wcześniej w relacjach z Rosją? Myślę, że tak. Zwłaszcza Niemcy, które mają ogromne interesy gospodarcze z Chinami. Francji jest łatwiej niż Niemcom przyswoić sobie lekcje z wojny w Ukrainie. W porównaniu z Niemcami byliśmy mniej zależni od Rosji w zakresie polityki obronnej i dostaw energii. To, co się stało, było dla nas szokiem politycznym, ale nasze rzeczywiste interesy gospodarcze i wojskowe w Rosji były znacznie mniejsze. Zastanawiam się, czy tak samo będzie w przypadku Chin.

W sumie więc może trzeba było skorzystać z okazji i posłuchać krajów Europy Środkowo-Wschodniej, które już dawno chciały przyjęcia Ukrainy i Gruzji do NATO?

Zgoda. Tu punktem zwrotnym był szczyt w Bukareszcie w 2008 r. Stoczono tam naprawdę zaciętą bitwę. Polska, kraje bałtyckie i Rumunia popierały stanowisko Amerykanów, którzy chcieli otworzyć drzwi do NATO dla Ukrainy i Gruzji. Merkel i Sarkozy usiłowali temu zapobiec i ostatecznie udało im się zablokować amerykańską inicjatywę. Tym samym wysłano do Putina sygnał, który z perspektywy czasu okazał się bardzo szkodliwy.

ROZMAWIAŁ JAROSŁAW KUISZ

REKLAMA

Dla nowych użytkowników

Kawa lub Coca-Cola 0,33 l za 1 gr



Pobierz aplikację kameleon
jeden program, wiele korzyści



Pobierz

kameleon
jeden program, wiele korzyści



inmedio

RELAY



So coffee

aelia DUTYFREE



Izrael dzień po

Mimo propozycji zawieszenia broni w zamian za zwolnienie części zakładników rząd Beniamina Netanjahu ma wciąż jeden cel: zniszczyć Hamas. Tylko co dalej?

KONSTANTY GEBERT

Izrael nie może powrócić do status quo sprzed 7 października. Zadaniem państwa jest sprowadzenie wszystkich zakładników do domu oraz uniemożliwienie Hamasowi i innym przeciwnikom, w tym zwłaszcza wspieranemu przez Iran Hezbollahowi, przeprowadzania dalszych ataków terrorystycznych – tak cele izraelskiej kampanii w Gazie określają byli wysocy oficerowie Amos Yadlin i Udi Evental z think tanku MIND Israel na łamach „Foreign Affairs”. Oba te cele są jednak w sposób oczywisty sprzeczne. Uwolnienie zakładników wymaga ustępstw na rzecz Hamasu (oraz Islamskiego Dżihadu, w którego rękach znajduje się ok. 40 z 240 uprowadzonych). To zaś stoi w sprzeczności z chęcią unieszkodliwienia tej i pozostałych organizacji terrorystycznych.

Z kolei skuteczna ofensywa przeciwko Hamasowi stanowi śmiertelne zagrożenie dla zakładników, którzy mogą zginąć z rąk swoich oprawców

lub jako nieintencjonalne ofiary izraelskich ataków.

Owa sprzeczność między deklarowanymi celami operacji dobrze ilustruje paradoksy, w jakie uwikłał się Izrael. W kwestii tego, czy priorytetem jest uwolnienie zakładników, czy też zmiążdżenie Hamasu, podzielony jest i rząd, i izraelskie społeczeństwo. Państwo zawiodło swoich obywateli poprzez lekceważenie dowodów na szykowany przez Hamas atak oraz skrajną niekompetencją w organizowaniu obrony i odsieczy.

Zwrot Netanjahu

W rezultacie ok. 240 obywateli znalazło się w niewoli wroga. I państwo ma obowiązek ich z tej niewoli uwolnić. Tak argumentowali członkowie rodzin uprowadzonych, mobilizując w ogromnych demonstracjach izraelską opinię publiczną i zmuszając w końcu rząd do zaaprobowania katarsko-amerykańskiej propozycji uwolnienia 50 zakładniczek oraz dzieci – w zamian za czterodniowe zawieszenie broni.

Decydujący był tu zwrot, jakiego dokonał Benjamin Netanjahu, który wcześniej

popierał prowadzenie w Gazie kontr ofensywy aż do pełnego zwycięstwa. Premier Izraela dotychczas przekonywał, że rząd jest to winny 300 tys. Izraelczyków z ewakuowanych miejscowości przy granicy z Gazą, a także z Libanem, gdzie trwa intensywna wymiana ognia z Hezbollahem. Zarazem uważał, że militarne zwycięstwo daje najlepszą szansę na oswobodzenie zakładników, bo porywacze będą wówczas skłonni ich uwolnić w zamian za swoje bezpieczeństwo. Podobnie zresztą uważało wojsko, w tym emerytowany generał Benny Ganc, jeden z liderów opozycji, który dołączył do rządu Netanjahu na czas wojny. Przeciwko zawieszeniu broni dla uwolnienia zakładników opowiadały się również dwie małe faszystowskie partie koalicji rządzącej – Religijny Syjonizm i Żydowska Potęga.

W zeszłym tygodniu rząd Netanjahu podjął jednak decyzję o zawieszeniu broni – choć gdy zamykaliśmy te kolumny POLITYKI, jej realizacja nie była pewna. Arabscy obserwatorzy uważali zasadnie, że zawieszenie broni jest sukcesem Hamasu, który po dwóch miesiącach

morderczej izraelskiej kontrofensywy nadal był w stanie dyktować warunki. Za uwolnienie 50 uprowadzonych Izrael miał zapłacić nie tylko czterema dobami bez walk – co miało pozwolić Hamasowi zreorganizować i wzmocnić siły. Ale Jeruzolima miała także zwolnić z więzień 150 aresztowanych Palestynek oraz palestyńskich nastolatków.

Ten sukces zaowocować musi dalszym wzrostem popularności Hamasu wśród Palestyńczyków. Podczas gdy przed 7 października 67 proc. Palestyńczyków deklaroowało, że nie ufa Hamasowi, w miesiąc później 60 proc. respondentów deklaroowało, że „całkowicie popiera wojskową operację Hamasu”, zaś 16 proc. sygnalizowało poparcie „w pewnym stopniu”. Z tych badań, przeprowadzonych przez Arab World Research and Development, jasno wynika, że katastrofalne skutki, jakie dla Gazy przyniosło owo mordowanie przypadkowych Żydów, nie tylko nie zmniejszyły poparcia dla Hamasu, lecz wręcz je nasiliły. Zaś zmuszenie Izraela do uwolnienia więźniów, co się nie udawało Autonomii Palestyńskiej, popularność Hamasu jeszcze zwiększy. W obliczu takich postaw szanse na bunt mieszkańców Gazy wobec terrorystów, wykorzystujących ich jako żywe tarcze, wydają się niewielkie.

Ograniczona operacja?

Rząd Izraela bierze pod uwagę przedłużenie zawieszenia broni – o dobę za każdym 10 kolejnych zwolnionych zakładników. Ale też jasno stwierdza, że później walki zostaną wznowione: to nie ma być rozejm. Tyle tylko że polityczna presja ze strony sojuszników – w tym USA – by zawieszenie broni przekształciło w trwały rozejm właśnie, będzie ogromna. Zachodnia opinia publiczna już jednoznacznie uznała, że w tej wojnie to Izrael jest winny: padają oskarżenia o zbrodnie wojenne czy wręcz ludobójstwo. „Choć Izrael ma prawo do samoobrony, jego obecna operacja wojskowa w Gazie jest nieproporcjonalna” – podsumował ten sposób myślenia Raphael S. Cohen z Rand Corporation. I kontynuował: „Zapewne ta sama grupa popierałaby bardziej ograniczoną operację. Ale kiedy jej członków dopytać, jak taka operacja miałaby wyglądać, odmawiają i mówią, że należy zapisać »wojskowych ekspertów«. No to ja jestem wojskowym ekspertem. Studiuję operacje wojskowe w Gazie już od dekady. Jak miałyby wyglądać bardziej ograniczona operacja? Nie mam pojęcia”.

Istotnie, trudno sobie wyobrazić, żeby liczba ofiar cywilnych w Gazie nie szła

w tysiące, w sytuacji, w której Hamas rozmieszcza swoje jednostki i uzbrojenie wśród ludności cywilnej. Zarazem zabraniając jej schronienia w 500-kilometrowej sieci tuneli, którą dla celów wojennych wybudował pod domami mieszkalnymi w jednym z najgęściej zabudowanych obszarów na planecie. Z którego w dodatku ucieczka jest niemożliwa ze względu zarówno na blokadę izraelską, jak i na nie mniej szczerłą blokadę egipską.

Izraelczycy byli oczywiście tego świadomi. Ale „bardziej ograniczona operacja” oznaczałaby zapewne tylko „ograniczone” straty Hamasu, nie zaś jego militarne rozbitcie. Tym samym Izrael musiałby zrezygnować nie tylko z próby ukarania sprawców rzezi z 7 października, lecz także z zapobieżenia następnym atakom. A te zapowiedział członek politbiura Hamasu Ghazi Hamad – „aż do całkowitego zniszczenia Izraela, który jest źródłem wszelkiego zła”.

Izrael miał więc do wyboru albo wojskową kontrofensywę w takim kształcie jak obecnie, albo całkowitą rezygnację ze zbrojnej reakcji na rzeź. To jednak by znaczyło, że państwo, które raz już tak katastrofalnie zawiodło swoich obywateli, postanowiło zawieść ich ponownie, udzielając cywilom przeciwnika lepszej ochrony niż własnym. Wątpliwe, by Izraelczycy na to przystali. Ale też ewentualna decyzja o wznowieniu działań zbrojnych po zakończeniu zawieszenia broni z pewnością zostanie skrytykowana przez opinię międzynarodową. Nikt nie chce przecież oglądać zdjęć zabitych dzieci.

Niewyobrazalna rzeczywistość

Nawet jednak gdyby armii izraelskiej udało się – jak zapowiada – zmiażdżyć Hamas, to pozostaje fundamentalne pytanie: co dalej? Hamas to nie tylko 20 tys. terrorystów, ale cała infrastruktura władzy w Gazie: żadne stanowisko – od nauczyciela po dyrektora szpitala – nie jest obsadzone bez zgody tej organizacji. Miejsce islamistów musiałaby zająć jakaś inna siła polityczna, a po fizycznej rozprawie ze świeckim Fatahem, podjętej rok po wygranych przez Hamas wyborach z 2006 r., nie pojawiła się nowa opozycja – ani zresztą nowe wybory. Nawet jeżeliby doszło do hipotetycznego buntu mieszkańców Gazy przeciwko rządzącym nimi po dyktatorsku islamistom, to do wyłonienia nowych struktur politycznych jeszcze droga daleka.

Z kolei rządzona przez Fatah Autonomia Palestyńska, wygnana z Gazy przez

Hamas, dziś już nie sprawuje władzy nawet nad całymi przypisanymi jej obszarami Zachodniego Brzegu. Próba objęcia jej kontrolą Gazy byłaby niemal na pewno nieudana, a niewątpliwie – uznana za kolaborancką. Mało prawdopodobne, żeby jakiś palestyński polityk chciał ponieść takie ryzyko.

Pomysł powierzenia ONZ kontroli nad Gazą jest jeszcze bardziej księżycowy. Na mocy rezolucji Rady Bezpieczeństwa z 2006 r. siły ONZ miały rozbroić Hezbollah i przywrócić armię libańską jako jedyną siłę zbrojną na granicy z Izraelem. Tymczasem Hezbollah rozbudował jeszcze swój arsenał rakietowy do 150 tys. sztuk i używa go do woli przeciw Izraelowi, zaś armia libańska ma dostęp do granicy jedynie za zgodą terrorystycznej organizacji. Błękitne hełmy liczą odpalane pociski i się nie wtrącają. Nie ma powodu sądzić, że w Gazie powiodłoby im się lepiej.

Pozostaje więc zapowiedź Netanjahu, że po zwycięskiej wojnie Izrael zachowa na czas nieograniczonej kontrole wojskową i bezpieczeństwo nad Strefą Gazy, czyli – mówiąc wprost – przywróci okupację zakończoną w 2005 r. Nawet jeśli by nie doszło do odbudowy zlikwidowanych wówczas żydowskich osiedli – a takie obłąkańcze pomysły zgłaszają niektórzy politycy koalicji rządowej – to musiałyby to oznaczać stałą wojnę z pozostałościami Hamasu i z jego następcami.

Kategorycznie przeciwna jest temu armia, która nie chce ginąć w imię trudno właściwie powiedzieć jakiego celu. Zdecydowanie niechętna jest też izraelska opinia publiczna, która zresztą w ponad 80 proc. domaga się dymisji Netanjahu. No i pomysł przywrócenia okupacji wywołał wściekłość prezydenta Joe Bidena – akurat taki skutek poparcia, którego Amerykanin udziela dziś Izraelowi, mógłby kosztować go przegraną w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Tyle tylko że Netanjahu, jak się wydaje, gra właśnie na powrót Donalda Trumpa.

Można sobie wprawdzie wyobrazić taki – wywołany szokiem wojny – zwrot w palestyńskiej i izraelskiej opinii publicznej, który doprowadziłby do wznowienia procesu pokojowego w duchu propozycji premiera Ehuda Baraka z 2000 r. i premiera Ehuda Olmerta z 2009 r. Ale to, że coś się wyobraźalne, nie oznacza jednak, że stanie się rzeczywistością. Ani to, że jakiś scenariusz jest tak straszny, że niewyobrazalny, nie gwarantuje, że nie zostanie zrealizowany. Witamy na starym nowym Bliskim Wschodzie.

Konstanty Gebert jest komentatorem „Kultury Liberalnej”.

Niderlandy pierwsze

To nie **Geert Wilders** przybrał nowy kostium i dlatego wygrał holenderskie wybory. To wielu Holendrów po prostu straciło cierpliwość.

MAREK ORZECZOWSKI Z AMSTERDAMU

Holendrzy są znużeni polityką, przestają wierzyć w zmiany na lepsze. Według przedwyborczych badań ponad 50 proc. z nich straciło zaufanie do politycznego establishmentu, ponad 60 proc. jest zdania, że krajem rządzą nieudacznicy, a dla 80 proc. najważniejszym problemem stała się imigracja. „Łóżka jest pełna” – odesłane przed laty do lamusa hasło znów pojawiło się na salonach, bo w holenderskich domach gości już od dawna. Miła dla oka Holandia z wiatrakami, kanałami i tulipanami, w której każdy obcy czuł się jak u siebie, odpłynęła.

Cudu nie było. W przeciwieństwie np. do Emmanuela Macrona, który w 2017 r. spadł Francuzom niemal z nieba, Wilders od ponad 20 lat pracował na swojej pozycji. Na przekór zmiennym koniunkturom, zdradom, nawet zamachom na życie, cierpliwie drażył skałę – aż się doczekał. W wyborach parlamentarnych 22 listopada jego ugrupowanie PVV (Partia Wolności) wygrało bezapelacyjnie i nieoczekiwanie, zdobywając 24 proc. głosów i 37 mandatów w 150-osobowym parlamencie. Drudzy, z dużą stratą, byli socjaldemokraci Fransa Timmermansa.

Wilders politycznym trędotawym przestał być już dawno, od wielu lat nie da się go w tym biznesie pominąć. A kiedy trzeba, jest w nim przydatny – w 2010 r. tolerował jeden z mniejszościowych rządów odchodzącego Marka Rutte, który ostatecznie odprawił go z kwitkiem. Ale dziś bez sześćdziesięcioletniego Wildersa nie da się już rządzić Holandią.

Uosabiana przez niego formuła holenderskiego populizmu – odziana w dobre garnitury, wymodelowane włosy, salonowe maniery, miły, cierpliwy głos i ostry język – ma w kraju już wieloletnią tradycję. Jej prekursorem był dziennikarz Pim Fortuyn, którego w telewizyjnym studiu nikt nie był w stanie pokonać. Został zastrzelony na krótko przed wyborami w 2002 r. przez aktywistę z grona zdeklarowanych przyjaciół zwierząt. Fortuyn chciał palić Koran,



porównywał go z „Mein Kampf”, dla niego islam był nazizmem, chciał z Holandii wygonić wszystkich Marokańczyków, ale jednocześnie szedł z nimi do łóżka, zachwalając ich seksualną potencję.

Szybko po jego śmierci powstało nowe ugrupowanie – Partia Pima Fortuyna – które jak z procy dostało się do parlamentu. W kraju zapowiadała się polityczna rewolucja. Ale stary, doświadczony i cierpliwy haski establishment swoje wiedział i przeczekał: kiedy emocje opadły, zaczęła się zwykła walka na noże, kipiały umiejętnie podsycane intrygi i Partia Fortuyna z hukiem się rozleciała. Wilders wyciągnął jednak wniosek, który okazał się receptą na długie polityczne życie – nigdy więcej żadnej partii. Partia to ja, powiedział, do dziś jest jedynym jej członkiem.

A program? O ten nie musi się martwić. Wystarczy, że obserwuje, co wyczyniają inni, komentuje ich wybryki, punktuje nietrafione pomysły, ostrzega przed groźnymi zaniedbaniami – i ludzie przyznają mu rację. Jego programem są błędy tych, o których mówi, że nigdy się nie nauczą, że nigdy nie wyciągną wniosków, że zawsze będą mieć rację... Dzięki temu, że jego wystylizowany wizerunek rzuca się w oczy i pozostaje w pamięci, nie musi drukować ulotek – wystarczy jego zdjęcie i zapowiedź, że się pojawi na rynku albo rogu ulicy.

Na tych rogach właśnie punktuje problemy kraju. Nie wymyśla ich, nie kreuje w politycznych polemikach, wylicza jak mantrę: inwazja islamu, niekorzystne zmiany w strukturze społecznej, rzucająca

się w oczy rosnąca bieda, mizéria i niedofinansowanie szpitali, drastyczny brak mieszkań (w Holandii brakuje ich ponad 400 tys. dla ponad 1,5 mln osób), szastanie pieniędzmi, oszustwa.

Oczywiście Wilders nie jest jedynym, który o tym mówi. Ale mówiąc o tym, nie stosuje haskiej terminologii: politycy w Hadze taki stan rzeczy przywykli określać mianem „trybu kryzysowego”, który wszystko tłumaczy i wyjaśnia. I wtedy właściwie nic już nie można zrobić, ot, tryb kryzysowy, trudno...

Niderlandy przemówiły i chcą zmiany. Chcemy rządzić – mówi dziś Wilders. I tak bardzo pragnie władzy, że gotów jest spuścić z tonu: walkę z islamem, choć nadal dla niego ważną, na razie może uznać za mniej istotną; choć minarety meczetów nadal rzucają mu się w oczy, to już nie tak intensywnie jak miesiąc temu.

Tylko w jednym Wilders nie zamierza ustąpić – chce drastycznego wstrzymania migracji, natychmiastowego zamknięcia granic. To postulat, z którym każda holenderska partia będzie musiała się zmierzyć. Rocznie do 18-milionowej Holandii dociera blisko ćwierć miliona migrantów, z których jedna piąta ubiega się o azyl, nie mając wielkich szans na dostanie go. Wilders chce to ukrócić, a pieniądze z tego programu chciałby przeznaczyć na budowę mieszkań.

Czy ten najnowszy głos wyborców został usłyszany w Hadze? Frans Timmermans, były unijny komisarz, wezwał do obrony demokracji. W sondażach widział swoją koalicję na zwycięskiej pozycji, teraz nie bardzo wiadomo, czy w ogóle będzie współtworzyć rząd. Przyczyn wyborczej porażki upatruje raczej wśród wyborców, a nie u siebie. Prasa holenderska prędko się z nim rozprawiła – trzeba było zadbać o program, który przekona Holendrów. Wskazywanie palcem winnego, Geerta Wildersa, już nie wystarczy. Nie te czasy.

Gabinet w Hadze powstaje zawsze w bólach. W wyborczym systemie nie istnieje próg większości. Aby dostać się do izby, wystarczy 63 tys. głosów, 0,67 proc. wyborców. Dlatego w parlamencie zasiadają przedstawiciele aż dwudziestu partii, a czasami nawet dwudziestu kilku. Wilders będzie miał więc z kogo wybierać. Tym bardziej że obecnie w Holandii już nie tylko on mówi Trumpowskim hasłem „Nederland eerst”, Niderlandy pierwsze. ■



JEDNO

STUDIO

RÓŻNE

POG-

LĄDY



**NAJBARDZIEJ ZAUFANE
ŹRÓDŁO INFORMACJI
W POLSCE WG REUTERSA***

**Tomasz
Terlikowski**
piątek, 18:02

źródło: badanie „Digital News Report 2023”
Reuters Institute for the Study of Journalism, próba 2030



Triumf kosmicznie katastroficzny

Drugi start Starship, 18 listopada.
Tym razem 33 silniki Raptor zadziały od razu.
Później jednak nie wszystko poszło zgodnie z planem.

Rakieta Starship znów eksplodowała, nim doleciała do celu, i znów ogłoszono sukces. SpaceX robi postępy, ale czy zdąży na drugi podbój Księżyca?

OLAF SZEWCZYK

Z

budowany ze lśniącej w słońcu nierdzewnej stali, z dodającymi smukłej sylwetce gracji symetrycznymi statecznikami, Starship wygląda jak rakieta z wizji ilustratorów książek sprzed stulecia, tak właśnie wyobrażających sobie podbój kosmosu. To niejedyna zbieżność. Tak jak statki kosmiczne z dawno pożółkłych kart powieści SF, Starship jest rakieta wielokrotnego użytku. Nawet jej pierwszy

człon, odłączany w trakcie lotu po zużyciu paliwa, ląduje samodzielnie we wskazanym miejscu, dzięki czemu może być wykorzystany ponownie. To olbrzymi walor – znacząco zmniejsza się koszt wynoszenia ludzi i sprzętu na orbitę.

Wszystko w tej stworzonej z oszałamiającym rozmachem konstrukcji jest wyjątkowe i bezprecedensowe. Starship to największa i najpotężniejsza rakieta w historii (z olbrzymim marginesem przewagi nad konkurencją). Przygotowana do startu, zatankowana płynnym tlenem i metanem waży pięć tysięcy ton. Wysoka na 121 m, ustawiona obok nowojorskiej Statuy Wolności górowałaby nad nią aż o 28 m. Nawet najnowsza, opracowana przez NASA z myślą o powrocie na Księżyc, rakieta SLS (Space Launch System) wydaje się przy niej anemicznym reliktem ery von Brauna i Korolowa, pionierów astronautyki niemieckiej, amerykańskiej i radzieckiej. 33 silniki Raptor pierwszego członu Super Heavy zapewniają Starshipowi niemal dwukrotnie większą siłę ciągu. Stworzona przez firmę Elona Muska SpaceX rakietka może wynieść na orbitę 150 ton ładunku (w planach do 250 ton), jest w niej miejsce dla stu osób. A wszystko po to, by umożliwić kolonizację Marsa. Musk deklaruje, że pierwsi ludzie wylądują Starshipem na Czerwonej Planecie już w 2029 r.

Stworzenie takiego monstrum i oderwanie go od Ziemi oznacza jednak monstrualne wyzwania, z jakimi przemysł kosmiczny dotąd nie musiał się mierzyć.

Armagedon nad Rio Grande

Christopher Basaldú, mieszkaniec Brownsville w południowym Teksasie, wiedział, że pierwszy testowy lot rakiety Starship będzie wydarzeniem, którego nie sposób przeoczyć. Mimo to był zaskoczony, gdy pół roku temu, rankiem 20 kwietnia, usłyszał, jak w dach jego domu uderza grad kamieni. Basaldú mieszka bowiem niemal 30 km od bazy SpaceX w Boca Chica. Budynki zaczęły drżeć, budząc domowników, ale mieszkańcy Brownsville i tak mogą się cieszyć, że nie podzielili losu pechowców z terenów położonych znacznie bliżej miejsca startu rakiety Starship. Port Isabel, małe miasteczko na północny zachód od Boca Chica, zostało pokryte pyłem, jakby przeszła nad nim burza piaskowa. Julio Martinez, właściciel tamtejszej restauracji, mówi, że płyty sufitowe w lokalu spadały jak podczas trzęsienia ziemi.

Inżynierowie SpaceX wiedzieli, że gigantyczna siła potrzebna do poderwania z Ziemi najcięższej rakiety w historii spowoduje bezprecedensową falę uderzeniową. Nawet oni jednak, jak się zdaje, nie przewidzieli ogromu zniszczeń. Moment startu spowitej w chmurze ognia i dymu rakiety przypominał eksplozję gigantycznej paliwowej car-bomby. Rozedrgany obraz kamery, która zarejestrowała ścianę spalin pochłaniającą samotną palmę, przywołał na myśl historyczne nagrania z atolu Bikini, gdzie USA detonowały ładunki nuklearne. Kawałki gruzu ze strzaskanej

siłą ciągu silników Raptor betonowej platformy startowej zniszczyły sprzęt fotograficzny i kamery ustawione w rzekomo bezpiecznej odległości, uszkodziły wozy transmisyjne telewizji. Wraz z falą uderzeniową i żarem zdewastowały cenną infrastrukturę bazy (żar, jak później ustalono, doprowadził też do ruiny system sterowania rakieta). W pobliskim lesie wybuchł pożar.

SpaceX wybudował Starbase, swoje centrum lotów kosmicznych, na jednym z najbardziej na południe wysuniętych terenów USA. Blisko granicy z Meksykiem, którą wyznacza rzeka Rio Grande, i – tak jak NASA – tuż przy Zatoce Meksykańskiej, w której wodach utonęło bezpiecznie już wiele szczątków statków kosmicznych. To dla platformy startowej rakiet znakomita lokalizacja, bo im bliżej równika, tym łatwiej oderwać je od Ziemi. Pozostaje pytanie, jakim cudem Elon Musk zdobył pozwolenie na start w obszarze ziemi świętej dla plemienia Carrizo/Comecrudo, w bliskim sąsiedztwie rezerwatów przyrody. Nawet centrum NASA, w Houston, jest położone wyżej na północ.

Pierwszy lot testowy Starshipa zaczął się od awarii kilku silników Raptor, które nie odpaliły przy starcie lub przestały działać chwilę później. Mimo to dzięki sile ciągu pozostałych 28 Raptorów rakietka planowo pięła się w górę. Po 2 min i 49 sekundach od startu Super Heavy powinien wyłączyć silniki i odłączyć się od członu głównego rakiety. Odtąd Starship miał już lecieć samodzielnie, pchany odrzutem swoich sześciu Raptorów. Do separacji jednak nie doszło. Lot, który mógł trwać ponad półtorej godziny, zakończył się po 3 min i 59 sek. Wysłane z Ziemi polecenie detonacji zniszczyło jednocześnie oba człony rakiety.

Mimo to dziewiczy lot Starshipa został uznany za sukces. Rakietka minęła bowiem bezpiecznie punkt max-q, gdzie oddziaływają na nią największe siły. SpaceX udowodnił, że konstrukcja Starshipa umożliwia mu bezpieczny lot na orbitę, a stanowisko w Boca Chica – mimo zdemolowanego betonowego podłoża – może przetrwać kataklizm, jakim jest start takiego monstrum.

Aplauz po ośmiu minutach

W ciągu kilku miesięcy, które minęły między pierwszym a drugim lotem testowym Starshipa 18 listopada, SpaceX ciężko pracował nad eliminacją wykrytych usterek. Całkowicie przeprojektował platformę startową, zamontował na podłożu w miejscu startu rakiety grubą stalową płytę z otworami na pompowaną pod dużym ciśnieniem wodę. Ten system chłodzenia, a zarazem ochronną kurtynę wodną, Elon Musk porównał do odwrotnie zamontowanej głowicy prysznicy. Jak wynika z relacji, urządzenie zdało egzamin. Co prawda domy w okolicznych miejscowościach znów wpadły w drżenie – z tym nic się zrobić nie da – ale udało się uniknąć krytycznych zniszczeń, deszczu gruzu i opadów pyłu.

Inżynierowie SpaceX przeprojektowali Super Heavy, pierwszy człon Starshipa, dzięki czemu tym razem zadziałały od razu wszystkie 33 silniki Raptor, a w czasie lotu żaden z nich nie uległ awarii. Wyposażyli też rakieta w zupełnie nowy element na styku obu członów, zwany „gorącym pierścieniem pośrednim”, który miał ułatwić bezproblemową ich separację. Jest to faza lotu o tyle skomplikowana, że silniki drugiego stopnia rakiety zaczynają pracować, zanim jeszcze odłączy się od niego stopień pierwszy, Super Heavy. I tym razem separacja przebiegła bezproblemowo. ►

► Niezwykle jest to, że tak radykalna innowacja inżynierska została zaprojektowana i wykonana w ciągu zaledwie półrocza, z ostatecznym sukcesem. W realiach NASA zajęłoby to lata.

Nie wszystko jednak poszło zgodnie z planem. Super Heavy, zamiast po oddzieleniu się od głównego członu rakiety bezpiecznie wylądować na platformie w Zatoce Meksykańskiej, eksplodował. Starship leciał jeszcze samodzielnie przez chwilę dalej. Celem misji było częściowe okrążenie Ziemi i lądowanie na platformie pływającej po Pacyfiku. Po wspięciu się rakiety na wysokość 150 km, gdy centrum kontroli lotu straciło ze Starshipem kontakt, po ośmiu minutach od startu zadziałał automatyczny system detonacji. Być może przyczyną było zboczenie z kursu w wyniku wadliwej pracy któregoś z sześciu silników.

Także tym razem inżynierowie SpaceX ogłosili sukces misji. I jakkolwiek osobliwie by to brzmiało, należy im przyznać rację. Firma Elona Muska, podobnie jak inne prywatne podmioty, działa bowiem na kompletnie innych zasadach niż agencje kosmiczne finansowane z budżetów publicznych, jak NASA czy ESA. Dla NASA, jak mawiał legendarny Gene Kranz, kierownik lotu w programach Gemini i Apollo, „porażka nie wchodzi w grę”. Dla SpaceX z kolei porażka jest częścią procesu inżynierskiego – źródłem bezcennej wiedzy, pozwalającej skutecznie pokonywać napotkane problemy. Wizja administracyjnych konsekwencji, w tym dymisji i zatrzymania finansowania w przypadku porażki,



Pierwszy start Starship, 20 kwietnia. Jedne silniki nie odpaliły, inne działały krótko, człon Super Heavy się nie odłączył. Rakieta została zniszczona.

wymusza na decydentach NASA strategię długotrwałego i kosztownego cyzelowania oraz testowania rozwiązań technologicznych w fazie projektowej.

Zadumanie nad czasem

Program Apollo, dzięki któremu człowiek postawił stopę na Księżycu, kosztował niemal pięć procent budżetu federalnego USA, angażując 400 tys. pracowników. Dziś takie wsparcie jest niewyobrażalne, bo za obecnym projektem kosmicznym USA nie stoją porównywalne cele polityczne. NASA, szykując powrót na Księżyc, nie miała szans na podobne finansowanie. Mimo to budowa Space Launch System zajęła jej około dekady i kosztowała dziesiątki miliardów dolarów. SpaceX, porywając się na ambitniejsze technologiczne wyzwanie, realizuje swój cel za ułamek tej kwoty i nieporównanie szybciej. Udowodnił, że strategia iteracyjna, jaką przyjął, doskonaląc krok po kroku swoje konstrukcje, ma sens.

NASA dostrzega potencjał firm prywatnych i z niego korzysta. W kwietniu 2021 r. SpaceX zdobył od NASA kontrakt na zbudowanie lądownika księżycowego dla misji Artemis III. Jej celem będzie pierwsze od ponad półwiecza lądowanie Amerykanów na Księżycu, w rejonie bieguna południowego. SpaceX odpowiedzialny będzie za ostatnią fazę misji. Musi dostarczyć lądownik na orbitę Księżycza, gdzie czekać on będzie na czworo astronautów, których dostarczy statek kosmiczny Orion, wyniesiony przez raketę NASA SLS. Dwoje astronautów pozostanie w Orionie na orbicie, a dwoje uda się w Starshipie na powierzchnię. Misja, oficjalnie zaplanowana na grudzień 2025 r. (wcześniej celowano w rok 2023), zostanie jednak prawdopodobnie znów przełożona, co najmniej na 2026 r.

Rzecz w tym, że mimo przekładanek SpaceX może mieć problem, by zdążyć ze wszystkim na czas. Stoi bowiem przed bardzo trudnym wyzwaniem. Starship, przy swojej olbrzymiej masie i założonej ładowności, nie jest w stanie dolecieć do Księżycza w jednym zrywie. Będzie musiał po drodze zatankować paliwo. W tym celu SpaceX musi umieścić na orbicie „stację benzynową” – specjalną wersję Starshipa z dużymi zbiornikami na tlen i metan. Musi też zaprojektować rakiety „cysterny”, które będą dostarczać paliwo na orbitę. Według optymistycznych szacunków Muska wystarczy osiem kursów, by w pełni ją zatankować, ale padają opinie, że może ich być kilkanaście.

Wiąże się z tym wiele wyzwań. „Stacja paliw”, orbitując wokół Ziemi, będzie przechodziła przez zimną strefę cienia i gorącą strefę nasłonecznienia. Biorąc pod uwagę, że płynny tlen musi być przechowywany w bardzo niskiej temperaturze (punkt skraplania: -182,96 st. C), problemem będzie niedopuszczenie do ulatniania się paliwa lub, co gorsza, zniszczenia zbiornika. Ponadto SpaceX musi przeprojektować swój lądownik tak, aby podmuch z silników nie podnosił z powierzchni Księżycza tumanów regolitu.

Jeśli SpaceX podoła tym inżynierskim wyzwaniom, zbudowanie kolejnego lądownika, dla misji Artemis IV, na które firma zdobyła od NASA zamówienie rok temu, powinno być już tylko rutynową formalnością. NASA, obserwując wysiłki inżynierów Elona Muska, zachowuje optymizm i spokój. Jak zawsze ma w zanadru plan B. Jeśli SpaceX zawiedzie, NASA planuje wykorzystać lądownik księżycowy Blue Moon konsorcjum Blue Origin, zakontraktowany już na misję Artemis V.

Zerkanie na Marsa

Dla Elona Muska udział w drugiej przygodzie księżycowej to jednak tylko etap pośredni w realizacji celu głównego, jakim jest kolonizacja Marsa. Starship został przecież wymyślony i skonstruowany jako arka osadników. Podczas październikowego Międzynarodowego Kongresu Astronautycznego w Azerbejdżanie biznesmen w trakcie wideokonferencji powiedział, że Starship, jeszcze bez załogi, w misji testowej, może wylądować na Marsie w ciągu najbliższych czterech lat. Czy to możliwe?

Musk już wcześniej szarżował z imponującymi deklaracjami, pierwszy lot załogowy na Marsa był przecież pierwotnie planowany na 2024 r. Najnowszą deklarację właściciela SpaceX należy zatem rozważać na zimno, bez ekscytacji. Zwłaszcza że oprócz możliwych problemów technicznych na horyzoncie widać inne poważne przeszkody. Coraz głośniejszy protestują mieszkańcy miasteczek wokół bazy SpaceX w Boca Chica, obronicy przyrody, lokalne plemiona. Coraz więcej mówi się o niepokojąco dużej liczbie wypadków, którym ulegają pracownicy kosmicznego kompleksu, coraz więcej wpływa skarg na warunki pracy w SpaceX. Tempo, w jakim Elon Musk realizuje swoje marzenia, intensyfikując prace nad budową kolejnych rakiet, ma dla wielu zbyt wysoką cenę.

OLAF SZEWCZYK

Życie i śmierć w sex shopie

Łączenie literatury pięknej z popularyzacją nauki to kuszący, ale ryzykowny zabieg. Podjął się go Juan José Millás.

MARCIN ROTKIEWICZ

Atapuerca na północy Półwyspu Iberyjskiego. Znalezione tam m.in. ludzkie kości sprzed ok. 800 tys. lat (czasów na długo przed pojawieniem się *Homo sapiens*), najstarsze spośród odkrytych w zachodniej Europie. Część z nich nosi ślady wskazujące na uprawianie kanibalizmu. Na pomysł napisania „Życia i śmierci” Millás, 77-letni ceniony hiszpański pisarz, wpadł właśnie po wizycie na tym stanowisku archeologicznym.

Jednak, jak sam przyznał, poległ na lekturach. Z jednej strony wciągały go jak narkotyki, ale ogrom wiedzy przytłaczał i onieśmiały zapędy pisarskie. Przypadek zetknął go wówczas ze znanym hiszpańskim paleontologiem prof. Juanem Luisem Arsuagą, od ponad 40 lat związanym ze stanowiskiem Atapuerca. W 2013 r. opublikował on, wraz z innymi badaczami, głośny artykuł o odkryciu najstarszego ludzkiego DNA sprzed 400 tys. lat (prawdopodobnie należącego do *Homo heidelbergensis*).

Millás przeczytał popularnonaukowe książki Arsuagi, ale, jak to eufemistycznie ujął, nie zawsze udawało mu się wspiąć na wyżyny naukowca. Za to paleontolog wydał mu się „nieprzeciętnym, błyskotliwym, świetnym” mówcą. Millás zaproponował, by połączyć siły. „Ty mnie zabierzesz w różne miejsca, gdzie chcesz. Na stanowisko archeologiczne, na pole, na oddział położniczy, do zakładu pogrzebowego, na wystawę kanarków (...). I będziesz mi opowiadał o tym, na co patrzemy, wytłumaczysz mi rzeczywistość. Ja przyswoję twoje słowa. Przetrawię je, zrobię selekcję materiału, opracuję go i spiszę. Wydaje mi się, że stworzylibyśmy świetną opowieść o istnieniu” – przedstawił ofertę Arsuadze. Paleontolog, po dłuższej chwili namysłu, zgodził się zawiązać spółkę autorską.

Czy udaną? Przez pierwsze kilkanaście, a może nawet kilkadziesiąt, stron książki, przyzwyczajony do zupełnie innej formy i stylu publikacji popularnonaukowych czułem sporą nieufność.

Obawiałem się, że w moje ręce trafiło dzieło pretensjonalne. Jednak towarzysząc specyficznej wędrowce pisarza z naukowcem do rozmaitych miejsc Hiszpanii (niektórych bardziej oczywistych, bo związanych z nauką, innych zaskakujących), ulegałem specyficznemu urokowi „Życia i śmierci”.

Narratorem jest tu oczywiście Millás, który chce jak najszerzej zrozumieć ewolucyjną genezę człowieka, więc dopytuje Arsuagę niemal o wszystko – od naszej biologii, po kulturę, religię, filozofię oraz tytułowe życie i śmierć. Nie tworzy jednak wywiadu rzeki, ale rozmowę w formie opowiadania utkanego dialogami. Książka skrzy się też od oryginalnego poczucia humoru, sarkazmu, nietuzinkowych obserwacji i skojarzeń Millása.

Oto próbka: podczas jednego ze spacerów po Madrycie, Arsuaga postanowił wejść do napotkanego przypadkiem sex shopu, żeby lepiej wytłumaczyć omawiane właśnie drugo- i trzeciorzędowe cechy płciowe oraz zagadnienie poligamii i monogamii. „Zawahałem się na widok bardzo młodej dziewczyny za ladą. Wstydziłem się, ale Arsuaga wypychał mnie do środka.

– Dobra – zgodziłem się. – Powiemy sprzedawczyni, że jesteśmy antropologami.

– Niby czemu?

– Nie wiem, co sobie pomyśli na widok dwóch starych facetów oglądających wszystkie te ustrojstwa.

Paleontolog spojrział na mnie z politowaniem i otworzył szklane drzwi. Nie musieliśmy podawać się za antropologów, bo dziewczyna, bardzo kulturalna, od razu rozpoznała Arsuagę.

– Wyjaśniam coś temu człowiekowi – powiedział mój towarzysz, wskazując na mnie z lekkim politowaniem. – Weszliśmy zobaczyć penisy. Masz penisy?”

Dzięki tej imponującej pomysowości i literackiej sprawności, „Życie i śmierć” czyta się świetnie. Również dlatego, że Millás ma odwagę wejść w rolę laika, który bez skrępowania potrafi zadać najprostsze (co nie znaczy, że niemądre czy naiwne) pytania.

Odpowiedzi i wyjaśnienia Arsuagi mają nieraz publicystyczny, a nie naukowy



charakter. Bywają też mocno kontrowersyjne. Stwierdza np., że zwierzęta nie mogą kłamać, bo nie dotyczy ich teoria umysłu. Badania wskazują tymczasem, że m.in. kruki potrafią zakładać, co myślą inne osobniki ich gatunku (a to jest właśnie teoria umysłu). Prezentuje też bardzo ciekawą koncepcję (autorstwa brytyjskiego naukowca prof. Richarda Wranghama z Harvard University) samoudomowienia człowieka oraz szympanсів karłowatych, jakby była już okrzepłą i potwierdzoną wieloma badaniami teorią. Tymczasem jest ona dopiero dyskutowana jako jedna z propozycji wyjaśnienia fenomenu pewnych wyjątkowych cech człowieka i naszych szympanszych kuzynów.

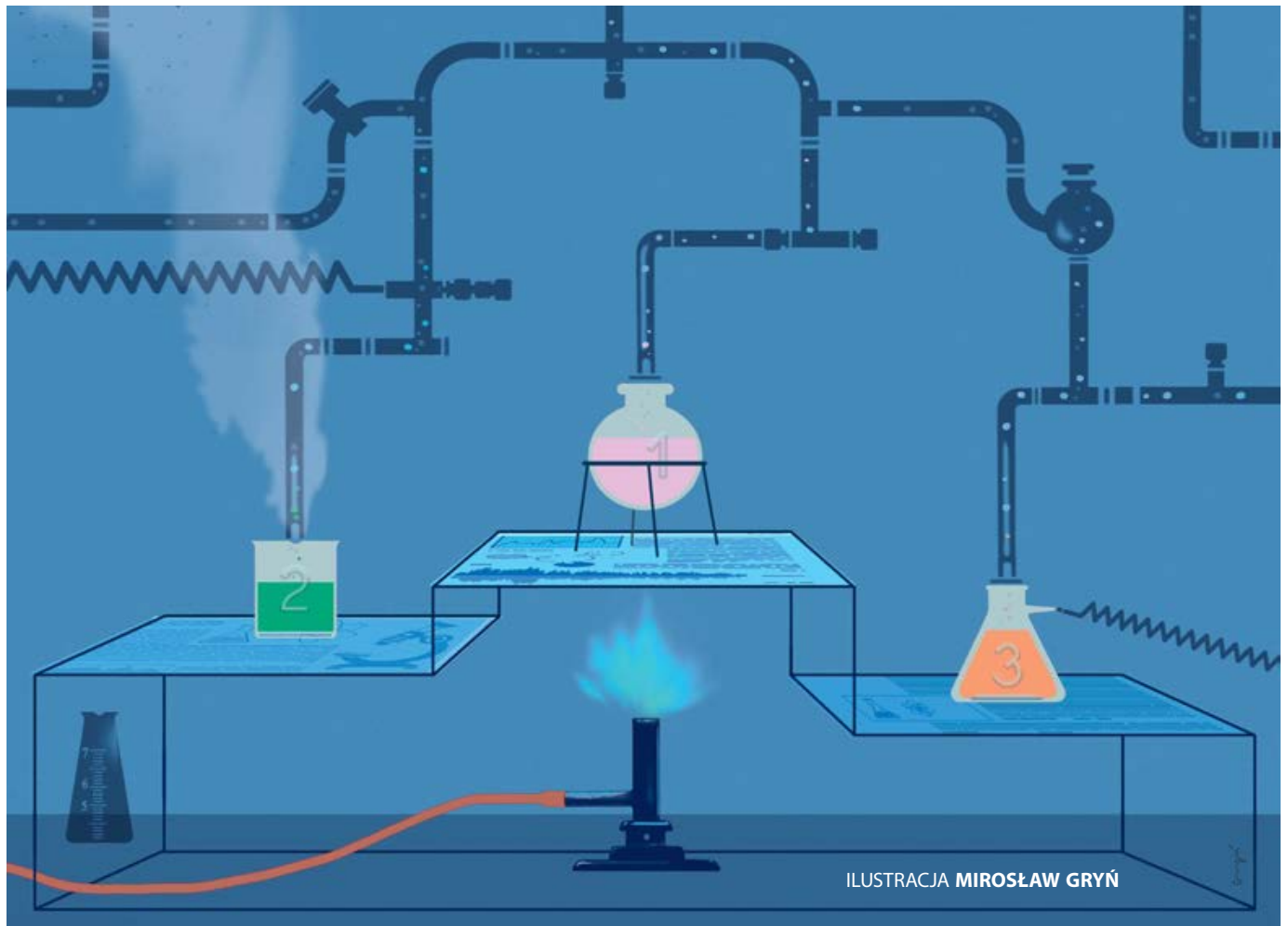
Można to jednak usprawiedliwić. Zakres poruszanej tematyki jest tak ogromny, że wręcz zmusza do chodzenia na skrót, upraszczania, wypełniania luk domysłami i interpretacjami czy nawet popełniania błędów. Właściwie jedynymi kwestiami, których autorzy „Życia i śmierci” nie zgłębili, są ludzki altruizm i świadomość. To temat rzeka, dlatego na ostatniej stronie książki Arsuaga jakby sam trochę się usprawiedliwił: „Ale to, o ile jeszcze będziemy mogli ze sobą wytrzymać, zostawmy na następną książkę [...] Na temat świadomości, inteligencji i współpracy”. Ciekawe, czy panowie podejmą trud jej napisania.

J.J. Millás, J.L. Arsuaga, Życie i śmierć. Wielka księga pytań, tłum. Ewa Ratajczyk, wyd. Zak, Kraków 2023.

Drapieńców tworzy system

Nadmiar publikacji polskich autorów w „wydawnictwach drapieźnych” jest skutkiem, a nie przyczyną kryzysu polskiej nauki. Prezentujemy kolejny głos w dyskusji.

MACIEJ J. NOWAK



O „drapieźnych” czasopiśmie naukowych pisali już Wojciech Mikołuszko (POLITYKA 41) oraz Jacek Kubiak (POLITYKA 45). Podzielili się bardzo ciekawymi refleksjami na temat wad i zalet określonych strategii publikacyjnych. Jednakże w szerszej dyskusji o barierach polskiej nauki istotne wydaje się podjęcie tematu również

z odmiennej perspektywy. W jaki sposób współcześni naukowcy powinni podchodzić do nauki i jak powinni formułować naukowe priorytety? Odpowiedź na te pytania wcale nie jest oczywista. Podobnie jak wskazanie barier, które mogą blokować naukowcom realizację stojących przed nimi zadań. Dopiero w tym kontekście można osadzić dyskusję o sposobach i optymalnych miejscach publikowania.

Prof. Michał Heller w książce „Jak być uczonym” tłumaczył, że naukowcy powinni chcieć zajmować się pracą naukową z kilku powodów: dla przyjemności, w celu służenia ludzkiej kulturze oraz w celu dążenia do prawdy. Ten ostatni dodatkowo powinien być dla nich źródłem radości.

Precyzyjnie (choć zarazem trochę patetycznie) ujął to kiedyś Karl Jaspers:

„Człowieka intelektu cechuje istotny rys: nie uznaje życia duchowego za środek do jakiegoś obcego mu celu, środek do sukcesu w świecie. Raczej skłania się ku osiągnięciu w pełni określonej sytuacji życiowej, ku urzeczywistnieniu pewnej idei, zmierzając do wypełnienia wszystkich sfer życia właściwą im substancją, do uobecnienia sensu w działaniach intelektualnych jako takich”. To właśnie ta pasja skłaniała np. Rudolfa Weigla, biologa i wynalazcy szczepionki przeciw tyfusowi płamistemu, do spędzania dni i nocy w laboratorium a Michała Hellera – w bibliotece i przy biurku. Inne wyniki działalności naukowej, ważne (nawet ważniejsze) z perspektywy społecznej, czyli np. patenty, wdrożenia, innowacyjne rozwiązania technologiczne, medyczne, są ponadprogramowym efektem tej postawy.

Współcześnie w Polsce można zauważyć dwa czynniki poważnie utrudniające spełnienie kryteriów określonych przez profesora nauk filozoficznych (także filozofa i teologa).

Pierwszym jest kryzys kultury akademickiej, która stała się przedmiotem inwazji innych kultur, w tym zwłaszcza dwóch. Korporacyjnej, która wiąże się z intensywnym, czasem bezwzględnie rozliczaniem konkretnych wyników. I biurokratyczno-administracyjnej zakładającej szczegółowe dokumentowanie wszelkich przejawów działalności. Nie chodzi o całościowe negowanie wartości tych kultur. Trzeba jednak wskazać, że ewidentnie nie pasują one do kultury akademickiej, zwłaszcza do nauki.

Drugi czynnik wynika z działań podejmowanych w czasie ostatnich kilkunastu lat przez władze publiczne, które uznały, że praca naukowa musi być przez pracodawców rozliczana podobnie jak „produkty” w innych miejscach pracy. Zaskutkowało to fatalną decyzją: administracyjnym przypisaniem do poszczególnych czasopism naukowych określonej liczby punktów. Zadaniem naukowców stało się zdobywanie i rozliczanie z nich przed zwierzchnikami, którzy z kolei muszą zdawać raporty na szczeblach dyscyplin czy uczelni.

Zamiast na poszukiwaniu prawdy, udziale w poważnej dyskusji naukowej, polscy naukowcy zmuszani są zatem czasem koncentrować się bardziej na „zdobywaniu punktów” i „rozliczaniu slotów”. Nawet w codziennej wymianie zdań, rozmawiając o konkretnych publikacjach, często ustalamy „za ile są punkty”. Tak, tych samych beznadziejnych,

niemerytorycznie przyporządkowanych, wręcz przekłębnych punktów. Trochę to nam weszło w krwiobiegu.

Poza tym odniesienie takich samych kryteriów punktacji do różnych dziedzin i dyscyplin naukowych z zasady jest absurdem. Inaczej publikują chemicy (prowadzący uniwersalną w skali międzynarodowej dyskusję), a inaczej historycy (których badania często mogą dotyczyć różnorodnych aspektów dziejów danego kraju, co znacznie trudniej wprowadzić do szerszej dyskusji). Przykłady można mnożyć. Niniejsze zjawisko uzyskało miano „punktozy” i pomimo różnych reform z roku na rok się nasila. Pół biedy, gdyby punktacja była w miarę sprawiedliwa, próbowała oddawać realną wartość czasopism. Ale absolutnie tak nie jest.

Może rzeczywiście zbyt mało w naszym środowisku autorefleksji, stwierdzenia, że „król jest nagi”, i otwartego, jawnego ignorowania obowiązujących przepisów i wytycznych? Tak naprawdę bowiem aktywna praca naukowa pozwala zapomnieć o troskach związanych z rozliczeniem się przed pracodawcą: to powinno się zrealizować samo, niejako przy okazji. Natomiast obserwujemy dużo praktyk polegających na drobiazgowym wyliczaniu, ile który autor dostanie punktów z przyszłej publikacji, wyszukiwaniu takich czasopism, którym polskie władze przyporządkowały co najmniej 100 punktów, organizowaniu „spółdzielni” autorskich, umiarkowanie zainteresowanych tematem artykułu, ale marzących o zdobyciu określonych punktów.

I właśnie w tym kontekście pojawiają się problemy dotyczące czasopism wydawanych przez MDPI (Multidisciplinary Digital Publishing Institute), o których pisał Wojciech Mikołuszko nadużycia związane z dążeniem do zbyt pośpiesznego uzyskania konkretnej publikacji. Z jednej strony periodyki MDPI mogą być miejscem prezentowania wstępnych badań, ale z drugiej – do oderwanej od celów naukowych „produkcji punktów”. Ewidentnie „winowajcą” jest polski system, powiązany ze wskazaną inwazją kultury korporacyjnej. Nadmiar publikacji polskich autorów w pismach MDPI jest więc tylko skutkiem, a nie przyczyną kryzysu.

Wydawnictwo to nie należy i raczej nie będzie należeć do tych najbardziej prestiżowych. Niemniej jego „drapieżność” nie została w sposób niebudzący wątpliwości potwierdzona. Opinie na jego temat są zróżnicowane, również z perspektywy międzynarodowej. Osobiście nie jestem zwolennikiem potępienia w czambuł

i absolutnego wykluczania większości wydawanych przezeń periodyków. Publikowanie w nich może stanowić okazję do nauczenia się funkcjonowania w szerszym obiegu międzynarodowym lub np. do przedstawienia pierwszego głosu badawczego organizowanych międzynarodowych zespołów. W tym zakresie podzielałam opinię Jacka Kubiaka.

Jednocześnie muszę zastrzec, że praktyki czasopism MDPI nie zawsze bywają wzorowe. Zniechęcający jest typowo korporacyjny styl korespondencji redaktorów wydawnictwa nastawionych na „rozliczanie produktów”. Niemniej te słabości nie wykluczają możliwości pogłębionych recenzji zgłoszonych tam publikacji ani wysokiego poziomu części z nich. Trzeba jednak pamiętać, że MDPI nie powinno być jedynym miejscem publikowania, szczególnie prac najbardziej wartościowych.

Oczywiście dyskusję o słabości polskiego systemu nauki można rozwijać. Poza znikomą liczbą środków na badania trzeba zwrócić uwagę na słabą sytuację młodych. Równie poważnym problemem bywają wątpliwe praktyki (na pewno nieznacznej części kierowników jednostek, którzy oczekują automatycznego dopisywania ich nazwisk do publikacji przygotowywanych przez młodych naukowców, bez wnoszenia istotnego wkładu.

Ten artykuł zawiera więc tylko diagnozę problemu. Niemniej sugeruję, że jednym z pierwszych kroków poprawiających uwarunkowania nauki powinno być wycofanie ostatnich zmian punktacji czasopism. Byłby to pierwszy, wstępny sygnał, że w sferze polityki naukowej wraca jakość. „Korporacyjną” ocenę powinna zastąpić pogłębiona ocena ekspercka. Do czasu jej wprowadzenia najlepszym rozwiązaniem byłoby również całościowe obniżenie punktacji czasopism MDPI (zasadniczo poniżej 100 pkt). Odzwierciedlałoby to ich rzeczywistą rolę.

Mimo wyrażonych tu obaw mam nadzieję, że uda się przezwyciężyć aktualny kryzys. Środowiska naukowe zdołały uporać się ze znacznie gorszymi zagrożeniami: presją systemów totalitarnych, brakiem wolności słowa. Nieprzemysłane zarządzenie ministerialne i korporacyjna moda na rozliczanie nauki to drobny, możliwy do szybkiego rozwiązania problem.

Dr hab. Maciej J. Nowak jest kierownikiem Katedry Nieruchomości na Wydziale Ekonomicznym Zachodniopomorskiego Uniwersytetu Technologicznego w Szczecinie, członkiem Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN.

Rzecznik praw robotów

Czym jest przemoc wobec maszyn? Jak powinna być skodyfikowana? Tymi kwestiami zajmuje się dr Kamil Mamak, laureat Nagrody Naukowej POLITYKI 2023 w kategorii Nauki humanistyczne.

KATARZYNA CZARNECKA



Dr **Kamil Mamak**, jest prawnikiem i filozofem, asystentem w Katedrze Prawa Karnego Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego i pracownikiem Helsingin Yliopisto (Uniwersytet Helsiński). Zajmuje się etycznym i filozoficznym wymiarem technologii oraz tym, jak zorganizować prawo, aby jak najlepiej chronić ludzkie wartości.

Nie odczuwają bólu. Są efektami pomysłowości i umiejętności człowieka. Nie przysługują im więc prawa, jakimi cieszą się ludzie. A jednak odpowiedź na pytanie: „Czy można kopnąć robota?”, które zadaje dr Kamil Mamak, nie jest oczywista.

Paragraf 1. Symulacja

Intencjonalna dewastacja maszyny nie pociąga za sobą konsekwencji prawnych, jeśli sprawcą jest właściciel. Kodeks karny w art. 288 § 1 mówi bowiem wyraźnie, że karze podlega ten, kto „niszczy, uszkadza lub czyni niezdatną do użytku” rzecz cudzą. Wysokość wyroku zależy w tym przypadku od wartości przedmiotu. – *Przy czym im starszy obiekt, tym jest ona niższa* – mówi badacz. – *Gdy chodzi o kilkunastoletniego robota, wycena będzie na poziomie złomu.* Jednak w przypadku niektórych maszyn można mówić o wartościach emocjonalnych. Między człowiekiem a np. robotem opiekuńczym, który wspomaga w codziennej egzystencji, może zrodzić się więź niemal przyjacielska lub miłosna. Podobnie może być w przypadku sekslalek. Tym bardziej że to już maszyny humanoidalne. Wiele osób – starszych, samotnych, z niepełnosprawnościami – nie widzi lub nie ma innego sposobu na zaspokajanie zwyczajnych potrzeb seksualnych. To nie budzi specjalnych zastrzeżeń.

Zdarza się jednak – i to jest ciemna strona tego medalu – że sekslalki są wykorzystywane do symulacji gwałtu. Polskie prawo nie penalizuje tego typu zachowań, bo one nie mają statusu osoby. – *Huraoptymiści wskazują na to, że lepiej, aby osoba o takich skłonnościach realizowała je właśnie na nich* – mówi dr Mamak. – *Ja się obawiam, że taka ekspozycja na sposobność gwałtu sprawiłaby, że raczej zechce spróbować tego na osobie.* A często satysfakcję i pożądane poczucie władzy nad innym człowiekiem daje napastnikowi właśnie opór napadniętej. A nawet wyjątkowo zaawansowane technologicznie lalki nie są do niego zdolne. Kłopot w tym, że nie ma sposobu na to, by naukowo taką ewentualną korelację sprawdzić. Eksperymenty są w tym wypadku z oczywistych względów nie do przeprowadzenia. – *A nawet jeśli można by je przeprowadzić, to wyniki mogą być tak niejednoznaczne, jak w przypadku badań nad tym, czy gry komputerowe wzmagają, czy redukcją poziom przemocy.*

Przykładów jest więcej. I będzie ich przybywać. Chociażby dlatego, że coraz więcej robotów będzie wyglądać jak istoty żywe.

Paragraf 2. Niejasność

Dr Mamak jest zdania, że w niektórych kontekstach funkcjonowanie maszyn o ludzkim wyglądzie może być problematyczne lub niebezpieczne. – *W zasadzie powinniśmy przecież traktować roboty jako przedmioty. Byłoby to na poziomie etycznym o wiele prostsze. Widzenie w nich czegoś w rodzaju człowieka, nabieranie ich w ludzkie szaty zaburza nasze widzenie. I sprawia, że będziemy się mierzyć (o ile już tego nie robimy) z problemami etycznymi i negatywnymi tego skutkami* – mówi. Roboty militarne mogłyby budzić problem dla żołnierzy. – *Trudno im – i jest to psychologicznie całkowicie uzasadnione – nie traktować takich maszyn jak towarzyszy broni, których w sytuacji zagrożenia się nie zostawia. I zmarnować sekundy cenne dla ratowania własnego, prawdziwego życia.* Łudzące podobieństwo humanoidalnych gadżetów seksualnych do osób, może w zaburzonym umyśle całkowicie zatrzeć różnicę między nimi. – *A od tego – jak zdarza się twierdzić badaczom – już tylko krok do uprzedmiotowienia każdej kobiety.*

Postulat zakazu wytwarzania maszyn na podobieństwo człowieka jest trudny do wyegzekwowania. Właściwie niemożliwy – biorąc pod uwagę ekonomicznie uzasadnioną chęć producentów zaspokojenia oczekiwań klientów. Badacz doskonale zdaje sobie z tego sprawę. – *Powinno się przynajmniej opracować jakieś proste wizualne sposoby na odróżnianie jednych od drugich* – stwierdza. Skupia się jednak na rozwiązaniach, które nieuchronnie współistnienie ludzi i maszyn mogłyby uregulować. Spotyka się co prawda z opiniami, że na razie nie ma co się takimi kwestiami przejmować. – *Możliwe też, że nigdy nie dojdziemy do etapu, kiedy maszyny zostaną wyposażone choćby w namiastkę emocji czy zdolności, jakie są udziałem człowieka* – mówi. – *Stają się one jednak elementem naszego życia społecznego. Musimy jakoś zdefiniować nasze relacje także z tymi bytami.*

Mówi np. o obligatoryjnym wyposażaniu lalek miłosnych w oprogramowanie, dzięki któremu czasami odmawiałyby seksu. Podobieństwo do kobiety byłoby być może jeszcze wyraźniejsze, ale też poczucie kontaktu z bytem decydującym o sobie większe. W książce „Robotics, AI and Criminal Law: Crimes Against Robots” (Routledge 2023) proponuje zaś ostrzeżenie agresji wobec maszyn jak atak

na wartości pozafinansowe, które istotne są dla konkretnych ludzi. Prawo na razie brania pod uwagę także tego aspektu nie przewiduje. – *Nie postuluję bynajmniej, żeby roboty traktować jak ludzi* – zastrzega.

Paragraf 3. Kara

Dr Mamak nie uważa jednak, by wprowadzenie kar pozbawienia wolności za uszkodzenie lub „zabicie” maszyny przyniosło pozytywny skutek. Praktykował w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich i Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka, wiele lat pracował w Studenckiej Poradni Prawnej Uniwersytetu Jagiellońskiego – miał dzięki temu kontakt m.in. z osadzonymi. – *Dzięki temu wiem, że wizja więzienia w zasadzie w ogóle nie ma efektu odstraszającego.* Jest raczej za symbolicznymi sankcjami. Nie zamierza ich określać – to nie jego rola – ale przychodzi mu na myśl coś w rodzaju „cyfrowego wygnania”, czyli czasowego zakazu używania internetu dla hejterów. I oczywiście edukacja.

Optuje za to – temu poświęci kolejny grant – żeby przed sądem stawał robot, jeśli zrobi coś, co krzywdzi człowieka. – *Robot rzecz jasna nie odczuwa bólu, a to warunek konieczny, żeby kara miała jakikolwiek sens* – tłumaczy. – *Myślę o tym raczej jak o swoistym teatrze. Żeby ludzie mieli poczucie, że jest jakaś odpowiedź aparatu państwa na zło. Żeby zobaczyli – dzięki symbolicznym działaniom sądowym – że właśnie dzieje się sprawiedliwość.*

Z drugiej strony dr Mamak byłby skłonny uznać, że maszyny byłyby pomocne w pracy sędziów lub prokuratorów. – *Ich obiektywizm być może pozwoliłby uniknąć sytuacji, kiedy prawnicy znajdują się pod presją mediów czy – co zdarza się znacznie częściej – polityków.* Z tą drugą rzeczywistością sam się zresztą zetknął. – *Wydawało mi się, że pewne są zasady, które nigdy nie mogą być złamane i podeptane* – opowiada. – *I nagle się okazało, że to nieprawda. Czuję się sfrustrowany, więc zdecydowałem się na ucieczkę. Nie bałem się jakichś szykan, miałem po prostu większą satysfakcję z tego, że się mogę zająć „problemami przyszłości”.*

Paragraf 4. Moralność

Teraz więc odpowiada na pytanie: Czy można kopnąć robota? – *Powiedziałbym, że w przestrzeni prywatnej tak.* Można to odczytać jako brak sprzeciwu wobec przemocy domowej? – *Te dwie sytuacje do siebie*

mimo wszystko nie przystają – mówi badacz. I tłumaczy, że, po pierwsze, robot nie czuje, więc trudno byłoby oskarżać kogoś o znęcanie się nad nim. Po drugie, próba ingerencji w takie zachowania byłaby naruszeniem czyjejś prywatności. – *Choć wyżywianie się na przedmiotach nie świadczy najlepiej o osobie, która to robi. Pokazuje jakąś ułomność jej charakteru.* Bardziej odpowiednią analogią jest według Mamaka nagość: w domu możemy chodzić bez ubrania, na ulicy się tak nie pokażemy. – *A jeszcze lepiej porównać tę sytuację do postępowania ze śmiećmi. Rzucanie papierków od cukierków pod własną karną przeszkodzi tylko nam. Śmiecenie na ulicy powoduje wielorakie konsekwencje. Niektórzy obserwatorzy uznają, że tak można, i będą postępowali tak samo. U innych spowoduje dyskomfort z powodu naruszania pewnych norm społecznych.*

Najważniejsze jednak jest to, że agresywne zachowania w przestrzeni publicznej, za które sprawcy nie grozi żadna kara, jest drugocenne dla społeczności. – *Że traktowanie robota powoduje, że wartości, jakim hołduje, będą zagrożone.*

I nie chodzi tu wyłącznie o brak poczucia bezpieczeństwa wynikający z niepewności, czy przyzwolenie na przemoc wobec robota nie przełoży się na zgodę na agresję wobec ludzi. W Japonii są roboty wykorzystywane jako mistrzowie ceremonii pogrzebowych. W miasteczku Tating w Niemczech sztuczna inteligencja (co prawda z ekranu, ale o wyglądzie człowieka) została umieszczona na ołtarzu i rozmawia z wiernymi. – *Atak na tego rodzaju maszynę byłby – także w polskim kontekście – odczytywany jako naruszenie wolności religijnej, choć można stawiać pytanie, czy jej ochrona powinna się znajdować w Kodeksie karnym, czy nie.* Przemalowane na niebiesko przypominające psy roboty firmy Boston Dynamics „pracują” dla nowojorskiej policji. Były dosłownie kopane, co zresztą zaowocowało zawiadomieniem organizacji broniącej praw zwierząt. – *Co ważniejsze jednak, agresja wobec nich była niczym cios wymierzony w funkcjonariusza, czyli w przedstawiciela służby państwa.*

Robot oczywiście nie może się cieszyć prawami takimi, jakie przynależą ludziom – podsumowuje badacz. Prawa robotów są jednak w jego oczach w pewien sposób prawami człowieka. Zabieganie o właściwy stosunek do nich jest bowiem sposobem na dbałość o moralność istoty ludzkiej. ■

Wspólnie dawać i wydawać

Nie odbudujemy wspólnoty obywatelskiej, obciążając
jednych obywateli kosztami transferów dla innych.

JANUSZ A. MAJCHEREK

Poziom bogactwa i rozwoju społeczeństwa mierzy się nie tylko wielkością indywidualnych zasobów i dochodów, lecz także dostępnością usług i dóbr publicznych, a więc konsumpcją zbiorową. Nawet najbogatsi będą mieć lichy życie w kraju zacofanej infrastruktury, smętnej przestrzeni wspólnej.

Perfidni stratedzy PiS odkryli, że korzystanie ze wspólnych dóbr nie cieszy jednak tak, jak powiększanie indywidualnych dochodów. Okazjonalny przejazd autostradą zbudowaną za miliardy złotych, spacer od czasu do czasu po pięknie utrzymanym parku czy podróż nowoczesnym pociągiem nie dają takiej frajdy, jak 500, 800 czy tym bardziej 1500 zł wkładane regularnie

do własnej kieszeni. Dlatego budowniczości autostrad, mostów, ścieżek rowerowych i oczyszczalni ścieków przegrali w 2015 r. z dobrodziejami obiecującymi, a potem rozdającymi 500+ i trzy-naste emerytury. Co więcej, ci drudzy byli za to chwaleni jako spełniający obietnice, a ci pierwsi potępiani jako sknery niedostrzegające potrzeb obywateli.

Mniej krytycznej uwagi poświęcano załamaniu po 2015 r. inwestycji, będących podstawą rozwoju. A tymczasem podsycanie konsumpcji indywidualnej odbywało się nie tylko kosztem zbiorowej, lecz także inwestycji, w tym publicznych.

W 2022 r. na transfery socjalne wydano ponad pół biliona złotych (dokładnie 526 mld), gdy stopa inwestycji spadła do najniższego poziomu od prawie 30 lat. To się potocznie nazywa przejadaniem przyszłości. Wspólnej przyszłości.



Preferencje dla konsumpcji indywidualnej kosztem zbiorowej, czyli egoizm i prywata, są w Polsce rozpanoszone od dawna.

Lewicowi krytycy transformacji postkomunistycznej twierdzą, że to skutek jej liberalnej formuły, zachęcającej do indywidualnego bogacenia się, bez oglądania się na innych i otoczenie. To nieprawda. O prywacie sarmackiej szlachty w dawnej Rzeczypospolitej, obojętnej na dobro wspólne, spisano tysiące stron. Ale w okresie PRL, gdy oficjalnie zachwalano i forsowano kolektywizm, znany wówczas kabareciarz Kazimierz Grześkowiak zdobył popularność satyryczną piosenką o mentalności chłopskiej, z fragmentem „Uradziła gminna rada/ Wodociągi pozakładac/ Zaro mowa jest o wkładach/ Chcą z człowieka zrobić dziada/ Myśleć wiecie trza na opak/ Dren mo iść przez mój ogródek/ Nie postanie obca stopa/ Na tym com se zdobył z trudem” i frazą „Na co mi publiczne zdroje/ bo nieważne czyje co je/ Ważne to je, co je moje”.

Być może szlachecka prywata spłotła się z chłopską pazernością i postawą „moja chata z kraja”, w każdym razie egoistyczna mentalność w polskim społeczeństwie okazała się trwałą. PiS to wykorzystał, dokonując transferów do prywatnych kieszeni rozmaitych wyselekcjonowanych beneficjentów, aby pozyskać ich polityczne poparcie.

Nie miał jednak przecież własnych pieniędzy (poza zachachmęconymi przez swoich funkcjonariuszy), lecz wykorzystywał pobierane od innych, w tym z zasobów wspólnych (Fundusz Solidarnościowy, Fundusz Sprawiedliwości, Fundusz Rezerwy Demograficznej itd.). To było działanie zgodne z osławioną formułą „kradną, ale się dzielą”. Jak wiele lat temu zauważył prof. Radosław Markowski, podział społeczeństwa polskiego, manifestujący się w wymiarze politycznym, to podział na tych, którzy PKB tworzą, i tych, którzy z niego czerpią. Skład socjalny elektoratów to potwierdza.

Niektórzy lewicowi komentatorzy twierdzą, że na takich transferach z jednych indywidualnych kont do innych polega spójność społeczna, i za to chwalili pisowskie rządy. To też nieprawda.

Polaryzacja społeczeństwa za czasów PiS przybrała rozmiary koszarne. To nic dziwnego: zabieranie jednym, aby dać innym, nie tworzy między nimi więzi, jaką może wzmacniać wspólne korzystanie z zasobów i dóbr, czyli konsumpcja zbiorowa, poprzedzona inwestycjami w te zasoby i dobra ze środków publicznych, zatem zbiorowym wysiłkiem.

Europejska Fundacja na rzecz Poprawy Warunków Życia i Pracy Eurofound, wraz z Fundacją Bertelsmanna, opracowały trójelementowy model spójności społecznej, obejmujący:

1. relacje społeczne, a w ich ramach zaufanie do ludzi i akceptację ich różnicowania;
2. więź opartą na poczuciu tożsamości, zaufaniu do instytucji i ich uczciwości;
3. zorientowanie na dobro wspólne – solidarność i gotowość do pomocy, szacunek dla społecznych reguł.

Transfery socjalne, a zwłaszcza finansowe, nie są w tym modelu spójności społecznej uwzględnione.

UE prowadzi aktywną i wszechstronną politykę spójności, która jednak nie polega na transferowaniu pieniędzy do prywatnych osób, lecz na wspieraniu inwestycji publicznych. Przecięż środki z Krajowego Planu Odbudowy nie będą mogły być przeznaczone na wsparcie indywidualnych obywateli, lecz ich wspólnot, zwłaszcza lokalnych.

Niestety, wiele sformułowanych obecnie przez różne środowiska postulatów i zapowiedzi może podziały społeczne pogłębić. Zmierzają one bowiem

do uwalniania kolejnych grup społecznych od świadczeń na rzecz tworzenia wspólnych zasobów i dóbr. W szczególności takie są i będą skutki wszelkich zwolnień z podatków, składek i innych obciążeń na cele publiczne. Pogłębią one podział na płatników do wspólnej kasy i beneficjentów czerpiących z niej indywidualne korzyści. Z punktu widzenia spójności społecznej i umacniania wspólnoty obywatelskiej korzystne jest opodatkowanie powszechne, choć zróżnicowane w zależności od wielkości prywatnych zasobów i dochodów. Jeśli każdy płaci choćby niewielki podatek osobisty, wszyscy są równoprawnymi obywatelami, mogącymi się czuć odpowiedzialnymi za dobro wspólne. Jeśli tylko niektórzy wpłacają, aby władze publiczne miały co rozdawać, podziały społeczne pogłębiają się.

Znaczna część transferów socjalnych dokonuje się z pieniędzy pożyczonych, kosztem narastającego długu publicznego.

Wspólnota jest obciążana długiem służącym zasilaniu indywidualnych kont niektórych jej uczestników. Nie cała wspólnota będzie wszakże owe długi spłacać, lecz jedynie jej aktywna ekonomicznie, produktywna część. A tej, w dłuższej perspektywie, wyznaczonej terminarzem spłat zadłużenia, będzie stale ubywać. Osoby w wieku produkcyjnym staną się mniejszością w społeczeństwie zdominowanym przez rosnącą rzeszę emerytów, rencistów i innych świadczeniobiorców. To nie umocni wspólnoty.

Na zlecenie Komisji Europejskiej były szef Europejskiego Banku Centralnego i włoskiego rządu Mario Draghi opracował raport o największych wyzwaniach dla europejskiej gospodarki. Na pierwszym miejscu znalazła się konieczność stłumienia popytu, aby zmniejszyć presję inflacyjną, która wymusza podwyższanie stóp procentowych, co hamuje wzrost gospodarczy i zwiększa koszty zaciągania długów. Czyli, zdaniem jednego z najważniejszych europejskich autorytetów ekonomicznych, nie ma miejsca na pobudzenie indywidualnego popytu i konsumpcji poprzez kolejne transfery.

Polska w przyszłym roku może zostać objęta restrykcjami wynikającymi z nadmiernego zadłużenia. Odchodzący rząd w tzw. notyfikacji fiskalnej przyznał się do deficytu budżetowego w wysokości 192 mld zł, czyli 5,6 proc. PKB, co stanowi drugi najgorszy wynik w UE. Ekspertcy wyliczają, że realizacja nowych wydatków socjalnych podniosłaby ten wskaźnik do 6 proc. lub nawet powyżej, jednocześnie pobudzając inflację.

Lewica – zwłaszcza Razemowa – domaga się większego obciążenia jednych obywateli, tych najbogatszych, aby pozyskać pieniądze na wsparcie innych, tych biedniejszych. Ale eksperci przestrzegają, że podnoszenie podatków nie obciąża najbogatszych, bo ci mają mnóstwo sposobów na ich unikanie, lecz dotyka aspirującą klasę średnią, bez aktywności i zaangażowania której rozwój jest niemożliwy.

Już obecnie narasta w społeczeństwie świadomość negatywnych konsekwencji takich procesów i pomysłów oraz dezaprobatą dla powiększania zakresu świadczeń i transferów. Ugrupowanie polityczne, którego jeden z liderów obwieścił „koniec rozdawnictwa”, osiągnęło zaskakujący sukces wyborczy (Polska 2050).

Może więc jest nadzieja, że polityka polska przestanie opierać się na transferach od jednych indywidualnych obywateli do innych, antagonizując ich przeciw sobie, lecz położy nacisk na konsumpcję zbiorową oraz inwestycje w publiczne usługi i dobra wspólne. Na wspólnotowość niwelującą głębokie – i pogłębione przez rządy PiS – podziały pękniętego społeczeństwa. ■



Janusz A. Majcherek

jest profesorem filozofii i doktorem socjologii, pracuje w Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej.



Jan z Gandawy, pierwszy książę Lancaster, ucztuje z królem Portugalii, ilustracja z XIV w.

Piernik w kiełbasie

Dlaczego w średniowieczu wszystko zasypywano przyprawami, w poście można było jeść cukier i dlaczego królowa Bona nie przywiozła na Wawel włoszczyzny – opowiada prof. Jarosław Dumanowski.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA: – **W wydanej właśnie „Sztuce kulinarnej w średniowieczu” Odile Redon, Françoise Sabban i Silvano Serventi przekonują, że dworskie potrawy nie przypominały antycznych. Po upadku Imperium Romanum państwowotwórcze tendencje przesunęły się na północ, a tam trudniej było o składniki kuchni śródziemnomorskiej. W 150 przepisach z wieków XIV i XV z Francji i Włoch, które zebrali, dominuje nie oliwa czy masło, lecz słonina.**

JAROSŁAW DUMANOWSKI: – Może akurat w tych zebranych przez nich, ale w basenie Morza Śródziemnego używano oliwy, a na północy masła, tylko że było go jak na lekarstwo, bo małe krowy średniowieczne nie dawały dużo mleka, no i nabiał był zakazany w poście. Ale rzeczywiście w średniowieczu doszło

do kulinarnego sporu między północą i południem za sprawą chrześcijaństwa, które narzuciło południowe normy żywieniowe. Nagle jedzący mięso i żytni chleb oraz pijący piwo ludzie północy dowiedzieli się, że produkty z południa są lepsze i świętsze, tylko biały przaśny chleb zamienia się w ciało Chrystusa, wino w jego krew, a oliwa czyni cuda. Badacz kuchni średniowiecznej Massimo Montanari zauważa, że teksty ukazują Karola Wielkiego jako pełnego cnót chrześcijanina, który „w jedzeniu był skromny, a w piciu jeszcze bardziej”, tymczasem jako okrutny wódz Franków musiał lubić jeść mięso i pić piwo. Te dwa inne światy – kultury i natury – starano się jakoś łączyć.

Już w starożytności barbarzyńcy aspirowali do antycznej kultury i sprowadzali wina, ale po pojawieniu się

chrześcijaństwa wyższość produktów z południa uzyskała uzasadnienie religijne. Głównie przez system postnyh zakazów.

Dla mieszkańców północy był on zupełnie nielogiczny, bo w poście musieli się umartwiać, jedząc rzeczy znacznie droższe, jak ryby i sprowadzaną z południa (zazwyczaj fatalnej jakości) oliwę. O tym, jak ważny był ten żywieniowy spór, świadczy sprawa z 1522 r. z Zurychu – szwajcarski reformator Ulrich Zwingli stanął w obronie drukarza Christopha Froschauer, aresztowanego za to, że w Wielki Post nakarmił pracowników kielbasą, twierdząc, że w Biblii nie ma nic o poście jakościowym, wykluczającym mięso, tylko ilościowym. Luter i Kalwin twierdzili, że post nie pomaga w zbawieniu, a obowiązek nabywania drogich produktów z południa, umożliwiających dyspensę, traktowali jak kupowanie odpustów. Choć reformacja jest ruchem z północy nie tylko z powodu jedzenia, było ono bardzo ważne.

Historicy XIX w. twierdzili, że w średniowieczu jadano wstrętne papki, a mięso zasypywano przyprawami, by „maskować” jego nieświeżość. Mieli rację?

W latach 80. XX w., gdy zaczęły się systematyczne badania nad dziejami jedzenia, naukowcy zdali sobie sprawę, że wiele z arbitralnych stwierdzeń XIX-wiecznych badaczy, którzy na kuchni się nie znali i się nią nie interesowali, to bajki. Z tym mięsem to kompletna bzdura, bo ktoś, kogo było stać na zamorskie przyprawy, miał dostęp do świeżego mięsa. Owszem, używanie wielu przypraw jest cechą kuchni średniowiecznej, ale ich celem było nadanie potrawom wyższego statusu – dzięki nim stawały się wyrafinowane, kojarzyły się ze Wschodem, czyli z rajem, a także wpisywały w wywodzącą się z antyku dietetykę humoralną. Elity nie tylko jadły więcej, one za sprawą pieprzu, cynamonu, imbiru, goździków czy szafranu mogły sobie pozwolić na przełamywanie lokalności potraw.

A co z tymi papkami, dlaczego w średniowieczu wszystko rozdrabniano?

Krytykowanie papek, pasztetów i potrawek to kolejne nieporozumienie, bo w średniowiecznej sztuce kulinarnej najważniejsze było przetworzenie składników tak, by w potrawie nie można ich było rozpoznać, zgodne zresztą z zasadą, że każda sztuka (łac. *artes*) musiała być „sztucznie” zrobiona przez człowieka, nie przez dziką naturę. Kucharz, gotując i dodając przyprawy, zmieniał smak, kolor i konsystencję produktów. Przetarte w moździerzach papki, pasztety czy galarety uchodziły za zdrowe, ponieważ łączyły składniki równoważące humory. Wierzano, że mający skłonności do agresji choleryk nie powinien jeść rzeczy „gorących”, jak mięso czy ostre przyprawy, tylko postawić na ryby, warzywa korzeniowe i owady, bo będą stłumić jego temperament, odwodząc od grzechu. Poza tym potrawy miały łączyć smaki kwaśny, słony, ostry i słodki, a dobrze rozarte można było pięknie zaaranżować.

Po przystawkach, zupach i pieczywym, zanim na stół trafiały desery, wnoszono entremets, czyli rodzaj cieszących nie tylko podniebienie, ale i oko przekąsek,

jak pasztet z żywymi ptakami, który – jak wynika z zachowanych przepisów – był kłatką z ciasta.

Estetyka potraw była bardzo ważna. W paryskim muzeum Conciergerie na tegorocznej wystawie „*Paris, capitale de la gastronomie, du Moyen Âge à nos jours*” prezentację ucztę, jaką król Francji Karol V wydał w 1378 r. dla cesarza Karola IV. Można było zobaczyć nie tylko menu i przepisy kucharza Guillaume’a a Tirela – zwanego ze względu na kunszt kulinarny Taillevent (krojącym wiatr) – ale też rachunki za produkty.

Według starych przekonania ogromny wpływ na kuchnię średniowieczną mieli Arabowie, jednak autorzy książki twierdzą, że przyprawy to jeszcze nie wszystko. A pan?

Podobnie jak autorzy książki i Bruno Laurioux z Europejskiego Instytutu Historii i Kultur Jedzenia uważam, że o takich wpływach można byłoby mówić, gdybyśmy wiedzieli o jakichś arabskich kucharzach, przepisach czy potrawach, a tych brakuje. Ale z drugiej strony od podbicia Bliskiego Wschodu przez Aleksandra Wielkiego Europa zakochała się w Oriencie i jej elity na wzór wschodni chciały się odróżnić od reszty społeczeństwa, również poprzez jedzenie. Ponieważ jednak nie mogły sprowadzić potraw z daleka, importowano przyprawy.

Za jedną z nich uważano cukier trzcinowy, a przepisy na karmel, chałwę czy nugat są w arabskiej książce kucharskiej z Bagdadu z 1226 r. Czy to nie dowód ich wpływów?

Cukiernictwo na pewno było pod wpływem Orientu, ale sam cukier to fantastyczny przykład paradoksu średniowiecznej kuchni. Ponieważ starożytni go nie znali, nie wszedł do pojęć chrześcijańskiej etyki żywieniowej, więc gdy pojawił się w średniowieczu, zadawano sobie pytanie, czy jest postny. Spór rozstrzygnął Tomasz z Akwinu, który pozwolił go jeść, wychodząc z założenia, że to arcydrogie lekarstwo dodawane jest jedynie w aptekarskich ilościach. Jednak w wydanej w 1470 r. pierwszej drukowanej książce kucharskiej Bartolomeo Sacchiego (Platiny) pojawiła się informacja, że cukier pomaga każdej potrawie. Brało się to stąd, że w dietetyce humoralnej uchodził on za neutralny i łagodzący skrajne smaki. W ten sposób stał się ważnym elementem diety, sposobem na prezentację bogactwa i omijanie postu.

W poście zakazywano jeść mięso i nabiał, ale te smutne dni elicie skutecznie osładzał cukier, urozmaicały ostrygi, tłuste węgorze, jesiotry i inne frykasy, jak słynne bobrze ogony.

Łagodzenie postu było głównym zadaniem każdego kucharza wielkiego pana i wymagało nie lada kunsztu i pieniędzy. Weźmy pochodzący z XV w. z królewskiej książki kucharskiej, zwanej krzyżacką, przepis na postną kielbasę z fig, pierników, przypraw i cukru. Kucharz musiał składniki te utrzeć i połączyć

w masę, uformować z niej wałki i obtoczyć w cieście naleśnikowym z winem. Ta niezwykle droga kielbasa nie tylko wyglądała, ale i smakowała jak te z mięsa, bo je też bogato zaprawiano cukrem i korzennymi przyprawami. Innym niezbędnym składnikiem diety postnej były migdały, dlatego w katalońskiej książce kucharskiej z XIV w. „*Libre de Sent Sovi*” z trzech rozdziałów jeden poświęcony jest tylko potrawom z migdałów, z których robiono mleko, masło i sery. W Polsce, gdzie były ►



Talerz włoski z XV w.
Kielich z XIV w.

► drogie, zastępowano je innymi składnikami, np. białym makiem lub konopiami.

Tymi wszystkimi frykasami chyba rzadko mogli się raczyć biedacy?

Prawie nigdy, oni jadali lokalnie i tanio, ale chociaż wiemy, jakie produkty były w ich zasięgu, mamy małe pojęcie o ich przyrządzeniu. Mimo to próbujemy rekonstruować chłopskie dania, bo – jak pisze Massimo Montanari w „Manger au Moyen Âge: Pratiques et discours alimentaires en Europe au XIVe et XVe siècles” – kuchnia to system, który jest częścią wspólnej kultury biednych i bogatych, tylko wyrażany przez tych pierwszych innymi, skromniejszymi środkami. Poza tym w pewnych okresach wśród elit modne było jądanie po chłopsku różnych rzep, pasternaków czy selerów. Mimo wszystkich różnic wynikających z geografii średniowieczna kuchnia dworska, z jej przyprawami, zasadą fuzji wielu smaków, dietetyką humoralną, była wspólna w całej Europie tak samo jak kultura rycerska, chrześcijaństwo czy łacina.

Książka Redon, Sabbana i Serventiego u nas ukazuje się po 33 latach. Czy od tego czasu w badaniach nad gotycką kuchnią Francji i Włoch pojawiły się jakieś nowe ustalenia?

Bardzo dużo, bo ich książka powstała w początkach badań nad dziejami jedzenia. Teraz mamy skatalogowane wszystkie znane średniowieczne teksty kulinarne, pojawiło się mnóstwo publikacji o kulturowym znaczeniu kuchni i rozprawiono się z różnymi mitami.

Jakimi?

Chociażby z tym, który wymyśliła jako hasło reklamowe w XIX w. amerykańska firma produkująca makarony o Marco Polo sprowadzającym spaghetti do Włoch z Chin, choć makaron znany był w Italii już w starożytności. Antonella Campanini w „Food Cultures in Medieval Europe” nie zostawia suchej nitki na micie, według którego to królowa Bona sprowadziła do Polski warzywa korzeniowe zwane dziś potocznie włoszczyzną, bo nad Wisłą były już one znane albo rosły dziko. Tak samo nie mogła przywieźć pomidorów, bo za jej życia nie były jeszcze jądane we Włoszech.

Co w takim razie z widelcem? Czy wynaleźli go Włosi w XIV w. do jedzenia makaronu?

W średniowieczu do zjedzenia obiadu trzeba było mieć nóż i łyżkę lub chleb, który nadawał się do nabierania gęstych gulaszowatych zup (fr. *potage*) i sosów zagęszczanych mięszem z chleba, z owocami lub grochem. Wokół widelca narosło mnóstwo mitów. Wśród nich jest ten o Polakach uczących posługiwanie się nim Francuzów. Jednak pomysł, że do Polski przywiozła widelec królowa Bona, a Henryk III zawiózł go do Francji, jest wyspany z palca, król zapewne przywiozł go do Francji z Wenecji, do której trafił, uciekając z Wawelu w 1574 r. W wydanej dwa lata wcześniej pierwszej książce kucharskiej, napisanej przez profesjonalnego kucharza Bartolomeo Scappiego, pojawiło się przedstawienie tego sztucza. Z drugiej strony w *Conciergerie* jest francuski widelec z XIV w., co dowodzi, że nie był on jednorazowym wynalazkiem, tylko takim, który się pojawiał i znikał. U nas rozpowszechnił się dopiero w XVIII w.

Co przyczyniło się do odejścia od kuchni średniowiecznej i narodzin we Francji tej nowożytnej, opartej na maśle, zasmażce, beszamelu i delikatnym demi-glace?



Prof. **Jarosław Dumanowski**, historyk z Instytutu Historii i Archiwistyki Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu, zajmuje się dziejami kultury jedzenia, ewolucji kuchni europejskiej i staropolskiej. Popularyzuje wiedzę o dawnej gastronomii, jest współtwórcą wielu programów kulinarnych.

Wbrew pozorom odkrycie Ameryk i związana z nim wymiana kolumbiańska nie miały na tę przemianę dużego wpływu, ponieważ w Europie przybyłe z Nowego Świata ziemniaki, kukurydzę, pomidory czy czekoladę zaczęto jeść dużo później niż w Chinach, Afryce i na Bliskim Wschodzie, co dowodzi, jak chrześcijaństwo zakonserwowało nasz system żywienia. Za przemianę kuchni średniowiecznej w nowożytną odpowiedzialne było odkrycie antyku w renesansie, reformacja i druk, który umożliwił umasowienie książek kulinarnych i ustandaryzowanie przepisów. Do pojawienia się w połowie XVII w. kuchni francuskiej opartej na łagodnym smaku masła, które nadaje potrawom odpowiednią konsystencję i kleistość, przyczyniła się też liberalizacja postu. Symboliczną cezurą jest wydanie w 1651 r. „Le Cuisinier François” (Kucharza francuskiego) mistrza François de La Varenne, który wprowadzał masło, zrywał z wpływami włoskimi, a przyprawy korzenne zamieniał na zioła po to, by zachować naturalny, jednolity i delikatny smak potraw. Jedzenie już nie miało być przeznaczone dla rycerza zabijaki, lecz dla wyrafinowanego dworzanina.

Dla panów w perukach, pludrach i pończochach, którzy zasiadali przy stołach z własnym nakryciem oraz serwetką i przestrzegali skomplikowanych zasad zachowania.

Tak jest, ta estetyzacja życia, którą Norbert Elias nazwał cywilizacją obyczajów, przejawiała się skomplikowanymi zasadami *savoir vivre*'u. Należały do nich sztuka zachowania się przy stole, umiejętność odpowiedniego poruszania się i konwersacji. Tylko ktoś obyty wiedział, że kucharz wkładał mnóstwo pracy, by jedzenie smakowało wykwintnie, że filiżaneczka sosu na bazie demi-glace podana w trakcie uczyt zrobiona była z różnych mięs, warzyw i delikatnych ziół, które gotowano przez wiele dni. Jednak to nie była wcale kuchnia lekka ze względu na wszechobecne masło i mięsiwa. Dlatego, jak pisał prekursor badania historii smaku i praktyk żywieniowych Jean Louise Flandrin, nie przez przypadek w XVII w. zaczęły królować rubensowskie kształty.

Czy możemy odtworzyć te średniowieczne smaki, skoro zachowane przepisy nie zdradzają tajników, nie podają wagi składników czy czasu gotowania?

Taillevent i inni kucharze gotyccy nie znali uniwersalnych miar, które przecież pojawiły się po rewolucji francuskiej. Średniowieczna kuchnia nie była ustandaryzowana, doszło do niej dopiero wraz z przemysłem, który zaczął dostarczać masowo i w ten sam sposób produkowanych składników, oraz dzięki mediom, które sprawiły, że stworzono klasyczne wersje potraw. Dlatego jeszcze wiele naszych babć nie potrafiło podać przepisu na swoje mistrzowskie danie, bo brały wszystkiego „ile trzeba”, robiły „tak, by było dobrze” i gotowały „tak długo, aż było gotowe”. Mimo to sądzę, że można próbować gotować po gotycku, i to się robi. Również i u nas.

Próbował pan jakichś średniowiecznych potraw?

Jadłem autorską wersję Karola Okrasy gotyckiego czarnego kurczaka w sosie piernikowym i zielonej kury w pesto z natki pietruszki. Wiele krzyżackich potraw robił Bogdan Gałązka na zamku w Malborku. Teraz, z okazji Roku Kopernikańskiego, w niektórych restauracjach toruńskich serwowane są potrawy z czasów astronoma, który był też lekarzem i wyznawcą teorii humoralnej, stanowiącej ważną część dietetyki. Nie są to dania czysto gotyckie, ale proszę mi wierzyć, że dobrzy kucharze mają wyczucie i potrafią rekonstruować dawne smaki. Gdy opracowywałem tekst pierwszej polskiej książki kucharskiej z XVII w., miałem kłopoty z jej zrozumieniem, ale dla kucharzy była ona prosta, im się wszystko kojarzyło i łączyło. Średniowieczna kuchnia w ich wydaniu jest bardzo smaczna.

ROZMAWIAŁA AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Calej rozmowy z prof. Jarosławem Dumanowskim można wysłuchać w podkaście „Polityka o historii”.

Niemcy prześnione

Harald Jähner, **Rausz. Niemcy między wojnami**, przeł. Monika Kilis, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023, s. 551

Republika Weimarska (1918–33) zdecydowanie zbyt często jawi się jako pozbawiony znaczenia przerywnik między cesarskimi Niemcami a III Rzeszą. W swojej najnowszej książce Harald Jähner dowodzi, że w ciągu 15 lat istnienia tamtego państwa Niemcy nie zastygli w beczynnym oczekiwaniu na Hitlera. Odrzucili skostniałe normy oraz konserwatywną obyczajowość kajzerowskich Niemiec, żywiłowo poszukując nowych form życia i ekspresji. Republika Weimarska to przecież nie tylko kryzys ekonomiczny, polityczna przemoc i gorycz po przegranej wojnie – choć i o nich autor nie zapomina – to również Goldene Zwanziger, złote lata 20., czas modernizmu i awangardy, klubów i kabaretów, dekadencji i swobody seksualnej. Innym aspektem tamtej rzeczywistości – jakby żywcem wyciętej z serialu „Babylon Berlin” – jest emancypacja kobiet. To wówczas wiele Niemek poszło po raz pierwszy do pracy, a te najlepiej sytuowane widywano nawet (ku zgrozie konserwatystów) za kierownicą samochodów. Republika Weimarska opisywana przez Jähnera wcale nie jest państwem upadłym – biorąc pod uwagę hiperinflację i napięcia wewnętrzne, całkiem sprawnie radziła sobie z rozwiązywaniem problemów. Naziści skutecznie oszkalowali pamięć o Republice, uznając ją za symbol „degeneracji”. „Rausz” stara się przywrócić jej dobre imię, pokazując, że inne Niemcy były możliwe, a rok 1933 nie był nieunikniony.

TOMASZ TARGAŃSKI

Kliny dla początkujących

Dominique Charpin, **Sztuka czytania i pisanie w Babilonie**, przeł. Olga Drewnowska, Magdalena Kapelańska, PIW, Warszawa 2023, s. 250

Lubię, gdy książka na znany mi temat czymś zaskakuje albo porządkuje chaotyczne informacje. Taka jest „Sztuka czytania i pisanie w Babilonie” francuskiego asyriologa. Choć doskonale wiedziałam, że w Mezopotamii narodziło się jedno z najstarszych pism

– zwane od kształtu znaków klinowym – udało mu się mnie przekonać, że wcale nie jest ono trudne do nauczenia się. Co więcej, że w starożytnej Babilonii pismem tym posługiwało się znacznie więcej osób, niż myślałam. Nie byli to tylko wykształceni scribe, ale też wojskowi, dyplomaci i kupcy, dla których posługiwanie się pismem było niezbędne ze względów zawodowych. Nawet kobiety często były zatrudniane jako pisarki. Błędne przekonanie o hermetyczności i dużym skomplikowaniu znaków klinowych pokutowało przez lata, mimo że do naszych czasów zachowało się dużo glinianych tabliczek, z których część stanowi prywatną korespondencję pisaną nie przez uczonych w piśmie pośredników, ale samych zainteresowanych. Z książki dowiadujemy się nie tylko, kto, jak i po co pisał, ale też jak wyglądała kultura czytania. A ta stała w wielu środowiskach na bardzo wysokim poziomie. Słynna biblioteka króla Asurbanipala w Niniwie była może jedną z największych, ale okazałe zbiory dzieł literackich, listów i ksiąg rachunkowych trzymało w domowych archiwach i bibliotekach wielu mieszkańców Mezopotamii. Co prawda poznanie tajników sztuki pisania i czytania starożytnej Babilonii i Asyrii wymaga od czytelnika poznania wielu dziwnie brzmiących mezopotamskich nazw i imion, ale lekturę książki Charpina ułatwiają krótkie rozdziały i rozliczne ilustracje.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Twardzi i zwarci

Andrzej Brzeziecki, **Betonowy umysł. Historia twardogłowych towarzyszy z PZPR**, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2023, s. 331

Andrzej Brzeziecki zaskoczył czytelników. Autor nagradzanych biografii katolickich intelektualistów Tadeusza Mazowieckiego i Krzysztofa Kozłowskiego tym razem wziął na warsztat ich całkowite zaprzeczenie: twardogłowych działaczy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Zaczynamy od zabójstwa w czasie drugiej wojny przywódcy polskich komunistów Marcelego Nowotki, by następnie śledzić spór z połowy lat 50. między Puławami (tak nazywano skrzydło liberalne w partii) a „twardym” Natolinem (o jednym z liderów tej frakcji mówiono: „Tak czy owak, Zenon Nowak”). Czytamy o stalinistycznym Kazimierzu Mijału, który uciekł

aż do Albanii przed liberalizmem rzekomo panującym w Polsce, o Mieczysławie Moczarze, Tadeuszu Grabskim, który „z pozycji” ortodoksji partyjnej zaatakował Edwarda Gierka pod koniec lat 70., o komunistach skrzykniętych w początku lat 80. w stowarzyszeniu Grunwald. Twardogłowych łączyły antyinteligentcki resentyment, wrogość wobec Żydów i Zachodu.

To krótka i wartko poprowadzona historia PRL. Skłania jednak do polemik. Niekiedy „betonowy umysł” towarzysze nie tyle mieli, co miewali. Do opisanego paradygmatu Wojciech Jaruzelski pasowałby przecież jak ulał, gdy pod jego skrzydłami odbywała się antysemitka czystka w wojsku w 1968 r. i kiedy wprowadzał stan wojenny. Cechy betonu przejawiali pryszczaci okresu stalinowskiego czy profesor pedagogiki Krzysztof Kruszewski, który najście na mieszkanie Jacka Kuronia w marcu 1979 r. skomentował: „Jesteśmy zadowoleni z akcji”. Betonowy umysł nie znosi satyry i żartu, jest zjawiskiem rządów autorytarnych.

MARCIN ZAREMBA

PROMOCJA

ZAPOWIEDZI Z WYDAWNICTWA

Michael Sowa

CMENTARZ SIEROTEK

Wydawnictwo LIRA
Warszawa 2023, s. 336



W małej śląskiej wiosce w latach 30. XX wieku pojawia się tajemniczy obcy. Czy wizyta nieznanego gościa ma związek z przeszłością osady i zwiastuje nieuchronną katastrofę? Czy może wszystko jest zamierzonym spektaklem, w którym każda z postaci gra nieświadomie obraną wcześniej rolę? W „Cmentarzu sierotek” Michael Sowa na nowo podejmuje kwestię lokalnej tożsamości, wplatając w śląskie realia fikcyjną akcję. Odwołuje się przy tym do tradycji i historii założycieli osady, których korzenie znajdują się w piętnastowiecznych Czechach, gdzie działał i nauczał wielki reformator religijny Jan Hus.

www.wydawnictwolira.pl

To, co powiedział 2 grudnia 1823 r. prezydent James Monroe do Kongresu, określiło politykę zagraniczną Stanów Zjednoczonych. Celem było pilnowanie interesów w obu Amerykach i odcięcie się od konfliktów, które ich nie dotyczą. Spór o to trwa do dziś.

MICHAŁ RASTASZAŃSKI

Izolacja i interwencja

W jakim celu mielibyśmy, poprzez powiązanie naszego losu z losem jakiejś części Europy, narażać nasz pokój i dobrobyt na rzecz europejskich żądz, rywalizacji, interesów, humorów czy kaprysów? Właściwą nam polityką jest trzymanie się z dala od wszelkich trwałych sojuszy z kimkolwiek na świecie” – stwierdził pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych George Washington podczas pożegnalnego przemówienia. Mowa wygłoszona w 1796 r. stała się ważnym testamentem Ojca Założyciela. Jedną z głównych zasad polityki zagranicznej USA miało być powstrzymanie się od udziału w konfliktach Starego Kontynentu.

To właśnie za prezydentury Washingtona Stany odmówiły wsparcia swemu pierwszemu sojusznikowi, Francji. Gdy w 1792 r. rozpoczęła się jej wojna z koalicją monarchii europejskich, Amerykanie ogłosili neutralność. Wielu uważało, że należy oddzielić się od reszty świata i zająć urzędowaniem swego własnego młodego kraju, zachowując neutralność w stosunku do państw Starego Kontynentu.

Interes republiki

Rzeczywistość szybko podważyła te założenia, bo na przełomie wieków XVIII i XIX USA wzięły udział w wojnie morskiej z Republiką Francuską (1798–1800) i w otwartym konflikcie z Wielką Brytanią (1812–14/15). Jednym z głównych aktorów tamtych wydarzeń był James Monroe, uznawany za ostatnią głowę państwa, która nosi dumny tytuł Ojca Założyciela Stanów Zjednoczonych. Podobnie jak Washington, Jefferson czy Madison pochodził z Wirginii i był plantatorem. W młodości przeszedł długi szlak bojowy podczas wojny o niepodległość. Znał Europę, bo jako ambasador reprezentował swój kraj we Francji i w Wielkiej Brytanii. Przez wiele lat z sukcesem budował swoją pozycję w polityce amerykańskiej. Pełniąc czołowe funkcje w administracji (w czasie wojny z Anglikami pełnił funkcję sekretarza stanu i sekretarza wojny), stał się



Karykatura pokazująca USA jako najważniejszego koguta na podwórku Ameryki Łacińskiej, 1901 r.

jednym z najważniejszych współpracowników ówczesnego prezydenta Jamesa Madisona. Nic dziwnego, że w kolejnych wyborach został przez republikanów nominowany na jego następcę. W wyborach w 1816 r. zdobył ogromne poparcie – 183 głosy elektorskie, gdy jego kontrkandydat Rufus King ubierał ich zaledwie 34.

Młoda republika otrząsała się wówczas z największych konfliktów wewnętrznych i zewnętrznych, szukała własnego miejsca w świecie. Na początku lat 20. poczucie zagrożenia regionalnych interesów wzbudził car Aleksander I, który, kolonizując Alaskę, rościł sobie prawo do wód terytorialnych północnego Pacyfiku. Wkrótce przed Stanami stanęło również kolejne wyzwanie – sytuacja w Ameryce Łacińskiej. Kiedy w 1808 r. Napoleon obalił hiszpańskiego króla Ferdynanda VII i osadził na tronie swego brata Józefa Bonapartego, kolonie zadeklarowały solidarność ze zrzucenym z tronu monarchą, a w efekcie zaczęły się rządzić samodzielnie. Napoleon utracił Hiszpanię, Ferdynand VII wrócił na tron i starał

się odzyskać władzę w koloniach. Nad niepodległymi od niedawna państwami Ameryki Łacińskiej zawisła groźba przywrócenia rządów Hiszpanów.

Wtedy w obronie niezależności kolonii wystąpiły solidarnie Wielka Brytania i Stany Zjednoczone. Może się to wydać zaskakujące, bo jeszcze niedawno zażarcie ze sobą walczyły, jednak wspólne interesy przeważały nad urazami. Brytyjczykom odpowiadało powstanie licznych niepodległych państw amerykańskich, z którymi można było prowadzić swobodny handel. Dla Amerykanów była to kwestia nie tylko bezpieczeństwa, ale i ideologii republikańskiej. Buntownicy tworzący nowe państwa na gruzach kolonialnego imperium odwoływali się bowiem do ideałów rewolucji amerykańskiej.

Dwa światy

Mając wsparcie największej morskiej potęgi świata, prezydent USA zdecydował się na śmiałą deklarację, w czym pomagał mu jego sekretarz stanu John Quincy Adams.

2 grudnia 1823 r. James Monroe wygłosił coroczne przemówienie do Kongresu. Nie nazwał go doktryną i zapewne nie spodziewał się, że będzie w przyszłości traktowane niczym dogmat. Po części treść odpowiadała przesłaniu mowy pożegnalnej Washingtona. Pewne fragmenty były wręcz powtórzeniem stanowiska pierwszego prezydenta: „Nigdy nie braлиśmy udziału w wojnach mocarstw europejskich, które dotyczyły ich własnych spraw, co jest zgodne z naszą polityką. Dopiero gdy nasze prawa są naruszane lub poważnie zagrożone, wyrażamy oburzenie lub przygotowujemy się do obrony samych siebie”.

Monroe postrzegał Amerykę i Europę jako dwa odrębne światy, różniące się systemem politycznym: z jednej strony ustrój republikański, z drugiej absolutystyczny.

Jednocześnie podniósł kwestię bezpieczeństwa USA. Próba ujarznienia państw Ameryki Łacińskiej miała być odbierana jako „nieprzyjazne nastawienie” wobec Stanów Zjednoczonych. Jak stwierdził: „Niemożliwe jest, aby mocarstwa sprzymierzone rozszerzyły swój system polityczny na jakąkolwiek część któregośkolwiek kontynentu bez narażania naszego pokoju i szczęścia. Nikt też nie mógłby uwierzyć, że nasi bracia z Południa, pozostawieni sami sobie, przyjęliby ten system z własnej woli”. Jednocześnie zapewnił, że jego deklaracja nie dotyczy innych kolonii, np. brytyjskiej Kanady czy rosyjskiej Alaski.

Święte Przymierze nie zaryzykowało przetestowania amerykańskiego stanowiska. Francuzi zadowolili się przywróceniem monarchii absolutnej w Hiszpanii.

Stanowisko Monroego – ohrzczone później mianem doktryny – przyjęło się jako jedna z podstawowych teorii politycznych funkcjonowania Stanów. Amerykanie zazdrośnie strzegli swych interesów w tej części świata, drugą stroną medalu był izolacjonizm, wstrzymanie się od ingerowania w sprawy europejskie. W imię tego hasła zrezygnowano z popierania Grecji, która, walcząc z Turkami (1821–32), dążyła do powołania niepodległej republiki i odwoływała się do ideałów amerykańskich.

Przez następne kilkadziesiąt lat powoływano się na doktrynę Monroego, ale była ona bardziej doniosłą deklaracją niż rzeczywistą strategią. Zmieniło się to w drugiej połowie XIX w. W 1861 r. Francuzi zorganizowali interwencję w Meksyku, obsadzając na tronie austriackiego księcia Maksymiliana. Stany Zjednoczone nie mogły zareagować, pogrążone w krwawej wojnie secesyjnej. Ekspedycja europejska trwała jednak dłużej niż wojna Północy

z Południem. Wielu Amerykanów wściekłych na francuskie machinacje domagało się udzielenia pomocy meksykańskiemu powstańcom.

W 1865 r. prezydent Andrew Johnson powołał się na doktrynę Monroego, ostrzegając, że dalsza działalność Europejczyków w Meksyku nie będzie tolerowana. By bardziej urealnić groźbę, rozstawiono wojsko na granicy. Cesarz Napoleon III, nie widząc perspektyw na zwycięstwo, zdecydował się skupić na Starym Kontynencie i ewakuował swoje siły. Sukces został uznany przez sekretarza stanu Williama H. Sewarda za udany praktyczny sprawdzian doktryny, która dotychczas była jedynie teorią.

W imię tej doktryny Amerykanie poszli również na wojnę w 1898 r., biorąc stronę Kuby w walce z Hiszpanią o niepodległość. W tym przypadku przeważał ich interes, bo Monroe stwierdził: „W kwestii istniejących kolonii lub ziem zależnych od jakiegokolwiek europejskiej władzy nie ingerowaliśmy i nie będziemy się wtrącać”.

Policjant Roosevelta

W 1904 r. prezydent Theodore Roosevelt ogłosił uzupełnienie doktryny Monroego: Stany Zjednoczone miały odtąd wziąć odpowiedzialność za utrzymywanie porządku w Ameryce Łacińskiej. Roosevelt zapowiedział: „Chroniczne zło lub niemoc skutkująca ogólnym rozluźnieniem więzi cywilizowanego społeczeństwa mogą w Ameryce, podobnie jak gdzie indziej, ostatecznie wymagać interwencji jakiegoś cywilizowanego narodu, a na półkuli zachodniej przywiązanie USA do doktryny Monroego może zmuszać Stany Zjednoczone w rażących przypadkach niewłaściwego postępowania lub niemocy do sprawowania międzynarodowej władzy policyjnej”.

Doktryna Monroego była dotychczas pasywną postawą polityczną, reakcją na agresję mocarstw europejskich. U progu XX w. dokonano jej reinterpretacji. Państwa Ameryki Łacińskiej były niestabilne politycznie i z tego powodu uważano je za podatne na wpływy europejskie. Roosevelt przemówił pod wpływem kryzysu w Wenezueli (1902–03), gdy ten zadłużony kraj odmówił spłaty długów, a później spotkał się z agresywną odpowiedzią europejskich dłużników. Wielka Brytania, Włochy i Niemcy nałożyły na Wenezuelę blokadę morską. Ostatecznie kryzys udało się rozwiązać za pośrednictwem USA. Amerykanie pod hasłem walki o porządek i stabilizację regionu interweniowali m.in. w Nikaragui (1912 r.) czy na Haiti (1915 r.).

W XX w. coraz potężniejsze Stany zaczęły zrywać z izolacjonizmem, nadal utrzymując drugi filar doktryny Monroego, czyli pilnowanie obydwu kontynentów amerykańskich. W 1917 r. Stany dołączyły do pierwszej wojny światowej, a amerykański żołnierz po raz pierwszy w historii wylądował na ziemi europejskiej. Wyprawa na Stary Kontynent miała być jednorazowym wyjątkiem. Z tego też powodu chociaż prezydent Woodrow Wilson był twórcą Ligi Narodów, to paradoksalnie Kongres odmówił przyłączenia Stanów do tej organizacji. Argumentowano to właśnie tym, że udział w takim przedsięwzięciu spowoduje, że USA uwikłają się w cudze spory i interesy.

Powrócono do izolacji, z której Amerykanie znów szybko zostali wybudzeni. Po udziale w drugiej wojnie światowej i rozpoczęciu zimnej wojny nie było powrotu do dawnej polityki. W 1949 r. Stany Zjednoczone wstąpiły do NATO. Wyłączając przymierza czasów wojen, był to pierwszy formalny sojusz wojskowy od paktu z Francuzami z 1778 r. W czasie zmagania z komunistami obawy o zagrożenie amerykańskiego bezpieczeństwa wydawały się realne. Amerykanom tekst Monroego przypominał się zwłaszcza podczas kryzysu kubańskiego (1962 r.), gdy zagrożenie wojną nuklearną dramatycznie wzrosło. Spór udało się rozwiązać dyplomatycznie. Doktryna ponownie zadziałała. Historyk Dexter Perkins stwierdził wtedy, że za czasów Monroego europejskie zagrożenie dla Ameryki „było iluzoryczne i, jak wykazaliśmy, nigdy nie było naprawdę bardzo duże w XIX ani nawet na początku XX w. Dziś rosyjskie groźby są dramatycznie większe przez szaleństwo Kremla; (...) rządy Nowego Świata będą prawdopodobnie kierować się zasadami sformułowanymi przez Jamesa Monroego”. Stany Zjednoczone, dążąc do ograniczenia wpływów komunistów i ZSRR, wielokrotnie dokonywały w imię doktryny interwencji, m.in. w Grenadzie (1983 r.).

Po zakończeniu zimnej wojny wydawało się, że doktryna została raz na zawsze zawieszona. Tak twierdził za rządów Baracka Obamy sekretarz stanu John Kerry, który w 2013 r. zadeklarował: „Czas doktryny Monroego się skończył”. Ale za prezydentury Donalda Trumpa znów powoływano się na tę wiekową deklarację. Można powiedzieć, że nadal jest to jeden z najważniejszych amerykańskich dokumentów, który rozpala debatę publiczną zwłaszcza w czasie nowych wojen: w Ukrainie i na Bliskim Wschodzie, a także w obliczu ekspansji gospodarczej Chin w Ameryce Łacińskiej. ■



na scenie

Farsa policyjna 5/6

Dario Fo, **Przypadkowa śmierć anarchisty**, reż. Michał Zadara, Teatr Powszechny w Warszawie

Przypadkowa śmierć anarchisty” to idealna sztuka na powyborczy, przejściowy czas, gdy zmienia się władza, i ci, którzy ślepo służyli poprzedniej, łamiąc prawo i zasady moralności, teraz nerwowo szukają sposobów na ocalenie przed rozliczeniem. Na przykład polska policja, tak ochoczo za rządów PiS spisująca, zamykająca, pryskająca gazem łzawiącym, szarpająca i pałująca „lewactwo”, z naciskiem na kobiety i osoby LGBT+, manifestujące w obronie zabieranych im praw. Sztuka noblisty Dario Fo odnosi się do prawdziwej historii: w 1969 r. włoski anarchista Giuseppe Pinelli został aresztowany w związku z zamachem bombowym, brutalne przesłuchanie zakończyło się wyrzuceniem go przez okno, co zakwalifikowano jako samobójstwo. Ma formę

swoistej farsy, bo autor, wiedząc z doświadczenia, że w reżimie normalny człowiek nie ma szans na sprawiedliwość, w roli demaskatora nielegalnych działań policji obsadził „wariata” – mitomana, jokera. Michał Zadara akcję przenosi z ziemi włoskiej do Polski: komendant policji (**Grzegorz Falkowski**) obnosi się z granatnikiem, główne role przypadają kobietom: śledztwo w sprawie zamordowanej „anarchistki” prowadzi wariatka/prokuratora (Barbara Wysocka), a swoje 5 minut na scenie ma także pewna dziennikarka „Gazety Wyborczej” (**Karina Seweryn**). Bywa zabawnie, raczej w stylu sitcomowego „13 posterunku”, gdy policjanci pod presją wiją się, gubią w zeznaniach i pogrążają nawzajem. Jest też kilka momentów, które przynoszą satysfakcję i wzruszenie jednocześnie. Na czele ze sceną z odśpiewaniem przez skołowanych mundurowych hymnu Strajku Kobiet, piosenki „Tortury ciało” wykonywanej przez Maję Pompę na melodię klasyka buntu „Bella ciao”: „Pewnego czwartku/ polski Trybunał/ chciał przejąć moje ciało, twoje ciało, ciało ciało ciało!/ Pewnego czwartku/ polski Trybunał/ wyrzekł nam wojnę w biały dzień./ Więc jeśli nie chcesz/ swojemu ciału/ powiedzieć ciao, ciało, ciao, ciało ciao, ciao!/ To bierz transparent/ jak inne siostry/ i bunt swój po ulicy nieś”.

ANETA KYZIOŁ

na ekranie

Grecka katastrofa 3/6

Uśmiech losu, reż. Andrzej Jakimowski, prod. Polska, Grecja, 104 min

Kwestia rozumienia czy też subiektywnego odczuwania upływu czasu powraca w twórczości Andrzeja Jakimowskiego regularnie, zachęcając do nieco innego przyjrzenia się rzeczywistości, jak się okazuje – miejsca pełnego zagadkowych koincydencji, nieprzypadkowych epifanii, a nawet magii. Z filmu na film reżyser coraz mocniej



kwestionuje twarde ramy realizmu, tak jakby chciał dostrzec pod powierzchnią banalności ukrytą logikę wydarzeń. Te dotknięcia nieoczywistych momentów przesądających o czyimś losie to olśniewają („Zmruż oczy”), to odpychają pretensjonalnością, niezręcznie budowanymi relacjami, co wydaje się główną wadą stylizowanego na bajkę dla dzieci „Uśmiechu losu”. Niby

jest to opowieść silnie zakorzeniona w faktach, inspirowana zagadkową decyzją znanego fotografika Jacka Przybyłowskiego, który tuż przed czterdziestką zdecydował się rzucić wszystko i osiaść na pustynnej wyspie Lanzarote. Jakimowski może i dostrzeże w tym jakieś „mystyki”, ale bardziej mu chodzi o odnajdywanie miłego eliksiru pozwalającego przeskoczyć kryzys wieku męskiego (w roli obiektu westchnień – **Ifigenia Tzola**). Przenosząc fabułę na wyspę grecką Nisiros, stracił czujność, nie dostrzegł rażącego infantylizmu tej sytuacji, za bardzo uległ pięknu krajobrazu, przez co jego film wygląda jak radosna pocztówka wysłana z miło spędzonych wakacji.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Czekając na Godzillę 4/6

Monarch: dziedzictwo potworów, twórcy serii: Chris Black, Matt Fraction, 10 odc., Apple TV+

Amerycanie na różne sposoby próbowali zmierzyć się z „Godzillą” i popularnością *kaiju* – olbrzymich potworów z japońskiego studia Toho. Udało się wreszcie w 2014 r., a film Garetha Edwardsa dał początek zgrabnie rozwijającej się franczyzie, znanej jako MonsterVerse. Nowy serial jest zresztą bezpośrednio kontynuacją tamtego przeboju (choć nawiązuje także do filmu „Kong: Wyspa czaszki”). Akcja toczy się w dwóch planach czasowych: w 2015 r., po ataku Godzilli na San Francisco, dwoje młodych ludzi bada rolę, jaką odegrał ich zaginiony ojciec w rozwoju korporacji



Monarch, zaś na początku lat 50. amerykański oficer Lee Shaw (w starszej wersji grany przez Kurta Russella, w młodszej – przez jego syna Wyatt) na zlecenie tejże organizacji śledzi aktywność *kaiju* z pomocą pary ambitnych naukowców. „Monarch” w przeciwieństwie do kinowych produkcji nie skupia się wyłącznie na pokazywaniu potworów, choć tych nie brakuje. Twórcy serialu starają się raczej uzupełnić luki w mitologii MonsterVerse, pokazać wydarzenia w skali mikro, dobudować wątki, które połączą dotychczasowe filmy, a być może także otworzą przestrzeń dla kolejnych produkcji – wszak kinowa premiera kolejnej części „Godzilla x Kong”, została już zapowiedziana na kwiecień przyszłego roku. Widzom, którzy nie są fanami tego nurtu, muszą zaś wystarczyć dobre role obu Russellów oraz znanej z serialu „Pachinko” Anny Sawai w roli kobiety, która pragnie poznać skomplikowaną historię swojego ojca.

JAKUB DEMIAŃCZUK

Agenci tęczy 4/6

Towarzysze podróży (Fellow Travelers), twórca serii: Ron Nyswaner, 8 odc., SkyShowtime

Ron Nyswaner, nominowany do Oscara za scenariusz pamiętnej „Filadelfii” z 1993 r. – z Tomem Hanksem w roli chorego na AIDS prawnika – w swoim pierwszym autorskim serialu wraca do tematu dyskryminacji gejów. Podstawą scenariusza serialu „Towarzysze podróży” jest powieść Thomasa Mallona z 2007 r., opowiadająca o miłości dwóch mężczyzn z ambicjami politycznymi.

Zaczyna się w noc wyborczą w 1952 r., gdy prezydentem USA zostaje Eisenhower, a zaraz potem senator Joseph McCarthy i jego prawa ręka prawnik Roy Cohn zaczynają polowanie na komunistów i „dewiantów”, kończy się zaś w połowie lat 80., gdy HIV zbiera żniwo, a konserwatywna Ameryka znów piętnuje gejów. Charyzmatyczny Hawkins Fuller (**Matt Bomer**, seria „Białe kołnierzyki”) jest weteranem wojennym i zimnym graczem, robiącym karierę w Departamencie Stanu. Tim Laughlin (**Jonathan Bailey**, „Bridgertonowie”) – przeciwnie, to młody idealista wierzący w walkę Ameryki z komunizmem i w Kościół. Historia i miłość wystawią na liczne próby ich samych i ich systemy wartości. Nyswaner ma na koncie pracę w ekipie scenarzystów świetnej serii szpiegowskiej „Homeland”, efektem jest dobrze pokazana atmosfera polowania na „agentów” w epoce maccartyzmu. Gorzej mu wychodzi łączenie melodramatu z pośpieszną i powierzchowną lekcją historii Ameryki i jej obywateli LGBT+.



Już na początku widać, że bohaterowie są symbolami pewnych postaw, a ich losy – egzemplifikacją stosunków społecznych, choć aktorzy robią wiele, by wlać w te założenia życie. AK

w galerii

Lech Leszka 5/6

Leszek Sobocki, Tarcza ochronna, Galeria Wirydarz, Lublin, do 25 lutego 2024 r.

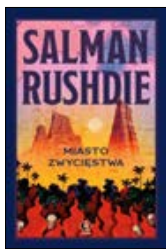
Bohater tej wystawy, Leszek Sobocki, za rok skończy 90 lat. Ale nie tylko z tego powodu można go obwołać klasykiem współczesnego polskiego malarstwa. Najpierw w ramach słynnej grupy artystycznej Wprost, a później już samodzielnie budował wizualny świat, obok którego trudno przejść obojętnie. Jeden wątek zajmował go szczególnie: ludzka egzystencja. A przede wszystkim kwestie wolności i zniewolenia, co – jak się nietrudno domyślić – nie ułatwiało mu życia w czasach PRL. Był bowiem zawsze i pozostał do dziś artystą bezkompromisowym, ale też niepowierzchnym. Przyglądał się światu, ale najchętniej opowiadał o nim



Leszek Sobocki, „Tarcza ochronna”, 2023 r.

przez pryzmat własnej osoby, za pomocą autportretów, które stawały się tym samym portretami człowieka w ogóle. Kilka jego prac, powstałych głównie w czasach stanu wojennego – jak choćby „Duszno” czy „Polonia” – weszło do kanonu polskiego malarstwa. Był też „Robotnik 81”, czyli oryginalny portret Lecha Wałęsy skradziony mu przez służby bezpieczeństwa. I autorska kopia tej pracy, wykonana w 2005 r., wydaje się największą atrakcją lubelskiej wystawy. W głęboko metaforyczny, wręcz liryczny, daleki od publicystyki sposób, podejmuje artysta w innych zgromadzonych na wystawie obrazach trudne tematy Jedwabnego, granicy z Białorusią, pandemii, a nawet wyborów. Jak zawsze w poszukiwaniu prawdy i dobra. Jest też i tytułowa „tarcza ochronna”; obraz, na którym półnagi, bezbronnego artystę chroni przed światem tylko owa tarcza – kolorowa malarska paleta, dzięki której może oswajać nieprzyjazny świat.

PIOTR SARZYŃSKI

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Miasto ze słów 4/6

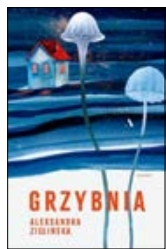
Salman Rushdie, **Miasto zwycięstwa**, przeł. Jerzy Kozłowski, Rebis, Poznań 2023, s. 340

Nowa powieść Salmana Rushdiego jest baśnią stylizowaną na epos staroindyjski. Losy Miasta Zwycięstwa opowiada Pampa Kampana, obdarzona przez boginię nadzwyczajnymi mocami. Została porzucona przez matkę, która spaliła się na stosie zgodnie z obyczajem, a potem Pampa przez lata była wykorzystywana przez mnicha. „Będziesz walczyć o to, żeby już żadna kobieta w ten sposób nie spłonęła i by mężczyźni zaczęli traktować kobiety inaczej”. To się udało i nie udało jednocześnie. Zbudowała, a właściwie zasiała miasto, w którym powstały fundamenty równości, tolerancji, oddzielono religię od spraw państwowych, ale tylko na jakiś czas. Kampana była wiecznie młoda, ale musiała przeżyć śmierć wszystkich ludzi, których kochała. A jej imperium przechodzi kolejne przemiany i po epoce



magiczno-feministycznej i progresywnej następuje powrót religii jako narzędzia kontroli społecznej, podległości kobiet (bo miejsce kobiety jest w domu, a nie na tronie), palenia ich na stosach i oskarżenia o czary. I okazuje się, że utopii nie da się zrealizować, zawsze przychodzi czas reakcji, powrotu tyranii, niszczenia wolnej myśli i sztuki. Rushdie w baśniowej konwencji tworzy wizję świata, w którym idea równości nie jest możliwa, bo siły reakcji szybko ją niszczą. Kampana sama została przez swoich wrogów oślepiąca – jak Rushdie po ataku w zeszłym roku. Ta opowieść jest malownicza, ale też wymaga cierpliwości do ogromnej liczby potomków Kampany i ich historii. Według Rushdiego jeśli zwycięstwo jest możliwe, to tylko w literaturze: „Pozostało jedynie to miasto ze słów. Słowa są jedynymi zwycięzcami”.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



Splot żartu i bólu 4/6

Aleksandra Żelazińska, **Grzybnia**, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2023, s. 352

Grzybnia, jakkolwiek by to brzmiało, to ciało grzyba. Jest zbudowana ze strzępek, które tworzą pod ziemią niepojętą i fascynującą sieć wzajemnych powiązań. W taki sposób Aleksandra Żelazińska widzi relacje między ludźmi, zwłaszcza najbliższymi i z najdłuższym stażem. Tak też postrzega relację człowieka z życiem, ale i śmiercią, nieważne, nagłą czy spodziewaną. Bohaterowie jej powieści,

dziś dorośli, kiedyś zawiązali swój nieformalny „klub gałganiarzy”. Zawsze trzymali się razem, ale po tragicznej śmierci jednego z nich, Filipa, autora książek dla dzieci i lokalnego artysty, wszystko się rozsypuje. Strzępki się nadważyły. Iluzję dawnych relacji próbuje podtrzymywać Zuzanna, jego żona, ale z lichym efektem. Nigdy nie była gałganiarą, jest „przyszywaną przyjaciółką”, spadkiem po Filipie. Każdy ma tutaj własną tajemnicę. Swoje supły do rozplątania. To powieść o zagmatwaniu tych więzi, ale też ich nieodzowności. Złożona z intymnych scen i łącząca ludzkie doświadczenie z żywiołem przyrody. Domy porastają pleśnią, choroba pożera ciało, meduzy w ciepłe lato wracają do jeziora i nie wróżą chyba niczego dobrego. „Grzybnia” to także powieść o żalobie. Nie ma na nią jednej, „kanonicznej” metody, tak jak nie ma przepisu na przetrwanie. Docenia się język tej książki, gry słów, splot żartu i bólu. Postrzępiona struktura nadaje jej rytm. Tak jak przyroda, nieposkromiona, przewidywalna i bezcelnie regularna.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Naga królowa art deco 5/6

Katarzyna Nowakowska-Sito, Marisa de Lempicka, Victoria de Lempicka **Lempicka. Sztuka**, Wydawnictwo BoSz Szymanik, Olszanica 2023, s. 486

Wubiegłym roku polskie muzealnictwo miało tylko jedną, niekwestionowaną królową: Tamarę Łempicką. Jej wystawy odbyły się w Lublinie, Krakowie i Konstancinie pod Warszawą, a łącznie obejrzało je ćwierć miliona widzów. Sukces tym większy, że do Polski nie dotarły jej najszlachetniejsze obrazy. Można więc przypuszczać, że także i to wydawnictwo może okazać się rynkowym hitem. Tym bardziej że nie ma przesady w określeniu go „spektakularnie widowiskowym”. Duży rozmiar, najwyższej jakości papier, a przede wszystkim imponująca zawartość: 300 obrazów, 100 rysunków i 130 rodzinnych fotografii. Do tego wspomnienia wnuczki i prawnuczki, rzetelne kalendarium, tekst analityczny. Z jednej strony ten album to manifestacja malarskiego triumfu królowej art deco, czarującej przedwojennej elity paryskiej, uwodzącej ówczesną, ale i dzisiejszą publiczność swymi flagowymi pracami „Autoportret w zielonym Bugatti”, „Adam i Ewa”, śmiałymi aktami i portretami wyniosłej arystokracji. Z drugiej strony uderza obraz jej malarskiego i rozpisanego na długie dekady powolnego artystycznego schyłku: banalnych martwych natur, nieprzekonujących portretów, prób zmierzenia się z abstrakcją, religijnych uniesień w wizerunkach Madonny. Jedno pozostało niezmiennie: imperatyw estetyczny, który kazał nawet obraz wojny przedstawić jak kadr w dobrym hollywoodzkim filmie, z bezbłędnym wyczuciem formy. To idealne wydawnictwo zarówno dla bezgranicznych miłośników Łempickiej, jak i dla tych, których zafascynuje fenomen artystycznej zmiany, błędzenia, odnajdywania siebie w coraz to nowszych malarskich konceptach, które świat w pewnym momencie odrzucił.

PIOTR SARZYŃSKI

komiksy miesiąca

Piękni odrzuceni

Ten tytuł był do niedawna jedną z największych zaległości na polskim rynku. Ale wreszcie jest. Wydanie pierwszego tomu „**Scotta Pilgrima**” (przeł. **Paweł Bulski, Nagle Comics, 5/6**) zbiegło się w czasie z premierą animowanego serialu na podstawie komiksu Kanadyjczyka **Briana Lee O’Malleya**, a oba są prawdziwą uczcą. Niby to klasyczna opowieść o dwudziestoparoletnim przegrywie, który próbuje poukładać sobie życie (choć zajmuje go przede wszystkim granie w zespole) – ale przefiltrowana przez popkulturowe doświadczenia początku wieku, od komiksów superbohaterskich po gry wideo: w końcu tytułowy bohater musi stoczyć serię dosłownych pojedynków z byłymi chłopakami swojej ukochanej. Po 20 latach od premiery „Scott Pilgrim”



ma już lekki sznyt retro, ale miejsca wśród najważniejszych premier ostatnich dekad nie stracił.

Do współczesnej klasyki należy też zaliczyć imponujący album „**Rusty Brown**” (przeł. **Hubert Brychczyński, Julia Rauhut, Centrala, 6/6**), tworzony przez **Chrisa Ware’a** na przestrzeni kilkunastu lat (ukazywał się w odcinkach na łamach jego własnego magazynu komiksowego). Opowieść o samotności, odrzuceniu, niespełnionych pragnieniach nie poddaje się próbom streszczenia. Ware zmienia bohaterów, dekoracje i plany czasowe, potrafi prowadzić dwa wątki narracyjne w ramach jednej strony, eksperymentuje z tekstem i układem kadrów (niektóre plansze sieka na ponad sto mikroskopijnych obrazków!). A jednak to wszystko ma sens, układa się w spójną, hipnotyczną wizję, przejmującą i smutną balladę o gorczyczy amerykańskich przedmieść. Arcydzieło



niezależnego komiksu, choć jego lektura wymaga skupienia i czasu.

Klub dysydenta” (przeł. **Marta Duda-Gryc, Wydawnictwo Lost In Time, 4/6**) to kolejny z udanych komiksów opowiadających o życiu w politycznej i religijnej opresji. Może nie sięga wyżyn gatunku, jak „Persepolis” czy „Arab przyszłości”, lecz jest bardzo interesującym zapisem dojrzewania do fanatyzmu, a później życiowej drogi w przeciwnym kierunku. Pakistański dziennikarz **Taha Siddiqui** (który napisał scenariusz wraz z rysownikiem albumu **Hubertem Maurym**) opisuje czasy dzieciństwa, gdy naiwnie wierzył w indoktrynację prowadzoną przez ojca, zaś Osamę bin Ladena uważał za superbohatera, a zarazem wspomina, co sprawiło, że stał się jednym z najbardziej zaciekle wrogów religijnego fanatyzmu oraz krytyków pakistańskiego rządu. Cenna lekcja pod każdą szerokością geograficzną.



JAKUB DEMIAŃCZUK

na płycie

Kwartet kosmiczny 5/6

Hoshii, **Hoshii**,
Kxntrst Records

Kuba Więcek podbił polską scenę jazzową jako saksofonista i kompozytor, później błysnął jako autor hiphopowych beatów. Teraz próbuje połączyć jedno z drugim, ale pod egidą pracy zespołowej. Hoshii zapowiadał trochę jak formację marzeń i rzeczywiście, jest to zespół idealnie wpisujący się w zakres zainteresowań stylistycznych lidera. Pianista Grzegorz Tarwid, basista Max Mucha i perkusista Miłosz Berdzik bardzo chętnie przekraczają gatunkowe bariery i sprawnie łączą tradycyjne granie z przetwarzaniem partii przez efekty, wykorzystywaniem źródeł elektronicznych. Więcek chwytą tu za saksofon sopranowy, co wiąże się z pewnym estetycznym ryzykiem – tyle że zamiast w stronę windziarską lub pościelową ucieka ku lekkiej i pełnej dystansu fantazji o tytułowej istocie z planety Versus, w praktyce zmaterializowanej jako laleczka z włóczki. Talent do pisania melodii lidera Hoshii (nazwa to po japońsku „pragnąć”) znamy z poprzednich płyt. Tutaj zyskuje inną oprawę – gęste partie Tarwida, także linie bębnowe Berdzika oraz pełną brzmieniowej inwencji grę Muchy. Wszyscy trzej wypełnili życiem utwory, które Więcek naszkicował na bazie beatów stworzonych pierwotnie z myślą o raperach. Trudno o lżejsze i bardziej naturalne wejście w jazzową konwencję dla młodej publiczności. I jak to jazz – na żywo brzmi jeszcze lepiej.



BARTEK CHACIŃSKI

festiwale

Świat w ruchu

23. Międzynarodowy Festiwal Filmowy Watch Docs,
1–10 grudnia, Warszawa, projekcje także w wersji online

Festiwal Watch Docs to dobra okazja, by zastanowić się nad tym, czym dziś żyje świat. Wojna w Ukrainie, kryzys uchodźczy, prawa osób LGBTQ – to wciąż kwestie, które wymagają szybkich działań, a kino dokumentalne w budowaniu społecznej świadomości i przypominaniu o tematach, które coraz częściej spychane są na dalsze pozycje w prasie i serwisach newsowych pełni przecież fundamentalną rolę. Wśród najważniejszych premier znalazł się m.in. debiutancki film dokumentalny Kasi Smutniak „Mur”. Polsko-włoska aktorka towarzyszy z kamerą aktywistom i aktywistkom pracującym bez wytnienia na granicy z Białorusią – warto ten film oglądać jednak nie tylko jako uzupełnienie „Zielonej granicy”, lecz także opowieść o poszukiwaniu własnych korzeni. Obowiązkowym seansem powinno być także „20 dni w Mariupolu” Mstyslawa Chernova, porażające świadectwo rosyjskich zbrodni w Ukrainie. Reżyser filmu jest tegorocznym laureatem nagrody Pulitzera za fotograficzną pracę na ukraińskim froncie. W programie znalazły się klasyczne dzieła kina dokumentalnego, m.in. dzieła Agnès Vardy i Wernera Herzoga, a także retrospektywa austriackiego mistrza Nikolausa Geyrhaltera, w tym jego najnowszy film, dokumentujące pandemię „W zawieszaniu”. JD



Szczegóły: watchdocs.pl



Dwa pejzaże

Trwające właśnie dwie duże wystawy współczesnego polskiego malarstwa to wizje wobec siebie konkurencyjne. Jedna prezentuje kierunek zmian w krajowej sztuce, druga – tylko to obiecuje.

Prezentowany w Zachęcie obraz Zbigniewa Dowgiałły „Ukrzyżowanie”.

W

PIOTR SARZYŃSKI

stołecznej Zachęcie jej dyrektor, a zarazem (lubi obsadzać się w tej roli) kurator wystawy Janusz Janowski ambitnie zaproponował widzom „Krajobraz malarstwa polskiego”. Dla szefa placówki, traktowanego jako nominat PiS o twardym konserwatywno-prawicowym kręgosłupie, była to swoista próba sił. Sukces tak trudnej wystawy zdecydowanie by go legitymizował jako właściwego człowieka na właściwym miejscu. Nic dziwnego, że już od paru miesięcy środowisko artystyczne w kraju rozgrzewało dwa pytania: kto bierze i kto nie bierze udziału w wystawie? Kwestie artystyczne zeszły na plan dalszy wobec ideowo-politycznej deklaracji, za jaką dotychczasowy mainstream uważał przyjęcie zaproszenia lub jego odrzucenie.

Tymczasem w Galerii BWA w Bielsku-Białej trwa pokonkursowa wystawa „Bielskiej Jesieni”. To najważniejszy obecnie konkurs malarski w kraju, który w ostatnich dekadach wylansował lub mocno wsparł w karierze takie gwiazdy, jak Wilhelm Sasnal, Ewa Juszkiewicz, Martyna Czech czy Karol Palczak. Nic dziwnego, że zainteresowanie nim jest ogromne. W tym roku do udziału zgłosiło się ponad tysiąc (!) artystów, zaś do finału zakwalifikowano 56 twórców. Choć w konkursie startować może każdy, to swojej szansy szukają tu przede wszystkim ambitni, młodzi artyści przed 35. rokiem życia. Zdecydowanie dominowali oni zarówno wśród aplikujących, jak i wśród finalistów (39 na 56). W pewnym uproszczeniu można więc powiedzieć, że bielska ekspozycja jest przeglądem wyróżniającego się młodego polskiego malarstwa.

Powiada się, że malarstwo w Polsce przeżywa prawdziwy renesans. I na pierwszy rzut oka ów finałowy zestaw z Bielska zdaje się tęzę potwierdzać. Przede wszystkim, gdy pod uwagę weźmiemy malarską formę, konwencję, poetykę. Mamy tu fotorealizm (także w modnej ostatnio wersji negatywowej) i ekspresjonizm, malarstwo „dzikich” i quasi-prymitywizm, surrealizm i neokubizm, pop-art itd. A czego brakuje? Przede wszystkim malarstwa abstrakcyjnego. Właściwie na palcach jednej ręki wyliczyć można młodych twórców kontynuujących na wystawie tradycję sztuki niefiguratywnej. To dziwne, zważywszy że był to jeden z najsilniejszych nurtów w polskim malarstwie po 1945 r., by przypomnieć dorobek Stefana Gierowskiego, Tadeusza Kantora, Wojciecha Fangora, Władysława Strzemińskiego czy Henryka Stażewskiego.

A skoro o poprzednikach mowa, to jeszcze dwa nazwiska: Roman Opałka i Ryszard Winiarski. Artyści, którzy skutecznie poszerzali granice malarstwa o konceptualną jakość. Dziś praktycznie nieobecni. Na wystawie znalazłem tylko dwa przykłady tego typu eksperymentów Krzysztofa Mętla i Weroniki Teplickiej. Oba zresztą podobne, skupiające się na fenomenie procesu twórczego i walorów dzieła sztuki. Śmielej eksperymentuje się natomiast z malarską materią, sięgając po niekonwencjonalne materiały malarskie: gips, masę polimerową, fabryczną emalię. Jedno z trzech Grand Prix (jeśli aż trzech, to czy jeszcze „grand”?) otrzymała Karolina Jarzębak, która odświeżyła na potrzeby malarstwa starą meblarską

sztukę intarsji. Zasadniczo jednak poszerzone pole malarstwa kończy się bardzo blisko za blejtrmem i olejnymi farbami.

Równie, a może i bardziej ciekawe od tego „jak” jest to, „o czym” ci w większości młodzi artyści opowiadają w swej sztuce. Otóż przede wszystkim o samych sobie. O własnych doświadczeniach, przeżyciach, traumach, wspomnieniach z dzieciństwa. Trwa totalna autowiwisekcja. Jak się czułem po rozstaniu z ukochanym, co się przydarzyło mojemu bratu, jak mnie niszczy korporacja, co wynika z mojej transpłciowości, jak zapamiętałem dziadków itd. Po długim okresie koncentrowania się na własnym „Ja” młodzi artyści coraz częściej – co cieszy – rozglądają się wokół siebie. Małgorzata Mycek z kulturową przenikliwością skanuje polską wieś, a Adam Kozicki przemijając opowiada o dramatach na polsko-białoruskiej granicy. Inni artyści wysupłują i po swojemu obrabiają kalki kulturowe massmediów, popkultury, filmu. Nawiązują do feminizmu, pochyłają się nad kryzysem klimatycznym. Na różne sposoby starają się uporządkować i oswoić chaos otaczającego świata i natłok własnych myśli.

O ile bielską wystawę można by nazwać salonem aspirujących, o tyle tę warszawską salonem odrzuconych.

A przynajmniej, w zdecydowanej większości, artystów niedostrzeganych lub lekceważonych przez poprzedni mainstream artystyczny. Zebranie w jednym miejscu ponad 200 dzieł blisko 140 twórców na pierwszy rzut oka wygląda na przedsięwzięcie poważne i – stosownie do tytułu wystawy – reprezentatywne. Ale bliższa analiza „listy obecności” prowadzi do dość ciekawych wniosków. Otóż najliczniejszą grupę zaproszonych na wystawę wydają się stanowić nauczyciele akademicki. Od profesorów po asystentów i adiunktów. A zatem artystów niemal zawsze biegłych warsztatowo, perfekcyjnie panujących nad kompozycją, barwami, plamą i kreską, ale nie zawsze mających coś ciekawego swym malarstwem do opowiedzenia. Drugą istotną grupę stanowią artyści skupieni w Związku Polskich Artystów Plastyków, któremu – przypominę – przez lata szefował obecny dyrektor Zachęty i kurator wystawy Janusz Janowski. Przez ostatnie dekady na obrzeżach głównego nurtu życia artystycznego, wreszcie dostrzeżeni i dopieszczeni, mają swoje 15 minut sławy.

Te dwa główne filary ekspozycji uzupełniają dwie mniejsze podpórki. Pierwsza to studenci lub świeżo upieczeni absolwenci malarstwa. Według jakiego klucza dobierani? – trudno dociec. Czy trafnie? Na to pytanie najlepiej odpowie porównanie ich listy z listą artystów znajdujących się w kolekcji „m jak malarstwo”, tworzonej przez mBank i uchodzącej za reprezentatywną selekcję najlepszego malarstwa młodego pokolenia (do 40. roku życia). Otóż na obu listach znalazło się tylko jedno to samo nazwisko (Michał Rostkowski). Jest za to cała, całkiem liczna studencka familia Ignacego Czwartosa, malarza żołnierzy wyklętych i pupilka kuratora Janusza Janowskiego. A biorąc pod uwagę walory ich malarstwa – jest to arogancka jazda po artystycznej bandzie. Wygląda to tak, jak gdyby wręcz demonstracyjnie zlekceważono hierarchie, budowane przez art world złożony z krytyków oraz prestiżowe prywatne i samorządowe galerie.

Drugą podpórkę stanowią tzw. gwiazdy, które mają wystawę jakoś nobilitować i uwiarygadniać. Po prostu kurator ►



Prace z wystawy „Bielska Jesień”, od lewej: Edyta Hul „Species Mitology”, Adam Kozicki „to już (Frans Masereel – Mon livre d’heures)”

► wybrał ze zbiorów Zachęty garść najciekawszych prac znanych żyjących twórców i – nie pytając ich o zgodę – poutykał między to osobliwe towarzystwo. Wśród wybrańców mimo woli znaleźli się m.in. Wilhelm Sasnal, Leon Tarasewicz, Paweł Susid, Tomasz Ciecierski czy Jan Dobkowski. Nic dziwnego, że wszyscy wyżej wymienieni, a także kilka innych artystek i artystów, wystosowali w tej sprawie protest i zażądali usunięcia ich dzieł z ekspozycji. Działanie okazało się tyleż efektowne, co bezskuteczne. Zresztą taka praktyka przyniosła dość osobliwy efekt artystyczny, bo w ekspozycji znalazło się wiele prac powstałych 20–30 lat temu. A nawet i wcześniej, bo najstarsza z nich (autorstwa Kojiego Kamojiego) ma 56 lat, co oczywiście nijak się ma do zapewnień, że to aktualny pejzaż polskiego malarstwa.

Wystawa w Zachęcie to przykład intelektualnego niechlujstwa i koncepcyjnego chaosu. Brak tu jakichkolwiek opisów pozwalających zrozumieć narrację kuratora. A ta jest wyjątkowo zagmatwana – niektóre sale wydają się zaaranżowane według malarskich tematów (malarstwo religijne, pejzażowe, metaforyczne), podczas gdy inne, dość absurdalnie, według... kolorów (sala „niebieska” i „czerwona”). Każdy sąsiaduje z każdym, a jedynym łącznikiem są tzw. złote myśli dotyczące sztuki, w większości stanowiące poważne wyzwanie poznawcze. Jak choćby taka oto sentencja: „Praca malarza jest wolnością nie dlatego, że nie podlega prawu, ale dlatego, że opiera się na stopniowym uświadamianiu sobie prawa, którym sama jest, i celu, do którego zmierza”. Widzowie, których podczas

mojej wizyty było naprawdę wielu, snują się po wystawowych salach trochę jak zombie, próbując samodzielnie odnaleźć w tym wszystkim jakiś porządek, logikę, myśl przewodnią.

Zachęta serwuje nam zupełnie inny pejzaż polskiego malarstwa niż pokonkursowa wystawa Bielskiej Jesieni. Przypomina nam, z czym się ono tradycyjnie kojarzy. No może brakuje tak typowych niegdyś ułanów na koniach, ale jest za to sporo martwych natur czy pejzaży. Nareszcie mocną reprezentację ma abstrakcja, choć tylko w paru przypadkach (np. Andrzej Gieraga) o jakości, do jakiej przyzwyczaili nas mistrzowie tego środka wyrazu.

Aż kilka sal zajmują prace dające się określić jako malarstwo metafory, symbolicznych znaczeń, alegorycznych opowieści, którego korzeni szukać można w młodopolskich klimatach. Niekiedy skręcających w stronę emocjonalności, kiedy indziej – w stronę intelektualnych rebusów. Tej w sumie chyba najciekawszej sekcji zdaje się patronować okazały „Mnich” Macieja Świeszewskiego.

Z kolei najbardziej kuriozalna wydaje się sala z malarstwem okołoreligijnym. Króluje w niej gigantyczny (4,6×5,4 m) obraz Zbigniewa Dowgiałły „Ukrzyżowanie”. Autora pamiętamy z budzącego kontrowersje dzieła ukazującego wybuch bomby w lecącym do Smoleńska prezydenckim samolocie i z tego, że z ramienia Piotra Glińskiego decydował o ministerialnych dotacjach na sztukę. Tym razem otrzymujemy scenę, w której pod ukrzyżowanym Chrystusem stołeczna straż miejska pałuje obywateli. Jak skromnie zauważył autor, ten obraz stanowi „twórcze rozwinięcie dzieł największych mistrzów malarstwa



Karolina Jarzębak „Cursed Object”.

europęjskiego od XIV wieku, takich jak Michał Anioł, Leonardo da Vinci, El Greco czy van Gogh”. Dalej jest podobnie, a kilka całkiem niezłych obrazów ginie w zalewie religijnego kiczu.

Oficjalna informacja Zachęty o wystawie zapewnia widzów, że „dokumentuje ona aktualny obraz malarstwa i sygnalizuje kierunki zmian”. Śmiała to teza, na granicy dezynwoltury. Bo ten aktualny obraz jest dziurawy jak szwajcarski ser, bez takich nazwisk, jak choćby (ograniczę się do kobiet) Aleksandra Waliszewska, Paulina Ołowska, Krystyna Piotrowska, Ewa Juszkiewicz, nie mówiąc o młodszych małarkach płynących na wysokiej fali, jak Agata Kus, Agata Słowak, Natalia Załuska,

Karolina Jabłońska czy Martyna Czech. I wszystko jedno, czy jest to absencja z woli kuratora, czy samych artystek. Nic tu nie „sygnalizuje kierunku zmian”, a co najwyżej petryfikuje tradycyjne schematy uprawiania malarstwa. Dużo więcej o tym, co w trawie piszczy i w którą stronę rozwija się malarstwo, dowiemy się w salach Galerii Bielskiej. Uprawianie sztuki nie jest już intelektualno-estetyczną zabawą formą, ale okazją, a może nawet obowiązkiem, do włączania się w ważne dyskursy, często poprzez grzebanie we własnych trzewiach i wsłuchiwanie się w bicie własnego serca.

PIOTR SARZYŃSKI

REKLAMA

20 000 GATUNKÓW PSZCZOŁ

★★★★★
Najlepszy hiszpański film roku TIME OUT

73rd International Film Festival Berlin
Najlepszy występ aktorski Konkurs Główny

LUX ASSISTENCE CINÉMA RENAISSANCE

CF, European Union, wysokobocasy.pl, FILMWEB, ZIMMEL, KING, ABE, Kino

Czytaj świat 2023

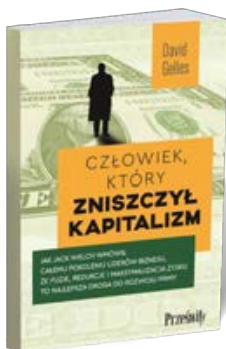
Oto 10 mądrych lektur z ostatniego sezonu, które pozwalają lepiej zrozumieć współczesny świat.

TOMASZ PLATA

Po raz kolejny prezentujemy zestaw najciekawszych książek z półki „idea books” – od politologii, przez socjologię, filozofię, historię idei, krytykę artystyczną po reportaże – które pojawiły się na naszym rynku w minionym roku. To pozycje, które warto nadrobić, żeby lepiej zrozumieć różne zjawiska współczesnego świata: kryzys kapitalizmu, sekularyzację społeczeństw, rosyjską autokrację, polski antykomunizm, konflikt izraelsko-palestyński i nie tylko.

David Gelles, Człowiek, który zniszczył kapitalizm, przeł. Jacek Środa, Marek Zawiaślak, Prześwity

To nie jest kolejny z licznych w ostatnich latach manifestów dowodzących, że powinniśmy porzucić kapitalizm, poszukać jakichś nowych form urzędzenia naszej ekonomii. To raczej błyskotliwy, świetnie zdokumentowany reportaż biograficzny o wypaczeniach kapitalizmu, jakich doświadczyliśmy

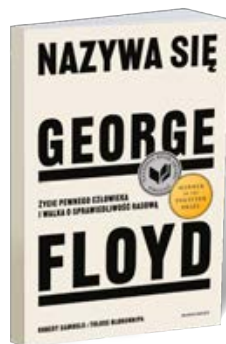


w kilku minionych dekadach, pisany przez autora z kapitalizmem wyraźnie sympatyzującego (Gelles jest felietonistą „New York Timesa”). Tytułowy „człowiek, który zniszczył kapitalizm”, to Jack Welch, wieloletni prezes potężnego General Electric. W opowieści Gellesa z ikony zarządzania Welch przeobraża się w sprytnego manipulantę zainteresowanego wyłącznie nieustannym podnoszeniem kursu akcji własnego

koncernu. Jego arsenał to trzy zabiegi: masowe zwolnienia (*downsizing*), „zjadanie” mniejszych firm (strategia Pac-Mana) i kreatywna księgowość. Welch nie dba o pracowników ani o jakość czy innowacyjność swych produktów. Mimo to długo świetnie zarabia. Staje się wzorem do naśladowania, a w efekcie infekuje cały system. Gelles komentuje: kapitalizm nie zawsze był taki i nie musi taki pozostać. Końcowe fragmenty książki to portrety prezesów wielkich korporacji, którzy wybrali inną drogę rozwoju niż Welch.

Robert Samuels i Toluse Olorunnipa, Nazywa się George Floyd. Życie pewnego człowieka i walka o sprawiedliwość rasową, przeł. Maciej Potulny, Marginesy

Wydawało się, że nie nadaje się na patrona ruchu społecznego. Nie był postacią szczególnie bohaterską czy zaangażowaną, słabo radził sobie ze swoim życiem. Nie potrafił uwolnić się od uzależnień, wielokrotnie wchodził w konflikt z prawem. Mimo to jego śmierć stała się momentem przełomowym w najnowszej historii Ameryki. 25 maja 2020 r. George



Floyd został zamordowany przez białego policjanta przed sklepem spożywczym w Minneapolis. Film rejestrujący zdarzenie trafił do sieci i wywołał masową wściekłość. Wkrótce protest pod hasłem Black Lives Matter rozlał się po Stanach i całym świecie zachodnim. Książka

Samuela i Olorunnipy to drobiazgowo (fantastyczny research) biografia tytułowego bohatera, ale też przejmujący zapis instytucjonalnego rasizmu od czasów niewolnictwa (niewolnikami byli przodkowie Floyda) po współczesność.

Orlando Figes, Opowieść o Rosji. Władza i mit, przeł. Władysław Jeżewski, Wielka Litera

Na pozór: atrakcyjna w formie, choć nieco zdawkowa historia Rosji, od uformowania się Rusi Kijowskiej aż po wojnę w Ukrainie. W rzeczywistości: przewodnik po ideach, które motywowały lub usprawiedliwiała największych rosyjskich władców. A także po mitologii, która z owych idei w końcu wykiełkowała. Chcemy zrozumieć system władzy skonstruowany przez Putina? Warto pamiętać, że już wielki książę Włodzimierz w głębokim średniowieczu rządził Rusią za pośrednictwem bojarów, ich funkcja była zaś luźną podobną do obecnej pozycji oligar-

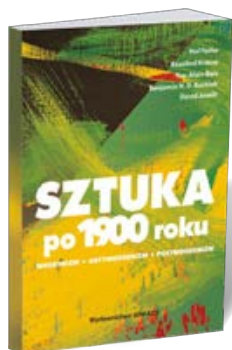


chów: za zasługi dostawali ziemie, które eksploatowali według własnego uznania. Nie podważało to władzy księcia czy cara, ta bowiem była nienaruszalna. Figes pisze o „patrymonialnej autokracji”, modelu przejętym od Mongołów Czyngis-chana. Car był tak potężny, że wszystkich dookoła mógł nazywać swymi niewolnikami. „Służalność była ważną cechą systemu (...), który odróżniał Rosję od monarchii europejskich”. Brzmi znajomo?

Hal Foster, Rosalind Krauss, Yve-Alain Bois, Benjamin H.D. Buchloh, David Joselit, Sztuka po 1900 roku, przeł. Małgorzata Szubert, Dorota Skalska-Stefańska, Anna Cichowicz, Arkady

Prawdziwa wydawnicza cegła: prawie 900 stron sporego formatu, a na nich tysiące ilustracji, ramek, wykresów. To w zasadzie akademicki podręcznik opracowany przez niezwykle cenionych

historyków sztuki związanych z amerykańskim magazynem „October”. W latach 80. i 90. XX w. Foster, Krauss *et consortes* zaproponowali nowy język opisu dziejów sztuki nowoczesnej i ponowoczesnej. W swych rewizjonistycznych interpretacjach odwoływali się do psychoanalizy, dekonstrukcji, różnych wersji marksizmu („October” w nazwie to nawiązanie do rewolucji październikowej). „Sztuka po 1900 roku” jest podsumowaniem wysiłków środowiska. Oryginalna wersja miała już kilka wznowień, zdobyła status pozycji klasycznej. U nas ma szansę stać się użytecznym przewodnikiem po materii nadal słabo przyswojonej. A może też będzie to po-



zycja dla tych wszystkich, którzy słyszeli coś o sztuce zawłaszczenia lub tzw. zwrocie etnograficznym, ale chcieliby się dowiedzieć więcej.

Marcin Zaremba, Wielkie rozczarowanie. Geneza rewolucji Solidarności, Znak Horyzont

Po znakomitej „Wielkiej trwodze” poświęconej okresowi tużpowojennemu Marcin Zaremba wraca do wypracowanej tam strategii uprawiania historii jako opisywania nie przełomowych zdażeń, lecz rozległych procesów. Książek

o Solidarności mieliśmy już sporo. Ale czy wiemy, jakie procesy społeczne sprawiły, że była ona możliwa? Zaremba drobiazgowo analizuje bodaj najciekawszą dekadę PRL – lata 70., modernizacyjne nadzieje z ich początku oraz cywilizacyjną zapaść z końca. W połowie lat 70., w okolicy strajków w Radomiu i Ursusie,



wyczerpuje się mandat komunistów do rządu, ekonomiczny kryzys owocuje rosnącą popularnością hasła „Precz z komuną”. Zaremba nie proponuje przełomowych diagnoz tych zjawisk, ale świetnie wychwytuje istotne szczegóły. U niego znaczenie ma nie tylko polityka, ale i cena tygodnika „Przypięciółka” czy wyjątkowa w tamtej dekadzie popularność twórców kabaretowych.

Rüdiger Safranski, Goethe. Życie jako sztuka, przeł. Tadeusz Zatorski, Fundacja Augusta Hrabiego Cieszkowskiego

Co w polskiej kulturze przyswoiliśmy sobie z twórczości Goethego? Co z niej zrozumieliśmy? Chyba wciąż widzimy w Niemcu przede wszystkim piewę romantycznej miłości, autora „Cierpień młodego Wertera”. Może niektórzy z nas przeczytali „Fausta”, ale raczej tylko pierwszą część. Kto zajrzał

do „Powinowactw z wyboru” lub „Nauki o barwach”? Na szczęście ostatnie lata przynoszą sygnały przełomu w lokalnej recepcji Goethego. Najpierw dostaliśmy pierwszy przyzwoity przekład klasycznych „Lat nauki Wilhelma Meistra” (na „Lata wędrowni...” wciąż czekamy). Teraz pojawia się biografia autorstwa Rüdigera



Safranskiego. To nie tylko opowieść o życiu Goethego, ale też próba umieszczenia jego dzieła na szerszym tle historii idei XIX w. Safranski, znany u nas z utrzymanych w podobnym duchu biografii Schopenhauera i Nietzschego, odsłania konsekwentnie liczne oblicza Goethego: dandysa, urzędnika, dworzanina, naukowca. Całość układa się w zajmujący portret twórcy, którego rangę w europejskiej kulturze można porównywać bodaj tylko z Szekspirem.

Konstanty Gebert, Pokój z widokiem na wojnę. Historia Izraela, Agora

To nie jest książka o ideach. To książka o wojnach. Autor uczciwie ostrzega o tym na samym wstępie. Gebert streszcza co prawda dzieje idei syjonistycznej, przedstawia Theodora Herzla, jego polemistów i spadkobierców, ale kiedy zajmuje się historią Państwa Izrael, ►

REKLAMA



znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



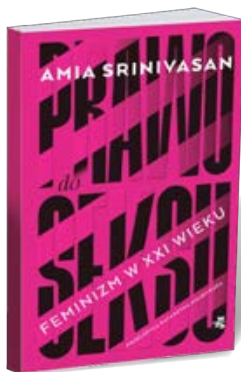
► pisze właściwie już tylko o kolejnych wojnach, konfliktach, bitwach, potyczkach. Jest w tym chyba podpowiedź, że Izrael nie narodził się z intelektualnego projektu, lecz z militarnej siły. I tylko dzięki tej sile trwa. Gebert nie zapomina o izraelskich grzechach, opisuje ze szczegółami mordy dokonywane przez izraelską armię na cywilnych



Arabach. Zarazem książka nie jest naiwnym apelem o porzucenie przemocy, raczej równie gorzkim, co rzeczowym stwierdzeniem, że wyjście ze spirali konfliktu wydaje się dziś w Izraelu prawie niemożliwe. Szczególnie po krachu negocjacji w Camp David (Gebert za winnego uznaje Jasera Arafata) oraz po latach katastrofalnych rządów Beniamina Netanjahu. Wojna w Izraelu może się zdarzyć w każdej chwili – stwierdza Gebert na początku 2023 r. Kilka miesięcy później wiemy, że niestety, będzie musiał dopisać do swojej książki kolejny rozdział.

Amia Srinivasan, Prawo do seksu. Feminizm w XXI wieku, przeł. Katarzyna Mojkowska, W.A.B.

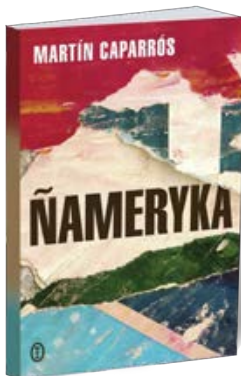
Nie znajdziemy tutaj przesadnie konkretnych podpowiedzi, czym powinien być feminizm w nowym wieku. To nie poradnik, nawet nie diagnoza, raczej lista spraw do przemyślenia. Weźmy błyskotliwy esej „Rozmawiając z moimi studentami o porno”. Oczywiście pornografia jest dziś tak łatwo dostępna jak nigdy dotąd. Młode pokolenie dojrzeła, traktując porno jako główne źródło wiedzy na temat życia intymnego. Tylko co z tym zrobić? Wcześniejsze pokolenia feministek dyskutowały o tym zawzięcie. Jedne optowały za jakąś formą cenzury, inne w próbach ograniczenia swobody producentów pornografii widziały gesty o charakterze konserwatywnym, represyjnym. A może lepiej zadbać, by powstawało porno uwzględniające



wrażliwość różnych odbiorców i odbiorczyń – nie tylko to najostrejsze, lecz również subtelniejsze? Srinivasan, rosnąca gwiazda filozofii, z etatem na Oksfordzie, nie stawia kropek nad i, ale spokojnie oprowadza po gęstwinie problemów. Wśród innych tematów: fenomen incela, problem prostytutki (piętnować? zakazywać? cywilizować?), napięcie między feministkami z różnych klas i środowisk społecznych (czy na pewno feministki z wyższej klasy średniej rozumieją i odpowiednio wspierają feministki z klasy ludowej?).

Martín Caparrós, Ćnameryka, przeł. Wojciech Charchalis, Wydawnictwo Literackie

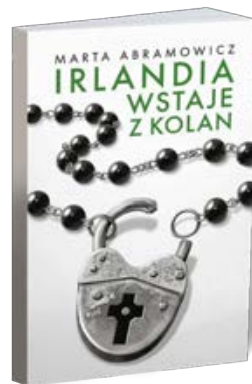
Wyobraźmy sobie taką sytuację: Ryszard Kapuściński na początku lat 90. nie rusza na wschód, by pisać „Imperium”, tylko rozpoczyna wędrówki po czymś, co chwilę wcześniej Milan Kundera zdefiniował jako Europę Środkową. Materiał reporterowi puchnie, nie daje się ułożyć w proste struktury, nie podpowiada żadnych czytelnych konstatacji. Książka z tego wychodzi ogromna, trudna do ogarnięcia, ale intrygująca. Coś takiego – o innym regionie – proponuje Caparrós, u nas znany głównie z wybitnego „Głodu”, ewidentnie zafascynowany Kapuścińskim, ale też ciekawie przepracowujący jego



dziedzictwo. „Ćnameryka” to nieortodoksyjna próba uchwycenia specyfiki tych rejonów obu Ameryk, które były koloniami hiszpańskimi, od Meksyku do Argentyny. Najciekawszy u Caparrósa wydaje się pomysł podstawowy: żeby dostrzec w Ćnamerykanach wspólnotę polityczną, ale nie naród. W tle mamy polemikę ze „Wspólnotami wyobrażonymi” Benedicta Andersona, klasyczną pozycją, która w rewolucjach niepodległościowych w Ameryce Południowej widziała wzór ruchów narodowych.

Marta Abramowicz, Irlandia wstaje z kolan, Wydawnictwo Krytyki Politycznej

Dużo już o tym wiemy: o gwałtownej sekularyzacji Irlandii napisano sporo, nakręcono kilka filmów, temat nie jest odkryciem. Ale książka Abramowicz (rozmowę z autorką opublikowaliśmy w POLITYCE 47) oferuje inny rodzaj satysfakcji. Czytana w Polsce pod koniec 2023 r., daje uzasadnioną nadzieję, że opisuje nie tylko czyjąś przeszłość,



ale również naszą wspólną przyszłość. Dominacja Kościoła katolickiego nad irlandzką polityką zaczęła kruszeć nie na skutek rewolucji obyczajowej atakującej wszystkie społeczeństwa Zachodu. Punktem przełomowym – pisze Abramowicz – było ogłoszenie w 1968 r. przez papieża Pawła VI piętnującej antykoncepcję encykliki „Humanae vitae”. Irlandki poczuły się zdradzone, przyparcie do muru przez ortodoksję. Ich buntu nie dało się już powstrzymać. Pytanie, czy coś podobnego może wydarzyć się nad Wisłą, wraca w tej atrakcyjnie skrojonej reporterskiej narracji wielokrotnie. Po Czarnym Proteście, po jego oczywistym wpływie na wynik ostatnich wyborów, nie musimy już chyba być w tej kwestii pesymistami.

TOMASZ PLATA



MODZELEWSKI MATAN
ZALEWSKI ĆWIEK
KOPIEC NOWOGRODZKA
MINKIEWICZ SUMOWSKI
RUTKOWSKI POCZĘTY
GIZA RUCIŃSKI
i inni

ŚMIELEJ!
Stand-uperzy o polityce

prowadzi Kamil Śmiałkowski



RADIO i PODCASTY

Posłuchaj w aplikacji TOK FM



Głos wieku



Co było w **Marii Callas** tak niepowtarzalnego – głos, osobowość sceniczna, dramatyczne życie?
2 grudnia minie 100 lat od jej narodzin.

DOROTA SZWARCMAN

Jej legenda dziś jest silniejsza niż kiedykolwiek. Kariera śpiewaczki nie trwała długo; zmarła też stosunkowo młodo, mając zaledwie 54 lata. Pozostały tylko nagrania, i to wyłącznie z okresu po totalnej zmianie wizerunku, gdy stała się piękną kobietą, ikoną nie tylko opery, ale i mody. Ta przemiana też była znakomitym budulcem legendy; oto brzydkie kaczątko, otyłe i o nieładnej cerze, które z początku porywało wyłącznie fantastycznym śpiewem i ekspresją (w jaki sposób, tego już nie zobaczymy), zmieniło się we wspaniałego łabędzia. Sposób,

w jaki zgubiła ponad 30 kg w ciągu półtora roku, sam w sobie stał się przedmiotem anegdot. Mówiono nie tylko o specjalnej diecie, ale też o larwach tasiemca, którymi miała się w tym celu posłużyć (sama kiedyś zażartowała: „Lyknęłam tasiemca, ale popiłam go najdroższym szampanem”). Jak było dokładnie, raczej się już nie dowiemy.

Podobnie nie będzie już wiadomo na pewno, czemu w późniejszych latach zawodził ją głos, co zmusiło ją do przerywania występów. Jedni twierdzą, że przyczyną mogło być właśnie nadmierne odchudzenie, inni – że nadmierna eksploatacja

(śpiewała często, brała role wymagające różnych gatunków głosu: od rossiniowskiej Rozyny do wagnerowskiej Izoldy), jeszcze inni – że faszzerowanie jej narkotykami przez przemocowego partnera (w wydanej dwa lata temu książce „Cast a Diva” Lyndsy Spence). Pojawiła się też teoria, że cierpiała na przewlekłą chorobę autoimmunologiczną – tak ponoć twierdził neurolog, który leczył ją w ostatnich latach życia.

Jedno jest pewne: była osobą rozdartą wewnątrz. Jak sama mówiła, były w niej dwie kobiety: Maria, mieszcza, która chciała domu, życia rodzinnego i dzieci, i Callas, kapłanka sztuki przez duże S (o swoim głosie w listach zawsze pisała Głos, od dużej litery). I to napięcie między nimi było jednym ze źródeł jej udręki. „Chciałabym być Marią, ale muszę dorównać Callas” – mówiła. Marią nie potrafiła być, gdyż zawsze zakochiwała się w nieodpowiednich mężczyznach. Najważniejsi jej partnerzy – mąż Giovanni Battista Meneghini, którego poślubiła jako 23-latką, i miłość jej życia Aristotelis Onassis – mieli dwie wspólne cechy: byli zamożni i dużo od niej starsi.

Miłość i sztuka

Te słowa ze słynnej arii Toski stosują się do Callas w pełni. W dzieciństwie została pozbawiona ojca (nic dziwnego, że później w życiu szukała figury ojca) – matka wywiozła ją i jej siostrę z Nowego Jorku do rodzinnej Grecji. Odkrywszy w córce talent, zapisała ją na prywatne lekcje śpiewu, zamknęła ją w mieszkaniu i zmuszała do ćwiczenia całymi dniami. Jeszcze w Stanach zgłaszała dziewczynkę do programów radiowych typu „Mam talent” – z sukcesami. Maria śpiewała dojrzałe role już jako nastolatka; rzadko się zdarza rozpoczęcie kariery wokalne tak wcześnie. Rolę Toski zaśpiewała w wieku 17 lat. Podczas wojny matka prostytutowała się dla zarobku i zmuszała do tego również córki, ale Marii ponoć udawało się wykręcić. Namawiała klientów, by zamienili seks na śpiew, czego akurat w tym przypadku nie żałowali.

Przez całe życie miłość ją niszczyła, sztuka ratowała. Jako śpiewaczka potrafiła być asertywna, jako kobieta – nie. Kiedy więc i sztuka ją zawiodła, po nieudanych próbach powrotu do życia muzycznego (reżyseria, pożegnalne tournée z tenorem Giuseppe di Stefano) poddała się ostatecznie. Bez sztuki i miłości nie było dla niej życia.

Dlatego też wielu osobom jej życie kojarzy się z tragedią grecką. Nawet komiks „Maria Callas to ja”, wydany także w Polsce przez Operę Narodową, który narysowała Vanna Vinci (autorka również ►

NAJLEPSZE MUZYCZNE PREZENTY NA ŚWIĘTA



Daria Zawiałow
Dziewczyna POP



Måneskin
RUSH! (Are U Coming?)



Travis Scott
UTOPIA



Pentatonix
The Greatest Christmas Hits



Wham!
**The Singles:
Echoes From The Edge Of Heaven**



Po prostu Krawczyk.
Antologia przebojów



Daft Punk
**Random Access Memories
(Drumless Edition)**



Daft Punk
**Random Access Memories
(10th Anniversary Edition)**



Daja Cat
Scarlet



Depeche Mode
**Delta Machine /
The 12" Singles (Box Set)**



Depeche Mode
**Sounds Of The Universe /
The 12" Singles (Box Set)**

Wszystkie albumy dostępne na

 **Nowa Płyta**
by Sony Music



SONY MUSIC

► komiksowych opowieści o Fridzie Kahlo i Tamarze Łempickiej), ma nazwy części z takiej tragedii wzięte, jak Parodos, Epej-sodion czy Stasimon.

Greckość była bardzo ważna dla Callas – to był też jeden z powodów jej szalonej miłości do Onassisa, z którym mogła rozmawiać po grecku. Szczególną postacią z mitologii była dla niej Medea, która poświęciła wszystko dla nieszczęśliwej miłości. Ta z opery Luigię Cherubinię, która była jedną z jej ważnych ról, i – po latach, już po zakończeniu kariery śpiewaczki – ta z filmu Piera Paola Pasoliniego, która nie wypowiada niemal słowa, a jest po prostu wstrząsająca. Po raz kolejny, tym razem już bez śpiewu, Callas udowadnia tu, że jest wielką aktorką. Jest Medea, a zarazem sobą.

Prawda na scenie

To ją również wyróżniało wśród innych śpiewaczek: totalne wejście w rolę. Jej gra aktorska, choć dziś może być uznana za staroświecką, wciąż szokuje swoją prawdziwością, szczerością. To jest słyszalne dla każdego, nawet dla tych, którzy nie znają się na operze. Profesjonaliści dostrzegają w jej śpiewie wiele niedoskonałości, ale co do prawdy, jaka emanuje z jej postaci, muszą się zgodzić.

To był jej talent naturalny, tego się nie uczyła. Przez taką postawę dokonała rewolucji na scenie operowej, na której przestało być ważne wyłącznie piękno brzmienia. Również dzięki wspomnianej zmianie wizerunku ukazała, czym jest nowoczesna gra operowa, odchodząc daleko od tradycji, w której śpiewaczka może swoją posturą zupełnie nie przypominać bohaterki stworzonej w librecie, np. młodzieńczej Cio-Cio-San z „Madame Butterfly” czy cierpiącej na suchoty Violetty z „Traviaty”, ponieważ liczyło się tylko piękno śpiewu. Od czasu Callas jest inaczej. I owe niedoskonałości w jej śpiewie czasem trzeba zapisać na karb roli. Brzmienie jej głosu i tak jest piękne dzięki połączeniu cech soprano dramatycznego i koloraturowego.

Chyba właśnie dzięki tej prawdziwości postać Callas bywa dziś inspiracją dla autorów, którzy wcześniej nie mieli dużego pojęcia ani o samej artystce, ani o operze w ogóle. Tak było w przypadku Toma Volfa, reżysera filmu dokumentalnego „Maria by Callas”, który podczas jego realizacji tak się zafascynował bohaterką, że stworzył też później wystawiany na Broadwayu monodram „Maria Callas. Letters and Memoirs” z Monicą Bellucci. Także Vanna Vinci, autorka komiksu o Callas, nie jest operomanką, bliższy jej jest rock, ale pisze w krótkim postawieniu: „Głos Marii Callas

jest dla mnie nieuchwytną tajemnicą, nadludzkim dźwiękiem, składającym się – jak głos puszczczy – z bezliku brzmień”. Wiele lat po śmierci artystce udało się stać częścią zarówno świata kultury wysokiej, jak i popkultury, i nie jest to tylko kwestia jej życiorysu idealnego dla tabloidów. Postać Callas, jak żadnej innej śpiewaczki, pojawia się jako symbol nawet w popularnych programach telewizyjnych; przykładowo kilka lat temu aktor serialowy Kacper Kuszewski (z wykształceniem muzycznym) wygrał program „Twoja twarz brzmi znajomo”, przebijając się za nią i świetnie imitując jej wykonanie Habanery z „Carmen”.

Krystyna Janda, która grała w pamiętnej sztuce Terrence’a McNally’ego „Maria Callas. Lekcja śpiewu” (od 1997 r. zagrała ponad 200 spektakli w Teatrze Powszechnym, objechała z przedstawieniem Polskę; po latach, w 2015 r., wróciła do tej roli w swoim Och-Teatrze), powiedziała: „Kiedy śpiew operowy denerwował mnie, nie widziałam w tym żadnej urody. Teraz z kilkoma ariami wykonanymi przez Callas pojechałabym na bezludną wyspę, jako jedynymi dziełami sztuki. Co to była za kobieta! Co to był za potwór! Co to było za zjawisko! Co to była za wielkość! Tak trudno było mi się z nią rozstawać. Tak była dla mnie ważna. Jeszcze ją grałam, a już za nią tęskniłam”.

Sztuka McNally’ego, swego czasu przebój Broadwayu, dotyczy późnych lat życia solistki, w których udzielała lekcji mistrzowskich w nowojorskiej Juilliard School of Music. Nie była dobrym pedagogiem, była dumna i arogancka, ale mówiła o sztuce rzeczy ważne, wspominając własne życie, sukcesy i porażki. Spektakl wystawiano w wielu krajach; m.in. w Paryżu reżyserował go Roman Polański, a rolę Callas zagrała jedna z jego ulubionych aktorek Fanny Ardant (ona też zagrała artystkę w filmie z 2002 r. „Callas Forever” w reżyserii Franca Zeffirellego, długoletniego współpracownika śpiewaczki).

Śmierć razy siedem

O ile słuchaczy fascynuje przede wszystkim jej głos, o tyle autorów książek i filmów inspiruje właśnie czas po zakończeniu kariery. To działa na wyobraźnię: wielka artystka, zawiedziona przez życie, miłość i w końcu także sztukę, odosabnia się i żyje przeszłością. Poza wspomnianym komiksem w Polsce wydano jeszcze powieść opisującą właśnie ten okres: „Maria Callas i głos serca” Michelle Marly. Również późne lata artystki będą tematem filmu Pabla Larraina „Maria”, który właśnie jest w produkcji, a rolę tytułową zagra w nim Angelina Jolie.

Szczególnie spektakularnym hołdem dla artystki, złożonym w ostatnich latach, jest widowisko autorstwa znanej performerki Mariny Abramović „7 Deaths of Maria Callas”. Jego prapremiera odbyła się w Operze Bawarskiej w Monachium w dość nieszczęśliwym momencie: między falami pandemii, na otwarcie sezonu we wrześniu 2020 r. Rok później rzecz pokazano w Operze Paryskiej i w Atenach, w 2022 r. w Deutsche Oper Berlin i Teatro di San Carlo w Neapolu, w tym roku – w Liceu w Barcelonie i w londyńskim Coliseum pod marką English National Opera.

To chyba najbardziej barokowe dzieło w twórczości serbskiej artystki, która sztuką i postacią Callas zafascynowała się, odkąd jako 14-latką, jedząc śniadanie w kuchni u babci, usłyszała z radia głos, który ją zelektryzował; jak to określiła: „był jak bomba energii, która spadła na moją duszę”. Choć różni je wiele, Abramović odkryła także podobieństwa: bałkańskie korzenie, oddanie sztuce i zawód miłośny. I medialność.

Natchną ją również udział w 2012 r. w spektaklu Boba Wilsona „The Life and Death of Marina Abramović” – partnerował jej tam znany aktor Willem Dafoe, którego zaangażowała również do swojego dzieła.

Na scenie odtworzony jest pokój w paryskim hotelu, w którym Callas zmarła. Marina leży w łóżku (jako Callas), a nad jej głową, na ekranie, wyświetlane są filmy nawiązujące do scen operowych, w których główna bohaterka umiera, a które były domeną śpiewaczki. Są tam więc: Violetta, Tosca, Desdemona, Cio-Cio-San, Carmen, Łucja z Lammermoor i wreszcie Norma. Każdą z arii śpiewa inna sopranistka, przebrana w niepozorny strój sprzątaczkę, tymczasem na ekranie Abramović odgrywa owe operowe śmierci – po swojemu, nie trzymając się didaskaliów. A więc Tosca, zamiast z rzymskiego zamku św. Anioła, spada w zwolnionym tempie z nowojorskiego wieżowca, Desdemona jest duszona przez węża, a Carmen sama przebrana jest za toreadora; Dafoe jako Don José, zanim ją zabije, krępuje ją grubym sznurem. Na koniec tego seansu Abramović wstaje z łóżka i odgrywa własną śmierć, czyli śmierć Callas. Ale potem jedna z pokojówek-śpiewaczek włącza płytę i autentyczna Callas odzywa się w tym spektaklu po raz pierwszy i ostatni. Głos jest ponad legendą.

Vanna Vinci pod koniec swojego komiksu mówi w imieniu swojej bohaterki: „Legenda. Czym jest legenda? Myślę, że byłam po prostu prawdziwym człowiekiem”.

DOTORA SZWARCMAN



SZTUKA WIDZENIA

5.12.2023 – 3.03.2024



Nowosielski i inni



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano
ze środków Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



50. rocznica odbudowy Zamku
Królewskiego w Warszawie
Obchodzona pod auspicjami UNESCO

Organizacja Narodowe
Zjednoczonych
dla Wybitnych
Nauki i Kultury

Organizator



Współorganizator



Mazowieckie Centrum Sztuki Współczesnej
ELEKTROWNIA

Mecenas



Partner Strategiczny



TOTALIZATOR
SPORTOWY

Sponsor



Bank Pekao

Partnerzy Wystawy



Polska Grupa
Energetyczna



Partnerzy Jubileuszu



ORLEN



NARODOWY
BANK POLSKI

Partnerzy Zamku Królewskiego



tłumaczenia
konferencji



Patroni Medialni



POLSKIE
RADIO



TELEWIZJA
POLSKA

STOLICA

Warsaw
insider

SZ U M

psychologia dla ciebie
sens

zwierciadło

Młot na pop



Peter Gabriel z zespołem, tegoroczny koncert w Mediolanie.

Peter Gabriel swoją pierwszą od dwóch dekad płytę dawkał słuchaczom przez cały rok, utwór po utworze, do tego w dwóch wersjach brzmieniowych. Ale na takim braniu rynku i publiczności pod włos zbudował całą swoją karierę.

MARIUSZ HERMA

Niecałe półtora roku, prawie dwa lata, ponad dwa lata, prawie cztery, sześć, dziesięć, wreszcie aż 21 lat. Tak wydłużały się przerwy między kolejnymi płytami w solowej karierze Petera Gabriela. Tę ostatnią pauzę ożywiały wprawdzie nowymi wersjami dawnych przebojów, ale coraz trudniej było wierzyć w zapewnienia o trwających pracach nad premierowym materiałem.

Na początku 2023 r. zaczął go jednak stopniowo prezentować: w każdą pełnię Księżyca, od styczniowej po listopadową, publikował jeden utwór z albumu „I/O”, za to w dwóch wersjach opisanych jako „jasna strona” i „ciemna strona”. Miks nowego materiału zlecił bowiem osobno dwóm inżynierom dźwięku. „Zamiast wybierać jedną z nich, uznałem, że ludzie powinni poznać całość tej świetnej roboty” – tłumaczył. Są więc dwa albumy „I/O”, w przypadku fizycznych wydań nośniki jasny i ciemny.

Księżycowemu kapaniu piosenek Gabriela towarzyszyła jego pierwsza

od dekady światowa trasa koncertowa licząca pół setki występów. Wiosną objechał Europę, startując w Krakowie – niby wyróżnienie, ale uczył się jeszcze nowego materiału i nie brakowało pomyłek. Jesień spędził w Ameryce Północnej. Ostatnie tak intensywne tournée odbył w latach 1992–93, kiedy w niecałe półtora roku dał ponad 160 koncertów. No, ale wtedy miał lat 43, a nie 73.

Mniejsze dreszcze

Gabriel tylko raz nie miał ochoty wychodzić na scenę, mimo że czekało pod nią prawie 60 tys. podekscytowanych fanów i fanek. Pod koniec 1982 r. pod Londynem po raz pierwszy od rozstania miał znów zagrać z grupą, w której jako nastolatek rozpoczynał swoją właściwą karierę muzyczną. Urodzony dokładnie w połowie wieku, dorastał w wiktoriańskim dworze pod Londynem, od małego śpiewał, grał na pianinie i bębnach. Od ciotki dostał nawet pieniądze na lekcje śpiewu, ale wydał je na pierwsze winyle Beatlesów. Z kolegami z klasy zakładał kolejne efemeryczne zespołiki, wreszcie któryś względnie ustabilizował się w 1967 r. pod nazwą Genesis (trzy lata później dołączył do nich Phil

Collins jako perkusista). Ich debiut był komercyjną kłapą, ale dzięki kolejnym płytom zespół zapisał się w kanonie rocka progresywnego w jego mniej technicznym, a bardziej teatralnym wydaniu.

Członkowie grupy za młodu nasiąknęli rock’ n’ rollem, psychodelią, ale także angielskim folklem, muzyką klasyczną i kościelną. Sam Gabriel ubóstwiał wokalistów soulowych. Teksty Genesis zaludniały postaci niby z mitologii i baśni, ale dziwnie przejęte tym, co tu i teraz. Gabriel opowiadał o tym, jak angielską kulturę wypiera amerykańska, o wojnach londyńskich gangów i patologjach kapitalizmu.

Odejście z Genesis zapowiedział kolegom w listopadzie 1974 r. na początku trasy koncertowej, która miała liczyć ponad sto przystanków. Obiecał, że tournée z nimi dokończy i aż do finału będzie trzymał decyzję w sekrecie. Potem opublikował w prasie muzycznej list pożegnalny. Sugerował, że zespołowa demokracja ogranicza jego kreatywność, chciał też spędzać więcej czasu z rodziną – ożenił się już w wieku 21 lat z córką prywatnego sekretarza królowej Elżbiety II, właśnie urodziła im się córka, a dwa lata później kolejna. Utyskiwał na merkantylny azymut

branży fonograficznej: „Traktowanie muzyki i słuchaczy jako źródła dochodu oddalało mnie od nich. Podczas występów czułem coraz mniejsze dreszcze”. Twierdził, że spełnił się już w roli „archetypicznej gwiazdy rocka” i zaspokoił potrzebę „podobania się młodym paniom”.

„Pete stał się zbyt wielki dla naszego zespołu” – przyznał po latach klawiszowiec Genesis. Dla reszty grupy przedstawianie jej jako „zespołu Gabriela” stało się nieznośne, jego odejście przyjęli więc z ulgą. Media rzeczywiście koncentrowały się na teatralnym show Gabriela: występował z pomalowaną twarzą, na trasie promującej płytę „Fox Trot” zakładał maskę lisa i czerwoną suknię, upodabniając się do postaci z okładki. Później miał już całą kolekcję kostiumów. Za jego plecami projektor wyświetlał na ekranach setki slajdów. W dalszej solowej karierze zdarzało mu się na koncertach śpiewać, wisząc do góry nogami, jeżdżąc na rowerze albo skacząc w środku wielkiej przezroczystej kuli.

W teatralnym duchu zaczął się też ów pierwszy od dawna i już na zawsze ostatni koncert w dawnym składzie Genesis. Na scenę Gabriel wjechał bowiem w trumnie, po czym wstał i obwieścił, że powstał z martwych. „Typowy Peter:

mroczny i jajcarz zarazem” – wspominał później Phil Collins. Przed występem Gabriel przyznał, że przez siedem lat próbował uciec od miana ekszczłonka Genesis. Ale dawnym kolegom był wdzięczny za „hojny gest”, bo pozwolili mu uniknąć bankructwa.

Blżej świata

Bez Gabriela grupa Genesis komercyjnie radziła sobie świetnie. Przed sobą mieli takie przeboje jak „Mama”, a sam Collins w rozwijanej równolegle karierze solowej miał wkrótce osiągnąć jeszcze więcej. Gabriel z kolei wydał już w pojedynkę cztery ambitne i doceniane przez krytyków albumy, łączące inspiracje rockowe z innowacjami elektronicznymi i coraz silniejszymi inspiracjami afrykańskimi. Pieniądzy mu jednak nie przyniosły. W dodatku zadłużył się, organizując pierwszy festiwal WOMAD (World of Music, Arts and Dance), na którym cenieni wykonawcy anglosascy wystąpili wspólnie z muzykami z Afryki i Azji. Przyznał potem, że ambicje przerosły rzeczywistość: „Weszliśmy w to z ewangelicznym fermentem, przekonani, że wszyscy będą podekscytowani tak jak my. A potem zaczął się koszmar. Bilety się nie sprzedawały, długi

rosły. Do tego ludzie widzieli we mnie tłu-
stą krowę, którą można wydoić”.

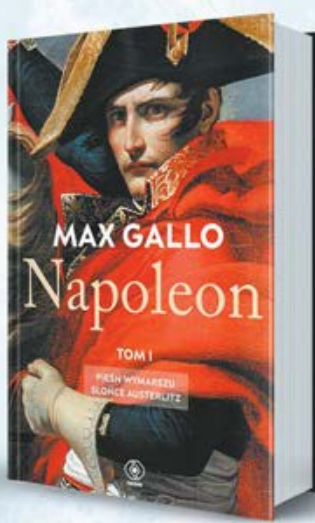
Mimo tego fiaska nie porzucił apostoł-
skiej misji. Popularyzowaniu tak nazwanej
właśnie world music poświęcił znaczną
część dalszej kariery. Promował ją podczas
kolejnych odsłon festiwalu WOMAD, który
nie tylko przetrwał, lecz poza edycją bry-
tyjską miał w kolejnych dekadach odwie-
dzić dziesiątki krajów. Wydawał artystów
afrykańskich i azjatyckich poprzez zało-
żone pod koniec lat 80. studio i wytwórnię
Real World. Perkusista kabowerdeńskie-
go pochodzenia Manu Katché na stałe
zasiadł za bębnami w jego zespole, śpie-
wali z nim senegalski wokalista Youssou
N'Dour czy pakistański Nusrat Fateh Ali
Khan, zdobywając u jego boku globalną
rozpoznawalność. „Z radością stwierd-
zam, że większość sklepów płytowych
ma już dział z muzyką afrykańską. Może
za kolejne 10 lat pojawi się dział world
music” – odpowiadał Gabriel w połowie
lat 80., pytany o swoją popularyzatorską
misję. W tym czasie realizowali ją także
Paul Simon, David Byrne czy Sting, choć
później bywali oskarżani o przywłaszcze-
nie kulturowe i pływicę.

Peter Gabriel szczerości swojego za-
interesowania „światem” dowiódł ▶

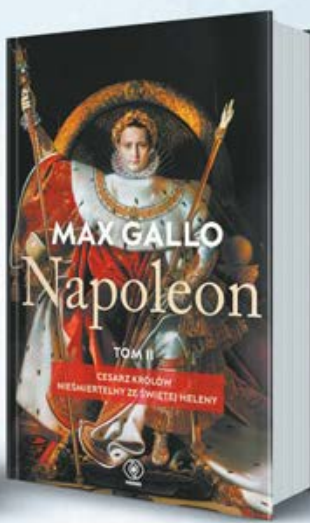
REKLAMA



Portret **wyjątkowej**
kobiety, która nie bała się
walczyć o wolność



Najlepsza fabularyzowana biografia
Napoleona Bonaparte



Najbardziej monumentalna
biografia **twórcy III Rzeszy**



Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.



www.rebis.com.pl



FB/REBIS

► trwającym siedem i pół minuty protest songiem „Biko” z 1980 r. Poświęcił go Stephenowi Biko, pokojowemu aktywiście działającemu na rzecz zniesienia apartheidu w RPA. Po którymś już zatrzymaniu mundurowi pobili go na śmierć. Gabriel w swoim posępnym hymnie przemycił lokalne tematy muzyczne, w tym cytat z utworu zaśpiewanego na pogrzebie Biko. W tekst wplótł wezwanie w języku xhosa: *yehla Moya*; duchu, przyjdź.

Kilka lat później jego głos można było usłyszeć w protest songu przeciw apartheidowi w RPA, w którym zaśpiewali także Bruce Springsteen, Bob Dylan, Ringo Star, Lou Reed i pionierzy hip-hopu. W ramach akcji Band Aid oraz Live Aid zbierał pieniądze na wsparcie dla głodującej Etiopii. Gdy w 1986 r., na czterdzięciu istnienia Amnesty International, gwiazdy popu i rocka pod przewodnictwem U2 objeżdżały USA, by promować postulaty organizacji, był wśród nich i Gabriel – śpiewał oczywiście „Biko”. Finał tournée na stadionie drużyny New York Giants oglądało 55 tys. osób, a za pośrednictwem MTV miliony kolejnych. Co było dla niego o tyle korzystne, że właśnie wydał najważniejszą płytę swojej kariery.

Przyjdź pogadać

Nastoletni Gabriel zajął się muzyką w dużej mierze pod wrażeniem soulu. I to właśnie funkowo-soulowy utwór „Sledgehammer” („Młot”), pierwszy singiel z albumu „So”, wprowadził go do światowego mainstreamu. Piosenką podbił radio, a telewizję – teledyskiem. Wyobraźnią, intensywnością i tempem nawet dziś wyróżnia się wśród zasobów YouTube. Przy jego produkcji wykorzystano animację poklatkową i plastelinową oraz pikselizację. Gabriel spędził 16 godzin, leżąc pod taflą szklą, gdy nagrywano go – klatka po klatce – w wyjętych z szalonego snu sceneriach. Pod koniec klipu tańczył z bezgłowymi kurczakami, meblami i swoimi córkami (młodsza śpiewała z nim później na koncertach). Na rozdaniu nagród MTV teledysk zgarnął dziesięć statuetek, a według magazynu „Time” jest najczęściej emitowanym klipem w historii tej telewizji.

Kolejny singiel Gabriela przyniósł podwójne zaskoczenie. Po pierwsze, po tanecznym przeboju słuchacze usłyszeły balladę o losie brytyjskiej klasy robotniczej za rządów Margaret Thatcher, a konkretnie bezrobotnym mężczyźnie, który stanął nad życiową przepaścią. „Nie poddawaj się, masz przyjaciół, jeszcze nie przegrałeś” – Gabriel śpiewał wspólnie z Kate Bush w refrenie „Don’t Give Up”.

Po drugie, tym razem nakręcono minimalistyczny teledysk w jednym długim ujęciu: Gabriel i Bush trwają w czułym uścisku, a za ich plecami słońce wchodzi w całkowite zaćmienie. Wiele lat później Elton John powiedział, że tej scenie zawdzięcza wytrzeźwienie.

Album „So” w samych USA kupiło 5 mln osób. Gabriel czekał na ten sukces dwie dekady i wydawało się, że za wszelką cenę będzie się starać o utrzymanie uwagi publiczności i mediów. Tymczasem kolejną płytę wydał dopiero po sześciu latach. Powodem nie była praca nad znakomitą ścieżką dźwiękową do „Ostatniego kuszenia Chrystusa” Martina Scorsese (wcześniej nagrał też muzykę do „Ptaśka” Alana Parkera), lecz kryzys rodziny. Rozstał się z żoną – jego romans z aktorką Rosanną Arquette nie był tajemnicą – tracił kontakt ze starszą córką. Wpadł w depresję, rozpoczęła wieloletnią terapię. I właśnie kruchości relacji poświęcił album „Us”, najbardziej intymny w jego dorobku. „Przyjdź pogadać ze mną” – wołał do starszej córki w refrenie „Come Talk to Me”, tym razem w towarzystwie Sinéad O’Connor, z którą zresztą też wszedł w chybotliwy związek. Na krótko przed śmiercią przyznała, że to ona go zerwała ze względu na brak zaangażowania ze strony Gabriela. Ten po raz drugi ożenił się dopiero w 2002 r.

Wydane w 1992 r. „Us” artystycznie nie ustępowało „So”, ale jej komercyjnego sukcesu nie powtórzyło. A na następną płytę „Up” przyszło poczekać całą dekadę. Gabriel angażował się w rozmaite projekty charytatywne, założył organizację Witness, która szkoliła aktywistów w używaniu cyfrowych narzędzi do dokumentowania naruszeń praw człowieka. Laureaci pokojowego Nobla przyznali mu za to później tytuł Człowieka Pokoju.

Angażował się politycznie, stał się jednym z największych prywatnych sponsorów brytyjskiej Partii Pracy. Odwrócił się od niej, gdy rząd Tony’ego Blaira zdecydował o udziale Wielkiej Brytanii w inwazji na Irak. W ostatnich latach Gabriel ostrzegł przed brexitem, wspierał ruch Black Lives Matter, publicznie potępił inwazję Rosji na Ukrainę czy terrorystyczny atak Hamasu na Izrael – jednocześnie apelował o respektowanie praw palestyńskich cywili. Uparcie wzywa do walki z ociepleniem klimatu. Troskę o stan planety i polityki słyshać też na jego nowej płycie.

Wejście/wyjście

Tytuł „I/O” jest skrótem od *input/output* (wejście/wyjście) i ma przypominać, że wszyscy jesteśmy w relacji ze wszystkimi i wszystkim, o zależności człowieka

od natury. I właśnie, aby to podkreślić, postanowił prezentować kolejne utwory w pełni Księżycu. Czemu materiał ukazał się dopiero teraz, skoro tuż po premierze poprzedniczki Gabriel miał dziesiątki gotowych piosenek? „Ludzi można sobą przesycić, nudzą się tobą. Jednym z powodów, dla których nadal jestem w stanie robić to, co robię, są długie okresy nieobecności. Skoro świat obecnie preferuje to, co krótsze i szybsze, mnie ciągnie w przeciwnym kierunku” – tłumaczył Gabriel na łamach magazynu „Mojo”. Zresztą potrafił wziąć cały rok wolnego, aby z córkami zwiedzać świat.

„I/O” bywa sentymentalna: Gabriel śpiewa o śmierci, w tym o swojej zmarłej matce, zachęca do odwagi w gromadzeniu doświadczeń, bo to owocuje cennymi wspomnieniami. Są tu też typowe love songi. Ale artysta dzieli się też pomysłem utworzenia światowej organizacji śledczej, wzorowanej na brytyjskiej Bellingcat. Przypomina o potrzebie pilnowania, by pożyteczny rygor prawny nie zamienił się w narzędzie ciemienia obywateli – nieprzypadkowo jednym z 12 artystów, których poprosił do wizualną oprawę każdej z 12 piosenek, jest chiński dysydent Ai Weiwei. Ten początkowo zresztą odmówił, bo nie miał pojęcia, kto to Peter Gabriel. Waży kwestię religii: z jednej strony głoszą pokój, z drugiej służą terrorystom za podpałkę. Na okładce płyty, tak jak dziewięciu poprzednich, widnieje jego artystycznie zniekształcony portret: głowę obejmują półprzezroczyste, jakby znikające dłonie, co najwyżej jedna może należeć do niego. Patrzy z troską: na nas, w lustro?

Na koncertach materiał z „I/O” grał w całości, co na początku denerwowało część publiczności, bo znała tylko nieliczne utwory. A wielu oczekiwało przeglądu przebojów Gabriela. „Ludzie zwykle woła usłyszeć to, co znają. Artysta woli, by było na odwrót. Dla mnie tak jest ciekawiej” – mówił.

Wiosną ubiegłego roku stawiał się (na widowni) na pożegnalnym koncercie Genesis. „Phil nie był w dobrej formie, ale dali radę” – opowiadał później. Collins rzeczywiście śpiewał na siedząco, a pod koniec występu wraz z kolegami ogłosił, że „będą teraz musieli znaleźć prawdziwą pracę”. Gabriel po wielkim światowym tournée postanowił spędzić pół roku z rodziną. Ale zarzeka się, że potem wraca do studia i będzie się dzielił efektami pracy raczej w rytmie pełni niż dekad. Przynajmniej dopóki nie uzna, że i do tego za bardzo się przyzwyczailiśmy.

MARIUSZ HERMA

Pan Klan

W wieku 81 lat zmarł Marek Ałaszewski, w którego życiu – i wyobraźni artystycznej – muzyka przeplatała się z malarstwem.



© MACIEJ BOCIANSKI/EAST NEWS

BARTEK CHACIŃSKI

Pod koniec czerwca 1970 r. przy okazji festiwalu w Opolu pokazano po raz pierwszy „Mrowisko”. „Widowisko beatowo-baletowe”, jak później definiował z dumą lektor „Polskiej Kroniki Filmowej”. I „pierwszy musical w Polsce”, jak go nazwała autorka choreografii Mariquita Compe-Węśławska. Przedsięwzięcie dość szalone na tamte czasy, zrealizowane dużym nakładem środków – jako jeden z tancerzy błyszczał Gerard Wilk, występujący w Polsce po raz ostatni przed wyjazdem na Zachód i dołączeniem do baletu Maurice’a Bédarta. A przy okazji widowiska dość awangardowe – w sferze wizualnej nawiązywało do ruchu hipisowskiego, na świecie szukano wtedy związków między rockiem a teatrem tańca. Sam Bédart ledwie kilka lat wcześniej pokazał w Awinionie „Messe pour le temps présent”, niebawem współpracę z Pink Floyd miał nawiązać inny wybitny choreograf, Roland Petit.

W roli polskiego prekursora Floydów na opolskiej scenie wystąpił zespół Klan, któremu liderował Marek Ałaszewski. Ta osobna i nowatorska formacja powstała ledwie rok wcześniej, zapowiadając transformację polskiego bigbitu w coś bardziej wyrafinowanego i złożonego. Sygnalizowała to już debiutancka „czwórka” nagrana w studiu Polskiego Radia – piosenkowa, ale uciekająca przed sztafpą historii o miłości w stronę opowieści o kondycji świata i człowieka. Wykonywane w Opolu ’69 „Z brzytwą na poziomki” („My, zielone fauny, na fujarkach grajmy/ My, zielone fauny, niszczy mu nie dajmy/ Obróćmy poziomki, pachnące, soczyste”) mogłoby i dziś być hymnem polskich ekologów, a przebojowe „Automaty” (z frazą „Automaty liczą na człowieka” w tekście Mariana Skolarskiego, który stworzył też libretto „Mrowiska”), nawiązujące do stylu Vanilla

Fudge, zwiastowało nadejście rocka progresywnego w krajowym wydaniu.

Tym ostatnim stało się „Mrowisko” opublikowane w 1971 r. w płytowej wersji, mocno ociosanej z 80-minutowego spektaklu do niecałych 40 minut, ale robiącej wrażenie spójnością i nowoczesnością, a przy tym kapitalnym zgraniem zespołu. Skład się jednak rozsypał, kiedy wstrzymano w ostatniej chwili (podobno wsiadali już do autobusu) zgodę na występ Klanu na Zachodzie. Pozostali muzycy zdecydowali się odkuć finansowo za granicą na własną rękę, grając do kotleta. Ałaszewski, wokalista i gitarzysta grupy, został sam. Próbował kontynuować karierę z Klanem, zapraszając do współpracy różnych muzyków, w tym jazzową sekcję rytmiczną Bronisław Suchanek/Janusz Stefański i znanego z występów z Niemenem gitarzystę Tomasza Jaśkiewicza – w takim składzie zespół zagrał w Helsinkach koncert, którego zapis, odnaleziony po latach przez Michała Wilczyńskiego z GAD Records, ukazał się niedawno na płycie.

Po powrocie do kraju Ałaszewski napisał jeszcze muzykę do „Snu nocy letniej” wystawionego w Operetce Warszawskiej (późniejszy Teatr Roma), gościnnie pojawił się na legendarnej płycie Dżambli „Wołanie o słońce nad światem”, ale działania Klanu zawiesił na wiele lat. Mógł sobie też pozwolić na chwilowe zepchnięcie na drugi plan muzyki jako wykształcony na warszawskiej ASP malarz, z nienaganą techniką i dyplomem u Stefana Gierowskiego. Przez lata te dwie dziedziny sztuki uprawiał na przemian, jedna inspirowała drugą. Plastyczne prace pokazywał w Warszawie, Berlinie i Barcelonie, dwukrotnie trafiały na wystawy w stołecznej Zachęcie, aż czterokrotnie – ostatni raz wiosną tego roku – pokazywano je w Kordegardzie. Pisano o paralelności jego zainteresowań, a nawet malowaniu nutami. A w cyklach obrazów Ałaszewskiego odnajdywano echa impresjonizmu.

Jego muzyka zmieniała się bardziej radykalnie – z dekady na dekadę. Reaktywowany Klan, który wydał w 1992 r. drugą płytę „Po co mi ten raj” (z aż proszącym się dziś o przypomnienie fragmentem: „Bo tak pięknie jest w niebie, chciałbym tam być już”), był już zupełnie innym zespołem: śpiewającym częściowo po angielsku, grającym bardziej akustycznie i w całkiem odmienionym składzie – prócz, rzecz jasna, osoby lidera. Ałaszewski nie podbił tym albumem list przebojów, ale jego piosenki z lat 90. pojawiały się w telewizyjnej „Muzycznej Jedynce”. Choćby podszyty ironią, ale wpisujący się w ciąg melancholijnych refleksji Klanu „Kawiarz”, jeden z pionierskich rapowanych utworów w polskiej telewizji: „Wszystko płynie jak w kinie, wielki show ludności/ Kto mały, ten ginie – tu nie ma litości/ Tu się liczą pieniądze, tu liczy się czas/ Pokój ludziom dobrej woli – kawa dla mas!”.

Trzeci i ostatni album – nagrany już pod szyldem Marek Ałaszewski & Klan, z synem lidera, również Markiem i także absolwentem ASP, w składzie – ukazał się w 2012 r. Muzyka tym razem była mocniejsza, rockowa. W tekstach słychać gorzyc, która pobrzmiwała też w ówczesnych wywiadach z liderem: „Świat jest głupi, ale trzeba jakoś żyć/ Świat jest głupi, nie pomoże mu już nic”. Jak gdyby te obawy, które słychać od pierwszych lat działań formacji, zamieniły się w samospelniającą się przepowiednię. W 2016 r. Ałaszewski przeszedł ciężki udar, na scenę już nie wrócił, retrospektywny album „Chmura nad miastem” zawierający niepublikowane nagrania z lat 1972–94 miał pomóc w zebraniu funduszy na jego rehabilitację. Na wspomnianej już ostatniej wystawie w Kordegardzie pokazał m.in. późny cykl obrazów inspirowanych dziką przyrodą na Bali. Zaczął od metafory mrowiska, skończył na obrazach dżungli, cały czas portretując naturę, ale nie tracąc z pola widzenia natury człowieka. ■

Mea pulpa



czyli kronika popkulturalna
Kuby Wojewódzkiego

W podkaście Onetu Kasia Nosowska wyznała, że 60 proc. kontaktów seksualnych nie dawało jej żadnej przyjemności. 35 proc. pragnęła. Pozostałe 5 proc. to marzenie Janusza Korwin-Mikkego w każdych wyborach.

„Jesteśmy za dużym narodem, z pięknymi tradycjami, aby być tylko małym wagonikiem w niemieckiej lokomotywie”. To złotousty Patryk Jaki. Nie pierwszy raz udowadnia, że ma coś nie po kolei.

Sejmowy kanał na YouTube bije rekordy popularności. Pierwsze posiedzenia X kadencji Sejmu oglądało po blisko 1 mln widzów. To lepiej niż niektórzy patostreamerzy. Duży w tym ma udział Szymon Hołownia. Przyzwyczajony do towarzystwa ludzi bez talentu.

Krzysztof Cugowski, były wokalista Budki Suflera, wyznał, że przez całe swoje życie odprowadzał do ZUS składkę wynoszącą 14 gr miesięcznie. Tym samym jego emerytura jest nikczemna. Zaczynam

rozumieć, jakie kwoty miał na myśli, śpiewając „Ratujmy co się da”.

Polsat planuje emisję programu „Dagmara szuka męża”, w którym znana z „Królowych życia” Dagmara Kaźmierska wraz z synem przemierzą kraj w poszukiwaniu partnera. Pani kierowała kiedyś strzęścielską grupą przestępczą. Wie, co to praca w zespole.

Kolejny propagandzista opuszcza „Wiadomości” TVP. Tym razem jest to reporter Damian Diaz. Ma przejść do Narodowego Banku Polskiego. Dobry ruch. Tam łatwiej można rozmiąć się na drobne.

Media huczą na temat rozstania pary znanych influencerów, czyli Deynn i Daniela Majewskiego. Za dowód wzięto fakt, że na zdjęciu Majewskiego jest szara kapa, a w domu miał zieloną. Kiedyś o karierze decydował talent, dziś tapicer.

Wielki sukces Cezarego Pazury. W styczniu aktor wybiera się do Australii ze swym

programem kabaretowym. Od Sidney po Melbourne. To dobre miejsce na jego żart. Tam drogi też są proste.

We współczesnej wersji utworu reklamującego „Akademię Pana Kleksa”, czyli „W całkiem nowej bajce”, wystąpili m.in. Brodka, Bedoes, Sokół, Mrozu, Rojek i Ralph Kamiński. Brawo. W takim towarzystwie można jeść pastylki, latać i konwersować z krukiem.

MTV Polska rozpoczęła zdjęcia do 20. edycji programu „Warsaw Shore – Ekipa z Warszawy”. Fabuła jest prosta. Trzeba znaleźć takich uczestników, których bałaby się nawet Elżbieta Jaworowicz.

Andrzej Sołtysik po 26 latach pracy w TVN i krótkiej przerwie zawodowej dołączył do Iberionu, gdzie poprowadzi dwa programy internetowe. Przypomina mi się myśl: W dzieciństwie mama bała się, że trafię w złe towarzystwo. A ja w ogóle nigdzie nie trafiłem.

Wojciech Waglewski i Maciej Maleńczuk poprowadzą nową audycję pt. „Koledzy” w Radiu Nowy Świat. Panowie będą rozmawiać o swoich fascynacjach. Z opisu wynika, że dla Maćka będzie to audycja autobiograficzna.

„Razem odNowa” to program TVN, w którym Joanna Krupa i Ewa Chodakowska będą pomagać ośmiu małżeństwom, które wpadły w rutynę. Start w styczniu. Z doświadczenia wiem, że najlepszym sposobem na małżeńską rutynę jest separacja. Najlepiej jeszcze przed ślubem.

„Nikt normalny już nie broni PiS. Tylko trolle, patologia, nieroby i wykołajeńcy”. To Piotr Zelt. Refleksja miałka, by nie powiedzieć prostacka. W zachwyty wpada tylko publicysta WP.PL. Ale to wiadomo. Trolle zwykle występują stadami.

Po 16 miesiącach małżeństwa z polską modelką Magdą Dziun perkusista zespołu Guns N' Roses Frank Ferrer wniósł pozew o rozwód. Frank. Głowa do góry. Francja broniła się zaledwie 53 dni.



© MARCIN SNOPIKOWSKI

Kajetan Kajetanowicz zdobył mistrzostwo świata w WRC2 Challenger, zostawiając za sobą ponad 100 załóg. Pikanterii dodaje fakt, że jechał samochodem Škoda. Strach pomyśleć, czym jechali pozostali.



Głos z trumny

Wciąż pan świętuje dzień niepodległości? – spytała sąsiadka, wskazując na torbę z „Polska jest kobietą” Olbińskiego. – To na zakupy. A święto... Im jestem starszy, tym gorzej znoszę widok dzieci zachwyconych wojskiem, czołgami, karabinami, całą tą militarną oprawą. Ale pewnie ostatnio za dużo oglądam wojnę i czytam o niej – tłumaczyłem się.

– Ale za bajtła chętnie bawił się pan w wojnę. Tylko wydaje się panu, że wtedy był pan głupi, a teraz jest za mądry, żeby chcieć dać się zabić. Ciekawe, co by pan zrobił, jakby Ruscy do nas weszli? – zapytała zjadliwie.

– Mam dość tego wiecznego polskiego dylematu: bić się czy nie bić. Chciałbym wreszcie żyć w państwie, któremu nie grozi anihilacja, które jest za duże i za mocne, żeby upaść; albo ma silnych i wiernych sojuszników. I rząd, który tak uprawia politykę, żeby nie trzeba było się bić – mówiłem zdumiony, że prawie krzyczę.

– No już, już – przytrzymała mnie za rękaw płaszcza. – Nie chciałam pana zdenerwować. Na szczęście nie ma wojny, a gdyby nawet była, to raczej pana nie zrekrutują w pierwszej kolejności.

Urażony wyszarpnąłem rękaw i poszedłem sobie.

Od jakiegoś czasu wolę Orzeszkową. Była mądrzejsza od Prusa i Sienkiewicza. A po części nawet od Giedroycia. Na katastrofę rozbiorów Prus zareagował ucieczką do przodu – w nowoczesność; Sienkiewicz do tyłu – do historycznego parku rozrywki, którym jest „Trylogia”. Giedroyc spojrział odrodzonej Polsce w twarz i pojął, że ucieczka zmieniła się w sztafetę, a pałeczki przejęli Piłsudski i Dmowski. Żaden nie wygrał, co upewniło redaktora w przekonaniu, że Polski pozszywać się nie da i już na zawsze będziemy żyć w cieniu tych dwu trumien. Piłsudskiego, symbolizującej pokusę oświeconego zamordyzmu, który przymusi Polaków do życia w wielokulturowej, tolerancyjnej, liberalnej wspólnocie politycznej. Oraz Dmowskiego, która straszy, że nie będziemy naprawdę niepodlegli, dopóki prawdziwi Polacy nie otrzymają pełni praw do posiadania Polski, kosztem innych narodów zamieszkujących nasz kraj.

A mogło być inaczej. Na chwilę przed tym, jak rozpoczął się wyniszczający nas wszystkich wyścig dwu trumien, Orzeszkowa zorientowała się, że jedyne, co połączyło nas w chwili rozpadu na trzy zabory, to klęska i śmierć. A zatem przyszła polska polityka

będzie nekropolityką albo nie będzie jej wcale. Inaczej mówiąc, czyś nowoczesny, czy tradycyjny, jeśli chcesz rządzić Polską, musisz mieć mogiłę pod stopami,

a w niej swoich nieumarłych. Nic w tym mistycznego ani nawiedzonego. Wszak tylko mesjanizm sprawdził się w objaśnianiu dziejów Polski, która dwukrotnie cudem zmartwychwstała dzięki upadkowi imperiów zaborczych, co pozwoliło nam wywalczyć wolność w roku 1918 i 1989. Niemniej, już na zawsze w polską świadomość zbiorową wpisana jest możliwość nieistnienia, co wpędza nas w chroniczną niepewność, na kogo głosować; inaczej mówiąc, w której trumnie kryje się właściwa odpowiedź na pytanie o polski los?

Błąd! – mówi na to Orzeszkowa. Nie trzeba wybierać. Obie mogą się przydać. Do powieści „Nad Niemnem”, którą zbyt często głupio kwitujemy sucharem o „nudnych opisach przyrody” (pokaż mi, co cię nudzi, a powiem ci, jaki jesteś...), autorka wprowadziła obie trumny. W jednej mogiła leżą występni, lecz pracowici kochankowie Jan i Cecylia; w drugiej powstańcy styczniowi. Nie to jest ważne, że pierwsi są protoplastami pozytywistów, a drudzy romantykami; ani że jedni pracowali dla Polski, a drudzy się o nią bili. Najważniejsze, że w tych grobach leżą razem chłop ze szlachcianką i parobek z panem.

Cokolwiek robicie, macie to robić razem – taką odpowiedź dobiegającą z obu mogił mogą usłyszeć Justyna, Jan i czytelnicy „Nad Niemnem”, jeśli chcą się dowiedzieć od Orzeszkowej, jak żyć w Polsce.

Nekropolityka, czyli wciąganie zmarłych do bieżących spraw publicznych, nie świadczy wcale o dziwaczności polskiej polityki. Dowodzi raczej żywej mądrości wielkich mitów i opowieści literackich, których bohaterowie udawali się pod ziemię, aby poradzić się umarłych. Schodził Gilgamesz, Odyseusz, Orfeusz, Eneasza, Chrystus, Dante... Tkwi w tych wędrówkach zagadkowe przekonanie człowieka, że przyszłość jego życia na Ziemi kryje się pod jej powierzchnią i znana jest tylko zmarłym.

O co byśmy ich dziś zapytali? Obawiam się, że o nic mądrego, skoro pośmiertnie przejmujący głos Wisławy Szymborskiej został użyty, aby doradzać nam zakup produktów firmy jubilerskiej. Naprawdę? O taką radę chcielibyśmy ją poprosić, gdyby znów mogła mówić?

RYSZARD KOZIOŁEK



Serduszka

Mój kolega jest amatorem Powlekanych Serduszek z Nadzieniem Malinowym. (Nazwa produktu zmieniona). Opowieści o kolegach zawsze budzą podejrzliwość. Wspomnijcie o problemach kolegi, a rozmówca sądzi, że to wasza wysypka lub myśli samobójcze. Mogę tylko zapewnić, że znajomy istnieje. Ostatnio zauważył, że Powlekane Serduszka z Nadzieniem Malinowym smakują gorzej niż kiedyś i wyglądają inaczej niż na obrazku. (Nazwa produktu zmieniona).

Ogólnie biorąc, prawie nic nie wygląda jak na fotografiach. Świat czuje się przez to fatalnie. Ma zaniżoną samoocenę. Wstydzi się własnego ciała. To skutek bombardowania widokami lagun, winnic i zachodów słońca. Kiedyś takie pejzaże trzymały się pocztówek i plakatów biur podróży. Czasem mignęły w telewizorze (czarno-białe i zamazane dla osłabienia efektu). Dziś są wszechobecne. Narzucają wyobrażenia na temat budowy geologicznej, ukształtowania terenu i szaty roślinnej. Wystarczy, że świat włączy komputer i ma na tapecie Napa Valley, kolejny kadr z parku Yosemite lub skaliste wybrzeże wyspy Catalina. (Wysoka zawartość kwarcu nadaje tamtejszym plażom szarosrebrzysty kolor, a jedynym zanieczyszczeniem są nasze komputerowe pliki rozrzucone wśród głązów).

Zwykłej hałdzie kopalnianej też trudno konkurować z rozbuchaną pornografią antropocenu. Co znaczy lokalne wysypisko, gdy za porównanie służy cały internet? Panoramy Sebastião Salgado, cmentarzyska okrętów w Bangladeszu lub industrialny pejzaż Czelabińska (w diabelskim świetle fabrycznych płomieni). Tam to dopiero widać, czym jest ekstrakcyjny kapitalizm.

Na zdjęciach świat wyświeśla się w lepszej rozdzielczości. Jest gęstszy. Istnieje bardziej. Między obiektem a reprezentacją powstaje wizualna luka. Coraz głębsza rozpadlina. Ale może nasza frustracja potrzebuje takiego miejsca? Tylko tam, w rozpadlinie, potrafi wykrzyknąć swój sprzeciw. Swój konsumencki protest, tę odwieczną skargę: „Miało być inaczej”, „Przecież nam obiecano!”.

Mój kolega nie jest piniaczem. Rzadko się złości. W każdym razie dopóki starcza nadzienia, a korzeny smak splata się z subtelną owocową nutą zgodnie z obietnicą na etykiecie. Jednak tym razem przeżył swój moment Michaela Douglasa. To z filmu, gdzie Michael Douglas, Wściekły Biały Mężczyzna, dobywa broni i terroryzuje obsługę, ponieważ hamburger wygląda gorzej niż na zdjęciach w menu. Mój wściekły biały kolega sięgnął po nóż. Różną serduszko po serduszku. Skrawał serduszka na cieniutkie plasterki. Zmasakrował całą paczkę i sfotografował każdy kawałek. Nie zapomniał o zbliżeniach na smętne wysięki pulpy.

Potem napisał list do właściciela marki Powlekane Serduszka z Nadzieniem Malinowym. (Nazwa produktu zmieniona). „Z przykrością odkryłem, że ilość nadzienia jest iście śladowa (w załączeniu zdjęcie)” – stwierdził surowo. Wbił im to „iście” jak oścień. Załączył dokumentację sekcji. Zeskanował też fragment opakowania, na którym przedstawiono przekrój serduszka. (A było to serduszko wulkan: cienka warstwa piernikowego ciasta z malinową pieczarą pośrodku. Fontanna nadzienia bryzgała na wszystkie strony).

Właściciel marki zareagował niezwłocznie. Wylewnie podziękował za zaufanie. Zapewnił, że sprawa serduszka leży mu na sercu, a kontrola jakości stanowi najwyższą wartość matki marki. Doniósł, że po otrzymaniu niepokojącego sygnału niezwłocznie wdrożono śledztwo. Skontrolowano kontrpróby. Dochodzenie nie wykazało żadnych nieprawidłowości w procesie produkcji. Możliwe wszelako – dodał właściciel – że miała miejsce chwilowa awaria nadziewarki, brygadzista zaś, no cóż, brygadzista jakoś to przeoczył. Za co należą się przeprosiny.

Kolega był usatysfakcjonowany. Był nawet całkiem zadowolony, dopóki nie pomyślał o brygadziście. A jeśli go teraz wyrzucą za brak nadzoru? Może właśnie się żegna z halą produkcyjną? Milcząca brygada zamiera przy sercarkach, nadziewarkach i powlekarkach. Wszyscy patrzą w podłogę. Wykładzina jest zielona. Trudno oderwać wzrok od ekspresyjnej kompozycji plam śliwkowych, truskawkowych i wieloowocowych. (Słony karmel wycofano rok temu). W zakładzie nie ma związku zawodowego. Nikt nie stanie w obronie kolegi. Ochroniarze prowadzą go do wyjścia. Ochroniarzom jest głupio. Tylko po taśmie jadą niewzruszone serduszka.

Wstrząśnięty kolega postanowił czym prędzej napisać do Serduszek i prosić, żeby nie wyciągano konsekwencji wobec brygadzisty. W zamian gotów był poprzysiąc marce swoją lojalność, nawet gdyby nadzienie miało całkiem zniknąć.

– Nie przejmuj się – pocieszałem – może tam nie było żadnego brygadzisty? Może to zarząd przykręcił nadzienie dla podkręcenia kwartalnego zysku? Takie listy już od dawna pisze sztuczna inteligencja. Pewnie zrobiła badania nad trudnym klientem i wyszło, że zawsze trzeba mu wskazać winnego.

Jakiś czas potem kolega dostał przesyłkę z fabryki. Był to kosz z produktami cukierniczymi, pełen pierniczków, karmelków, czekoladowych ciasteczek, herbatników i pomadek. Wszystko w eleganckich ekspansyjnych opakowaniach. Brakowało tylko Powlekanych Serduszek z Nadzieniem Malinowym. (Nazwa produktu zmieniona).

MARCIN WICHA

Wydarzenia pozbawione znaczenia



Podobno obrady Sejmu stały się jednym z najchętniej oglądanych materiałów na polskim YouTube. Trudno się dziwić, bo niektóre wystąpienia przywodzą na myśl najlepsze czasy polskiego kabaretu. A wejście nowych posłanek przypomina lądowanie UFO na Wiejskiej. Baba-dziwo to mało powiedziane. Zaczęło się aferą, bo Aleksandra Gajewska przyprowadziła synka do Sejmu, czyli do swojego miejsca pracy. Dziecko w bastionie władzy? Jeszcze wyniesie na zewnątrz święte tajemnice! Zważywszy na to, że w tym szacownym gmachu obraca się często słownictwem jak z magła, nasz niepokój bardziej wzbudza wpływ patożyjka na syna posłanki niż odwrotnie.

„A gdyby tak każdy przyprowadzał dzieci do pracy?” – pieklili się komentatorzy i komentatorki, bo jak wiadomo każdy lepiej zna się na wychowaniu niż matka. A czy nie tak właśnie powinno być, kiedy zamknięte jest przedszkole lub zachoruje opiekunka? Czasem zjada nas też logistyka dnia codziennego, która nie pozwala w kilkunastu minutach zmieścić zawiezenia dziecka do placówki, zjedzenia czegoś i zdążenia do pracy. Te codzienne wygibasy zna każda mama. Napisalybyśmy: każdy rodzic, ale w naszej kulturze praca opiekuńcza najczęściej jest w rękach kobiet (polecamy ostatnie badania na ten temat przeprowadzane w czasie pandemii). Zgoda, że fabryka, oddział zakazany czy dochodzeniówka to nie najlepsze miejsca dla nieletnich, ale nie ma przeciwwskazań, by młoda osoba spędziła parę godzin w biurze lub gmachu Sejmu. Tylu posłów puka się tam w czoło i coś krzyczy, że kilkulatek by się ubawił.

Dlaczego obecność dziecka w Sejmie tak drażni? Bo przyprowadziła je tam kobieta. Gdyby pojawił się z nim mężczyzna, erupcji pochwał nie byłoby końca. Nowoczesny tata, a jak małżonce pomaga! Kiedy to samo robi matka, postępuje źle. Po co tam ciąga dzieciaka, powinna z nim siedzieć w domu. W domyśle: tam, gdzie jej miejsce.

Ale sprawa posłanki Gajewskiej to pryszcz w porównaniu z tym, jak ciśnienie skacze komentującym na widok oseska karmionego piersią w miejscu pracy. Chociaż regularnie robią to polityczki na innych kontynentach, łącznie z Nową Zelandią, w Polsce ten widok budzi niezdrowe emocje. Kiedy Daria Gosek czy Marcelina Zawisza karmiły piersią dzieci w Sejmie, narażały się na takie potępienie, jakby co najmniej kradły. Piersi kobiet są w kulturze patriarchalnej tak seksualizowane, że zapomina się o ich pierwotnej funkcji. Gdy je widać, „prowokują”. A one po prostu karmią. I tak ma być.

Mija sto pięć lat od czasu wywalczenia przez kobiety praw wyborczych, a ich miejsce w społeczeństwie wciąż wyznacza konserwatywny męski klub. To stan umysłu, który reprezentują nie tylko mężczyźni, ale i panie. Jest to groźna mentalna skamielina, która nakazuje kobietom stać w tyle, usługiwać mężczyznom i rodzinie. A wszystko to w deszczu frazesów o równości płci.

Ten paradoks najlepiej oddają sceny z walk bokserskich. Dawniej, gdy walczyli prawie sami mężczyźni, organizatorzy zawodów przekazywali jasny komunikat: męczyzna tłucze się na ringu, a na wół gołe dziewczę buja się na obcasach, taszcząc tablicę z numerem rundy. Dziś, kiedy walczą również zawodniczki, obecność roznegliżowanych kobiet w stopniu najwyższym. Co tam robią? Jeśli już ktokolwiek ma paradować na golasa, czemu podczas walk kobiet nie mogą to być porozbierani faceci?

Spieszymy zatem z rewelacją: mamy XXI w., kobiety pracują zawodowo, a nawet profesjonalnie walczą. Rodzą też i karmią dzieci. To niemożliwe, żeby te sfery życia się nie przeplatały. A rodzice to nie roboty, nie zawsze uda im się bezproblemowo połączyć obowiązki. Dlatego dopóki w Sejmie nie będzie żłobka, przedszkola oraz pomieszczeń do karmienia i przewijania, na sali obrad będą pojawiać się dzieci.

Kiedy Sylwia działała w Fundacji Mama, przez lata walczyła o opiekę dla dzieci w większych miejscach pracy (urzędach, uczelniach, korporacjach). Również w Sejmie i Senacie, gdzie oprócz posłanek i posłów pracują setki osób odpowiedzialnych za administrację i inne sektory. Co z tych starań wynikało? Powstało kilka przedszkoli, wcale nie w tych największych miejscach. Panowała zgoda, że to ważne, ale na tym się kończyło.

W Szwajcarii obowiązkowym elementem edukacji dzieci jest zabieranie ich raz w roku do swojej pracy, by pokazać, czym rodzice się zajmują. To lekcja pogładowa, a jednocześnie sposób na budowanie kolejnego poziomu relacji między opiekunami a najmłodszymi. A dla dzieci to frajda zobaczyć, gdzie pracuje mama czy tata i na czym polega jej zawód.

Niezdrowe reakcje wśród komentujących sprawę posłanki Gajewskiej najlepiej komentuje rysunek Marka Raczkowskiego, na którym z radia pada komunikat: „Opinią publiczną w Polsce wstrząsnęła seria wydarzeń pozbawionych znaczenia”. To zdanie cytuje Olga Drenda w książce „Słowo humoru”. Sięga tam też do sformułowania „pornografia oburzenia”, gdzie siła emocji jest niewspółmierna do hierarchii spraw. Moralne wzmożenie i wysokie C wylewają się wręcz z mediów, głównie społecznościowych, wciągając w te burze kolejnych komentujących, bo nic tak nie smaruje maszyny popularności jak emocje. Pytanie, kiedy dołączyć do chóru oburzonych, a kiedy zająć się swoimi sprawami? I czy nie lepiej przeformułować problem, by nie brzmiał: „olaboga, co za skandal!”, tylko raczej: „co można z tym zrobić, konkretnie?”.

Na nasze wyczucie, od rzucania gromów na pracujące matki ważniejsze jest zapewnienie rodzicom godziwych warunków pracy. Ale może to byłoby zbyt proste? Może chodzi o awanturę, o to, by coś się działo?

SYLWIA CHUTNIK I GRAŻYNA PLEBANEK



Nagroda Wajdy dla Turskiego

„Wobec innych laureatów nagrody Andrzeja Wajdy czuję się doboszem, który może ich swoimi słowami zagrzewał do działania – ale może to też ma znaczenie?” – mówi Marian Turski, odbierając w krakowskim Muzeum Sztuki i Techniki Japońskiej Manggha nagrodę im. Andrzeja Wajdy. Laur został ustanowiony przez Fundację Kyoto-Kraków w 2018 r. Do tej pory uhonorowani zostali Jerzy Owsiak, Adam Wajrak, Janina Ochojska, Dariusz Popiela i Anna Dąbrowska. Marianowi Turskiemu przyznano ją „za wybitną działalność w duchu solidarności społecznej”.

Mówiła Krystyna Zachwatowicz-Wajdowa: „Mamy nadzieję, że nasze wybory zaakceptowałby Andrzej Wajda. Działalność laureatów jest znakiem sprzeciwu wobec antysemityzmu, nacjonalizmu, nietolerancji – tak jak twórczość Andrzeja. (...) W tym roku mamy zaszczyt wręczyć naszą nagrodę Marianowi Turskiemu. Dla mnie jego słowa: »Auschwitz nie spadł z nieba« są drogowskazem w życiu”.

Mówił prof. Andrzej Zoll w laudacji, że to Marian Turski wprowadził do światowego obiegu publicznego dwie prawdy: „Auschwitz nie spadł z nieba” oraz „Nie bądź obojętny”. Odwoływał się przy tym wprost do niedawnej polskiej rzeczywistości:

„naruszania reguł państwa prawa i konstytucji przez Andrzeja Dudę i parlament zdominowany przez PiS. „Uczył nas Pan rozpoznawania tego, co dobre, jak się bronić przed złem, rozpoznawania XI przykazania. Jest Pan dla nas drogowskazem – i za to dziękujemy”.

Przemówił wreszcie Marian Turski (z właściwą sobie klasą poświęcając większość wystąpienia Andrzejowi Wajdzie, co zostało docenione łzami wzruszenia Krystyny Zachwatowicz i komentarami publiczności). Na początku poprosił zgromadzonych, by wybrali najszcześniejszy ostatnio dzień – okazał się nim dla większości 15 października. Mówił: „Myślałem o tym i było mi okropnie smutno, że – przecież moje dni są już liczone – odejdę, kiedy będą triumfowali szubrawcy”. Zdradził, że w tym szczęśliwym dniu pomyślał o swoim równolatku – Andrzeju Wajdzie. Po czym opowiedział, jak poznał Wajdę. I cytował jego słowa o Polsce i Polakach z książki „Andrzej i Krystyna. Późne obowiązki”. Takie choćby: „Razem z wolnością przyszły wszystkie jej cechy. Nie tylko te dobre, ale i te ciemne – ponure widma nacjonalizmu i ksenofobii. Ale wierzę, że wygra w Polakach ich jasna, mądra strona”. KB

Nominacje dla naszych autorów

Z satysfakcją odnotowujemy, że dziennikarze POLITYKI **Anna Dąbrowska** i **Norbert Frątczak** zostali nominowani



do Nagrody Dobrego Dziennikarza 2023 w kategorii publicystyka za artykuł „Złoty chłopiec PiS” (POLITYKA 22) – o kulisach dymisji Piotra Mazurka. O nagrodę w tej kategorii walczy też tekst naszego współpracownika Andrzeja Lubowskiego „Fałszowana demokracja” (POLITYKA 27) – o tym, jak Sztuczna inteligencja nauczyła się oszukiwać. Organizatorem plebiscytu jest Instytut Dyskursu i Dialogu, zaś nominującymi dziennikarze i medioznawcy z najlepszych uniwersytetów w Polsce. Zwycięzcę wyłonią czytelnicy i widzowie. Głosować można poprzez stronę IDiD. Nagrody zostaną wręczone 14 grudnia 2023 r. podczas konferencji „ZakopMY topory wojenne w mediach” w Warszawie.

REKLAMA



Już w kioskach
i na
sklep.polityka.pl

John F. Kennedy • Martin Luther King • Aldo Moro
• Indira Gandhi • Hajle Syllasje • Iechhak Rabin i inni

Polityczne skrytobójstwa



Śłuchaj także podcastu „POLITYKA o historii” na [polityka.pl/podcasty](https://www.polityka.pl/podcasty)
Zapraszamy na profil pełen historii: <https://www.facebook.com/projekt-pulsar>



POLITYKA numerem 1

Milo nam poinformować, że według najnowszych danych spółki Polskie Badania Czytelnictwa także w trzecim kwartale 2023 r. POLITYKA odnotowała najwyższą sprzedaż spośród wszystkich tygodników opinii w Polsce. Z wynikiem 80,5 tys. średnio sprzedanych wydań była tym samym najchętniej kupowanym tytułem w segmencie.

Na drugim miejscu w zestawieniu – ze średnią sprzedażą na poziomie

62,9 tys. egzemplarzy – znalazł się tradycyjnie „Newsweek”. Pozostałe tygodniki społeczno-polityczne zostały daleko w tyle i żaden z nich nie przekroczył granicy 30 tys. egz. Pismo braci Karnowskich „Sieci” odnotowało sprzedaż na poziomie 28,1 tys. egz., tygodnik „Do Rzeczy” sprzedawał średnio 27,1 tys. egz., „Tygodnik Powszechny” – 21,3 tys. egz., natomiast „Gazeta Polska” – 17 tys. egz.

POLITYKA jest także liderem pod względem sprzedaży wydań

cyfrowych, tzw. e-wydań. Nasz tygodnik sprzedawał w trzecim kwartale 2023 r. średnio 24,1 tys. egz. Polityki Cyfrowej. Drugie miejsce i tu przypadło „Newsweekowi” – 18,6 tys. egz. Żaden z pozostałych tytułów nie przekroczył natomiast progu 8 tys. średnio sprzedanych egzemplarzy.

Również w poszczególnych miesiącach trzeciego kwartału 2023 r. POLITYKA, osiągając najwyższą średnią sprzedaż, pozostawała na pierwszym miejscu tygodników opinii.



© TOMASZ KIEKOWSKI

W tym roku będą z nami astrofizycy Agnieszka Pollo i Łukasz Tychoniec, neurobiolog Mateusz Kostecki, ekonomistka Karolina Safarzyńska, geolog planetarna Jakub Ciążela, fizyk matematyczny Tomasz Miller, geolożka planetarna Anna Łosiak, filozof Sebastian Szymański, biolog Piotr Panek, amerykański Paweł Frelik oraz Maciej Lorenc z Polskiego Towarzystwa Psychodelicznego. W nietypowej dla siebie roli wystąpią też autorki pulsara. O ciekawych naukowych tematach nie pisać, a mówić będą weterynarka Marta Alicja Trzeciak i archeolożka Agnieszka Krzemińska.

Na rozmowy o ludziach i innych zwierzętach oraz o rzeczywistościach ziemskiej, cyfrowej i kosmicznej zapraszamy w sobotę i niedzielę (9 i 10 grudnia) na Scenę pulsar. Szczegółowy program: slaskifestiwalnauki.pl oraz projektpulsar.pl

REDAKCJA

Pulsar zaprasza do Katowic 9 i 10 grudnia

Na co dzień spotykamy się z nimi w przytulnym studiu pulsara. Siedzimy przy niewielkim stole i rozmawiamy – przede wszystkim o nauce, ale też o kulturze, sztuce. Albo o wszystkim jednocześnie. W jeden z grudniowych weekendów jednak jest inaczej: pakujemy się, wsiadamy do pociągu (nie byle jakiego) i jedziemy do Katowic. Tam przez dwa dni spotykamy się z gośćmi naszych podcastów na 7. Śląskim Festiwalu Nauki Katowice.

„Nowotwory” nie są drapieżnym czasopismem

Wartykule Wojciecha Mikołuszki „Drapieżniki atakują” (POLITYKA 41) znakomity polski periodyk naukowy o wieloletnich tradycjach „Nowotwory” został zaklasyfikowany jako tzw. czasopismo drapieżne. Stało się tak w sposób całkowicie niezamierzony, niecelowy, przypadkowy. Za tę niezręczną pomyłkę bardzo przepraszamy.

Administratorem Państwa danych osobowych jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa dane osobowe będą przetwarzane w celu udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA, chyba że Państwo zastrzegły ich nieujawnianie (art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6
02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA

tel. 22 451-61-33, 451-61-34;
tel./faks 22 451-61-35

ADRES INTERNETOWY www.polityka.pl

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00, tel./faks 22 451-60-10

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Joanna Solska, Mariusz Janicki,
Wiesław Władysław

Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, tel. 22 451-60-03
Łukasz Lipiński (wydania cyfrowe)

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, tel./faks 22 451-61-37

e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi

odpowiedzialność w granicach wskazanych

w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl

Infolinia: tel. 67 210 86 30,

e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Grabowska,

tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa

Infolinia: tel. 22 336-79-16,

e-mail: cyfrowa@polityka.pl

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA

BGZ BNP Paribas S.A.

18 1750 0009 0000 0000 1004 2763

SWIFT: RCBWPLPW

Sprzedż bezumowna

numerów aktualnych
i archiwalnych po cenie niższej
od ustalonej przez Wydawcę
jest zabroniona, nielegalna
i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie
artykułów, w tym artykułów
na aktualne tematy polityczne,
gospodarcze i religijne
opublikowanych w POLITYCE
jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu

zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Druk Quad

www.izbaprasy.pl

PBC

pasjon proces technology

PRINTED IN POLAND



www.izbaprasy.pl

lepa

pasjon proces technology





Męskie smutki

Rozmowy z mężczyznami na temat dbania o zdrowie psychiczne przypominają często rozmowy z nałogowymi palaczami.

Przez wiele lat panowało przekonanie, że na depresję chorują przede wszystkim kobiety. W latach 80. i 90. na podstawie obserwacji poczynionych na Gotlandii, gdzie z powodu kryzysu gospodarczego gwałtownie rosła liczba samobójstw, zaczęto dostrzegać występowanie „męskiego zespołu depresyjnego”



Marcin Grudzień
– psychoterapeuta i trener oraz badacz męskości. Współpracuje z Fundacją Masculinum oraz Pracownią Bliskich Relacji, prowadzi warsztaty i szkolenia dla mężczyzn.

z objawami różniącymi się od typowych objawów depresyjnych spotykanych u kobiet. Wciąż jednak zbyt mało wiadomo na temat tego, na ile można łączyć wymieniane powszechnie objawy „męskiego zespołu depresyjnego”, takie jak nadmierna drażliwość, wybuchy agresji, ryzykowne zachowania, takie jak szybka jazda samochodem, sięganie po używki czy forsowne ćwiczenia fizyczne, wyłącznie z chorobową depresją, a na ile również z innymi zaburzeniami.

Rację ma Jed Diamond, dyrektor i założyciel MenAlive, międzynarodowego programu zdrowia psychicznego mężczyzn, który od lat pisze o dekadach zaniedbań w diagnozie i leczeniu amerykańskich i brytyjskich mężczyzn oraz o braku kwestionariuszy w wyraźny sposób łączących objawy „męskiego zespołu depresyjnego” z ryzykiem samobójstw mężczyzn. Dla wielu mężczyzn skuteczną próbą samobójczą jest coraz częściej, niestety, tragicznym sposobem przerywania długotrwałego, nieleczzonego cierpienia. Potwierdzają to amerykańskie i brytyjskie badania oparte na wywiadach z rodzinami osób, które popełniły samobójstwo.

W Stanach Zjednoczonych każdego roku na depresję zapada 6 mln mężczyzn. Mężczyźni cztery razy częściej popełniają samobójstwa niż kobiety. Patrząc na liczby sprzed pandemii, mężczyźni stanowią 75 proc. samobójców w Kanadzie. Liczba samobójstw wśród rdzennych mieszkańców tego kraju jest dwukrotnie wyższa od średniej krajowej. Podobne statystyki można znaleźć w wielu krajach Unii – łącznie z polskimi danymi, plasujący nas w smutnej czołówce krajów unijnych, gdzie 12 na 15 samobójców to mężczyźni. Z tą tylko różnicą, że w naszym kraju działania na rzecz zdrowia psychicznego mężczyzn ograniczone są do minimum, żeby nie powiedzieć – nie ma ich wcale.

Uczciwie trzeba jednak przyznać, że rozmowa z mężczyznami na temat wagi zdrowia psychicznego przypomina rozmowę z nałogowym palaczem o tym, że jego złe nawyki mogą skrócić życie o wiele lat. „Nikt nie może mi mówić, co mam robić” lub „To moje życie i będę robić, co chcę” – słychać najczęściej w odpowiedzi. Wypaczona wersja surowego indywidualizmu w stylu Johna Wayne’a to tak naprawdę forma surowej ignorancji.

Doktor Herb Goldberg w swojej książce „The Hazards of Being Male: Surviving the Myth of Masculine Privilege” pisze: „Mężczyzna zapłacił wysoką cenę za swój męski »przywilej« i władzę. Stracił kontakt ze swoimi emocjami i ciałem. Postępując zgodnie z zasadami męskiego planu gry, niszczy siebie – emocjonalnie, psychicznie i fizycznie. (...) Mężczyźni często są odcięci od uzdrawiającej wartości przyjaźni, a problem nasila się wraz z wiekiem. Starsi mężczyźni stają się coraz bardziej izolowani. Mają tendencję do odpływu i wędnięcia, a gdy to się dzieje, unikają zdrowych rozwiązań”. W Polsce z kolei kultura zdaje się wybaczać więcej mężczyznom – oni mają prawo być agresywni czy sfrustrowani. I już sam ten fakt może wskazywać na zaburzenia depresyjne. ■

Smartfony nie dodają urody

TECHNO

Łowcy okazji czyhają co roku na Black Friday, zakupową tradycję, która rozrosła się i w zasadzie trwa już cały listopad, a nie jeden dzień po amerykańskim Świącie Dziękczynienia. Cyber Monday, czyli poniedziałek z promocjami na produkty elektroniczne (w Polsce wypadł 27 listopada), też zwykle trochę się wydłuża. Wszystko to rzecz jasna sprytny marketing. Z podobnych sztuczek korzystają twórcy smartfonów, którzy w tym samym czasie przekonują, że nowy model po prostu nam się należy, choć „stary” wcale długo nie posłużył. Cóż, ponoć żywot smartfona to zaledwie dwa, trzy lata. Nowe wersje kuszą też zwykle lepszymi parametrami aparatów, a dziś tego głównie oczekujemy: doskonałej jakości zdjęć i filmików.

I ten atut właśnie staje się naszym przekleństwem – aparaty są po prostu za dobre. „Najpierw zaczęłam kwestionować swój wygląd. A potem samo urządzenie”, pisze Caroline Mimbs Nyce na łamach „The Atlantic”, która wykonała serię selfie i nie była nimi zachwycona. Smartfon wydobyl wszystkie jej niedoskonałości, zmarszczki, przebarwienia, gołym okiem zwykle niewidoczne. Autorka „problem” zbadała i okazał się powszechny, użytkownicy na świecie skarżą się na to samo. Czyżby smartfony ujmowały nam urody? Social media podsuwają nam filtry do szybkiej przeróbki (tj. poprawki) zdjęć, są aplikacje, które sprawiają, że wyglądamy korzystniej, podobnie programy do wideokonferencji czynią nas na wizji zwartymi, wypoczętymi i gotowymi do pracy. A smartfony na odwrót: żaden pryszcz się nie ukryje.

Rzecz w tym, że aparaty w najnowszych modelach mają rozdzielczość nawet 24 megapikseli (i więcej) oraz kombinację obiektywów, których nie powstydziłby się profesjonalny



aparat fotograficzny. Przy takich właściwościach można by wykonać nie najgorszy billboard, a co dopiero selfie. Najnowszy **iPhone (numer 15)** ma w wyposażeniu też czip A17 Pro, żeby dało się wychwycić wszystkie detale, a nawet zagrać w gry wideo bez osobnej konsoli.

Czy modne zdjęcia selfie odejdą przy okazji do lamusa? A może wkroczy śmieiej branża kosmetyczno-estetyczna? Cytowana Caroline Mimbs Nyce pociesza, że z oprogramowaniem smartfona jest jak ze szkłem powiększającym – przecież wcale tak nie wyglądamy, wszystko jest kwestią perspektywy. A upstrzone detalami zdjęcie skóry może się przydać, dajmy na to, w trakcie teleporady.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA

Sklejka znaczeń

SŁOWO

Niedługo po wyborach występowała w Warszawie niezbyt zaangażowana politycznie brytyjska grupa New Road, grająca wyrafinowaną muzykę dla dość młodej i grzecznej publiczności. Tym łatwiej było usłyszeć w sali samotny głos, który co rusz coś dopowiadał, w sposób mało wyszukany. Na hasło „Bis!” – „Je...ć PiS!”, a po chwili refleksji: „A, już wyje... ny”. „Zamknij ryj” – usłyszał w odpowiedzi i natychmiast odparował: „Ty też się sklej”. I o ile można mu odmówić kultury, trudno odmówić orientacji w najmłodszej polszczyźnie. „Sklej się” – wcześniej słyszane m.in. w formach „sklej bułę” lub „sklej wary” – to niegrzeczne wezwanie, by – jak powiedziałby francuski prezydent, tylko trochę kulturalniej – wykorzystać okazję do bycia cicho.

Ciekawe, że jeszcze niedawno „kleić” było synonimem czajenia, kminienia i kumania, oznaczało w młodej polszczyźnie tyle, co „rozumieć”. „Jak miasto śpi, to my nie śpimy, kleisz?” – rapował Sokół, a szczególnie sprawni skaterzy „kleili” akrobatyczne tricki na deskorolce. Wyraz stał się jednak tak pojemny, jeśli chodzi o skojarzenia, że zaczęły się wokół niego

pojawiać znaczenia negatywne – choćby „odklejka” (aktualnie w finałowej dwudziestce Młodzieżowego Słowa Roku), oznaczająca oderwanie od rzeczywistości lub mówienie głupot. Samo „skleić się” w znaczeniu „zamknąć się” mogło się jednak wziąć od taniego i okrutnego dowcipu sprzed lat, w którym ojciec mówi do syna: „Przynieś babci krem do ust”. „Ale który, tato?”. „Ten z napisem »Kropelka«”. To czasy, przypomnijmy, gdy telewizja pokazywała reklamę z hasłem „Co Kropelka skleji, skleji, żadna siła nie rozklei”.

W jaki sposób zakleiliśmy więc stare znaczenie nowym? Skąd pomysł, żeby mówić o sklejanu właśnie wtedy, gdy rozmowa się nie klei? Być może chodzi o to, że skoro mowa jest srebrem, a milczenie złotem, to najwyższym wyrazem nabrania orientacji (czyli klejenia, rozumienia) może być nabranie wody w usta.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Mnie nie licz, są odklejeni od ramy,
Takiego Adama i Ewy Bareja nie skleiliby nawet naćpany
Sokół, Koniec gatunku, 2019 r.
nie skleiliby = nie wymyśliłby
odklejeni od ramy = oderwani od rzeczywistości



Sezonowy symbol statusu

Jeśli na przeciętny sweter i dżinsy narzucisz doskonały płaszcz, wyglądasz jak milion dolarów. Jeśli jednak na garnitur z kaszmiru założysz słaby płaszcz, całość wyglądać będzie lichy, bo to on jest frontmenem stylizacji.

Tak uważa Patrycja Cierocka, szefowa artystyczna Patrizii Aryton, marki specjalizującej się od początku lat 90. w wełnianych płaszczach. I trudno się z nią nie zgodzić, choćby rozglądając się po ulicy. Dlaczego to właśnie ten element garderoby jest dziś symbolem statusu, co najmniej na równi z kosztowną torebką czy zegarkiem? I co sprawia, że rozpala zmysły tak klientek, jak i kreatorów?

Weźmy kolekcje na obecny sezon. „Vogue” wymienia aż 11 najmodniejszych fasonów płaszczy tej zimy. Wśród nich – długie do ziemi, te o klapach wieczorowego żakietu, zapinane na drewniane kołki niczym budrysówki, w lamparcie wzory, pikowane i szlafrokowe. Przy tyłu formach i rodzajach odzieży wierzchniej płaszcz – wydawałoby się przeżytek w dobie dążenia do maksymalnej wygody kosztem klasycznej elegancji – pozostaje *must have*. Czyli obowiązkowy.

– Jego siła wiąże się z poczuciem bezpieczeństwa. Także w rozumieniu odgródzenia się od zewnętrznego



Michał Zaczyński

– dziennikarz lifestylowy, ekspert branży mody, autor podcastów i bloga michalzaczynski.com, wykładowca ASP w Łodzi.

świata – tłumaczy Diana Jankiewicz, specjalizująca się w płaszczach absolwentka mediolańskiego Istituto Marangoni. Istotnie, w sam raz na obecne niepewne czasy.

– *Dobrze skrojony i duży dodaje dostojęstwa. Możesz założyć doń dres na trening i wyglądać elegancko. Jest wielofunkcyjny* – tłumaczy Anna Załucka-Kuczera, projektantka awangardowych trendów. Jej pierwszy, uszyty na potrzeby nagradzanego później dyplomu w krakowskiej uczelni SAPU, był długi do ziemi, wąski w ramionach i obszerny w dolnej części. Inspirowany płaszczami pilotów brytyjskich z czasów drugiej wojny światowej, do dziś sprzedaje się w rozmaitych wersjach. Choć płaszcz to rzecz ambitna, skomplikowana w szyciu i wykończeniu oraz droga w produkcji. Dla przykładu w Patrizii Aryton płaszcz zszywany jest w całości na lewej stronie. Zostawia się tylko niewielki otwór w bocznym szwie rękawa, by przez niego wywrócić później płaszcz na prawą stronę. W przypadku płaszczy z delikatnych wełen grozi to uszkodzeniem przędzy, jednak dzięki temu swoistemu nicowaniu całość jest wykończona perfekcyjnie.

Ale to nieczęste, co dotyczy tak wykonania, jak i samego materiału, który w przypadku płaszcza odgrywa decydującą rolę w jego cenie. W popularnej europejskiej sieciówce na blisko dwieście płaszczy w ofercie zaledwie jeden model wykonany jest ze stuprocentowej wełny; większość z poliestru. Choć czego oczekiwać, gdy marka kusi cenami już od 190 zł? A to i tak sporo, bo na azjatyckich platformach zakupowych da się znaleźć pięciokrotnie (!) taniej. W drugą stronę – *Sky is the limit*. W warszawskim Vitkacu skórzany trend od Saint Laurenta to wydatek 40 tys. zł, w londyńskim Harrodsie zaś za model z kaszmiru marki The Row trzeba zapłacić 89,5 tys. zł.

Uwielbienie dla płaszczy jest sprawą uniwersalną. – *W krajach, w których teoretycznie płaszcz jest zbędny, bo wystarczy mięsisty szal lub kardigan, popularny jest doubleface, czyli superlekki płaszcz z „podwójnej” tkaniny i bez podszewki. Wówczas pod taki płaszcz wkłada się nawet sukienkę na ramiączkach* – wyjaśnia Patrycja Cierocka. W Polsce, wraz ze zmianami klimatycznymi, też stawiamy na lżejsze modele. I wracamy do prostoty: bazowych kolorów i minimalistycznych form. – *Kiedyś modele musiały mieć nietuzinkowy element: broszkę flauszową, guziki Svarowskiego czy falbanę na stójce* – wspomina Cierocka. Dziś jej zdaniem klientki kierują się rozsądkiem i częściej kupują takie modele, które za kilka lat łatwiej będzie sprzedać.

A pomijając sam fason, opłaca się kupować tylko te jakościowe, świadczące o dobrym rzemiośle. Diana Jankiewicz w swojej nowej kolekcji proponuje m.in. model Pink Crush, uszyty z Harris Tweedu z certyfikowanej wełny ręcznie tkanej na wiekowych krosnach na szkockich Hebrydach oraz z austriackiego lodenu, używanego niegdyś w strojach alpinistów. – *W październiku byłam na targach Blickfang i na ulicach Wiednia zobaczyłam płaszcz z mojej kolekcji z 2016 r. Zagadałam do właścicielki i okazało się, że nosi go od siedmiu lat co sezon. To dla mnie największy komplement*.

Co oznaczałoby jednak, że dobrego płaszcza nikt szybko się nie chce pozbyć. ■

Projektant, zawód z przeszłości

D I Z A J N

Przekonani, że na ich oczach rodzi się nowy zawód, polscy projektanci 60 lat temu założyli stowarzyszenie. Działa do dziś, choć nie przypadkiem już pod inną nazwą.

Stowarzyszenie Projektantów Form Przemysłowych powstało 11 marca 1963 r., a od bieżącego – jubileuszowego – roku działa jako Stowarzyszenie Projektowe SPFP. Zmiana odpowiada na potrzebę inkluzywności – organizacja zrzesza wszak nie tylko i nie przede wszystkim mężczyzn – lecz i fakt, że projektowanie nie musi już być przemysłowe. 60 lat temu było zupełnie inaczej.

Kiedy na przełomie lat 50. i 60. XX w. młode pokolenie projektantów rozpoczęło dyskusję na temat „nowego” zawodu, dizajn był zakorzeniony głównie w rzemiośle i fabrycznej produkcji rzeczy kojarzonych bardziej ze sztuką użytkową niż projektowaniem przemysłowym. W Wielkopolsce produkowano meble, na Śląsku szkło i ceramikę, w Łodzi i okolicach – tkaniny i odzież. Te obszary stały też w centrum uwagi powstałego w 1950 r. Instytutu Wzornictwa Przemysłowego.

Gdy po politycznej odwilży 1956 r. fabryki zaczęły produkować coraz więcej urządzeń i maszyn, projektanci – głównie z Warszawy i Krakowa – zorientowali się, że dizajn dla nowych technologii wymaga zupełnie innych umiejętności i metod niż tworzenie krzesła czy serwisu stołowego. Oprócz wrażliwości artystycznej konieczne było opanowanie takich zagadnień jak kontekst społeczny, ekonomia produkcji, materiały i ich obróbka, standaryzacja, automatyzacja czy bezpieczeństwo i higiena pracy.

Młode pokolenie nieufnie traktowało sztuki wizualne, które były dotąd głównym punktem odniesienia dla projektantów. Jeszcze kilka lat wcześniej, gdy w ramach odwilżowego karnawału nowoczesności projektowano ceramikę zdobioną abstrakcyjnymi wzorami i płynnie powyginane meble, dizajn przypominał rzeźbę (formy inspirowane np. twórczością Henry’ego Moore’a) lub malarstwo (ornamenty inspirowane abstrakcją). Dystansując się wobec sztuki, nowi projektanci zaczęli widzieć siebie jako organizatorów kultury materialnej kraju. Zadanie wymagało odpowiedzialności społecznej i znajomości potrzeb użytkowników, a nie właściwej dla kapitalizmu służby na rzecz zysku firm.

Przekonani, że na ich oczach – i dzięki ich pracy – właśnie rodzi się nowy zawód, projektanci postanowili założyć stowarzyszenie. Jego celem było m.in. dbanie o wysoki poziom dizajnu i własne kwalifikacje czy zapewnianie „właściwego udziału tej dziedziny w tworzeniu humanistycznych wartości w warunkach rozwoju przemysłu i w kształtowaniu kultury materialnej kraju”. Słowem, chodziło o to, by przemysł korzystał



1



2



3



4

1 Zestaw naczyń dla przedszkola aut. Barbary Fribes.

2 Butelki aut. Zofii Galińskiej.

3 Tkanina dekoracyjna aut. Danuty Paprowicz-Michno.

4 Krzesło z pulpitem aut. Marii Chomentowskiej.

z umiejętności i pracy projektantów, a oni – ze znośnym i rozmysłem tworzyli otoczenie człowieka.

Podobne tendencje pojawiały się wśród lewicujących projektantów po drugiej stronie żelaznej kurtyny. Szczególnie inspirowane były dla rodzimych dizajnerów kontakty z Wyższą Szkołą Wzornictwa (HfG) w Ulm (RFN). To tam pojawiły się słynne proste i funkcjonalne projekty dla firmy Braun, tworzone głównie przez Dietera Ramsa. Pedagodzy niemieckiej uczelni jeszcze bardziej niż ich polscy koledzy dystansowali się wobec sztuki i rzemiosła, podkreślając rolę badań naukowych i technologii. Odcinali się zatem od tradycji Bauhausu, z której szkoła wyrastała, łączącej dizajn z twórczością artystyczną i rękodzielną.



Agata Szydłowska

– historyczka dizajnu, kuratorka, wykładowczyni, autorka książek i artykułów o projektowaniu w kontekstach ludzkich (społeczeństwo, polityka) i nie ludzkich (środowisko, planeta).

Wskład pierwszego zarządu SPFP weszli m.in. Ryszard Bojar, współtwórca identyfikacji wizualnej CPN, Andrzej Pawłowski, współzałożyciel Wydziału Form Przemysłowych krakowskiej ASP, czy Andrzej Jan Wróblewski, pierwszy dziekan Wydziału Wzornictwa Przemysłowego ASP w Warszawie, współtwórca m.in. projektu komputera AKAT-1. 60 lat temu projektanci poświęcali dużo czasu i uwagi dyskusjom o definicji tej dziedziny. To nadal się dzieje. Osoba parająca się dizajnem dziś niekoniecznie „wykonuje przedmioty”, bo projektuje też doświadczenia czy usługi. A wyzwania związane z katastrofą klimatyczną wiążą się dodatkowo z troską o zużycie surowców, ślad węglowy, odpady czy utylizację. Dlatego często najbardziej odpowiedzialną decyzją projektową jest powstrzymanie się od tworzenia nowej rzeczy. Sami dizajnerzy coraz częściej widzą się w roli mediatorów między różnymi obszarami wiedzy. Ten szeroki, interdyscyplinarny horyzont projektowania jest wspólny dla wzornictwa sprzed 60 lat i dizajnu dziś. ■



PODRÓŻE

Taniec dla wszystkich

Katedra, Alkazar i pokaz flamenco – to punkty obowiązkowe na liście większości osób odwiedzających Sewillę. Katedrę i Alkazar znaleźć nietrudno, ale za dobrym flamenco warto się uważnie rozejrzeć.

Scena jest mała, ledwo mieszczą się na niej trzy osoby. Gitarzysta wcisnął się w kąt, śpiewak stoi przyklejony do ściany. Całą resztę mikroprzestrzeni zagarnia tancerka. Rąbek różowej sukni w czarne grochy podciągnęła wysoko i przyciska dłonią do piersi, nogami stuka w niewiarygodnie szybkim tempie o drewnianą podłogę, a wolną ręką kreśli w powietrzu zamaszyste kształty. Gdy puści sukienkę, falbany będą niemal muskać twarze widzów siedzących tuż przy scenie. Na widowni sewilskiego tablao (czyli lokalu, w którym prezentowany jest andaluzyjski taniec) La Milonga też niewiele miejsca, raptem na kilka stolików z miniaturowymi krzesłami. I jest to ogromna zaleta tego lokalu: muzykę czuje się tu każdym kawałkiem ciała, a bailaora, jak nazywa się tancerkę flamenco, jest dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Pośród widzów sami obcokrajowcy. – *To oni utrzymują flamenco przy życiu* – powiedział mi kiedyś ze smutkiem Tito, nauczyciel gry na gitarze. Cudzoziemcy



Julia Zabrodzka
– fotografka i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od dwóch lat jako wolontariuszka wyprowadza psy w warszawskim schronisku Na Paluchu.

zapełniają też większe sale komercyjnych *tablaos*, których w mieście nie brakuje. Wokół katedry, na starówce, w Trianie – gdzie niegdyś biło serce świata flamenco – można spotkać niezbyt nachalnych naganiaczy zapraszających na spektakl. Jeśli damy się skusić, prawdopodobnie nie będziemy żałować – w lokalach z uznaną pozycją występują naprawdę dobrzy tancerze i muzycy. Całemu wydarzeniu brakuje jednak czasem magii – albo ze względu na rozmiar widowni i sali, albo nieco rewiowy charakter występu.

Znalezienie kameralnego baru z klimatem nie zawsze jest łatwe. Wiele miejsc upadło przez pandemię i konkurencję ze strony większych graczy. Wciąż na mapie pojawiają się jednak nowe. Tablao La Milonga powstało w 2022 r. Stworzyły je dwie bailaoras z Argentyny. – *W czasie pandemii zamknęło się wiele lokali, gdzie mogły występować osoby uczące się jeszcze tańczyć* – opowiada Julieta Santi, jedna z założycielek. – *Oczywiście nie mówimy o początkujących, ale takich, które poświęciły tej sztuce wiele lat* – dodaje. Na tym polega różnica między uznanymi *tablaos* a mniej formalnymi inicjatywami: w tych drugich często zobaczymy osoby z zagranicy, które do stolicy Andaluzji przyjechały szlifować swoje umiejętności i próbować swych sił na tu-tejszych scenach.

Flamenco opiera się bowiem na cudzoziemcach nie tylko jako na widzach. Sewilla przyciąga tancerki i tancerzy z całego świata. To oni stanowią większość w grupach dla zaawansowanych w tutejszych szkołach, trenują w małych studiach i marzą o występach na wielkich scenach. Często zostają im jednak tylko te małe. Zobaczymy na nich artystów z Francji, Włoch, Japonii, Polski czy Ameryki Łacińskiej, którzy radzą sobie nie gorzej od miejscowych. Jest im jednak trudniej. Lokalni i zagraniczni widzowie w jednej kwestii są zgodni: wolą oglądać artystów hiszpańskich. – *Guiris tylko się przebiorają i udają* – powiedział mi kiedyś Jesús, sewilski fan flamenco. Guiri to określenie cudzoziemca, często zabarwione lekką pogardą.

– *U nas artyści są różnej narodowości. Flamenco to dziedzictwo ludzkości, każdy ma do niego prawo* – mówi Julieta. Miejsc podobnych do Milongi działa obecnie kilka. Należą do nich Tablao Flamenco Azahar i La Madriguera de Mai. O dziwo, jedną z trwalszych inicjatyw są jednak uliczne pokazy na Plaza de España. Pochodząca z Grecji **Georgia Xanthaki** tańczy tu od lat. Jak sama przyznaje, zaczęła, gdy skończyły się jej oszczędności, na długo przed pandemią. – *Na ulicy tańczyły wtedy może ze trzy dwuosobowe zespoły – wspomina*. Sama też przychodziła tylko z gitarzystą i przenośnym drewnianym podestem. Okazało się jednak, że taniec w większej grupie – z gitarą, śpiewem i cajónem, czyli skrzynką perkusyjną – bardziej się opłaca. Z czasem powstało nawet nieformalne stowarzyszenie artystów ulicznych, z rozpisanymi dyżurami i godzinami występów. Dziś na Plaza de España można zobaczyć całe spektakle z dopracowaną dramaturgią. Oczywiście to nie to samo, co *tablaos*, gdzie artysta i widz mogą skupić się tylko na sobie nawzajem. Ale warto docenić tę uliczną ekspresję. I nie rezygnować ze spektaklu tylko dlatego, że nie zobaczymy na nim rodowitych Hiszpanów. ■



Grudniowe pierogi ze skwarkami

Pierogi to wdzięczne danie, bo kochają je wszyscy, a to, co znajdzie się między płacami ciasta, zależy tylko od fantazji.

Koniec roku jest wyjątkowy. Kiedyś jako pełna buntu nastolatka gardziłam świętami Bożego Narodzenia, widząc w nich tylko festiwal komercji i konsumpcji. Wszystko się zmieniło, kiedy nieco dorosłam i obejrzałam film „Elf”. Uroczy i pełen radości główny bohater uświadomił mi wiele: nie ma nic złego w dawaniu nawet nudnych prezentów, święta można spędzać po swojemu i dla siebie, nie ma nic lepszego od jedzenia ulubionych potraw i słodkości.

Wyznaję także zasadę, że koniec roku powinien być okresem dobrego jedzenia, kuchnia świąteczno-grudniowa też może przeżywać odnowę. Jestem zdania, że w ogóle powinno się wyjść poza kulinarne i świąteczne schematy. Marzysz o misce z hummusem na świątecznym stole? Proszę bardzo!

Ja zawsze marzę o pierogach. Pewnie dlatego, że robię je rzadko, bo lepienie doprowadza mnie do szaleństwa. Ale pierogi to bardzo wdzięczne danie, kochają je wszyscy, a to, co znajdzie się między płacami ciasta, zależy tylko od fantazji. Warto spróbować czegoś nowego, wyjść poza utarte szlaki wyznaczane przez farsz ruski czy z kapustą i grzybami.

W tym przepisie proponuję sezonową kapustę z dodatkiem kwaśnego jabłka i zdrowego tofu. Ciasto z mąki pełnoziarnistej to nieco zdrowsza wersja tradycyjnego ciasta. I przygotowałam je nie bez kozery. Po zjedzeniu takich pierogów z powodzeniem i czystym sumieniem można sięgnąć po więcej czekoladowych mikołajów, choinkowych cukierków, jeszcze jeden metr makowca.

W dodatku znajdujące się na pierogach skwarki z selera to hit!



Alicja Rokicka

– autorka bloga Wegan Nerd i książek kulinarnych, entuzjastka słonecznej Italii i smaków śródziemnomorskich w wersji roślinnej. Z wykształcenia graficzka.

Pełnoziarniste pierogi z kapustą, jabłkiem i tofu okraszone skwarkami z selera

Składniki:

Ciasto

3½ szklanki mąki pełnoziarnistej
1 łyżeczka soli
1 szklanka wrzątku
2 łyżki oleju

Farsz

1 cebula
1 kostka naturalnego lub wędzonego tofu
¼ głowy białej kapusty
1 jabłko, np. szara reneta
2 liście laurowe
3 ziela angielskie
½ szklanki warzywnego bulionu
2 łyżeczki majeranku
⅓ łyżeczki gałki muszkatolowej
sól
pieprz
olej

Sposób przygotowania:

— Przygotuj dużą miskę. Wsyp do niej 3 szklanki mąki i sól. Zalej wrzątkiem, mieszając łyżką. Po drodze dodaj olej. Zaczynaj zagniatą ciasto. Dodawaj stopniowo ½ szklanki mąki, jeśli ciasto lepi się do palców, a to po prostu zależy od mąki. Powinno wyjść jednolite ciasto. Zawień w folię spożywczą i odłóż na bok.

— Na dużej patelni rozgrzej 4 łyżki oleju. Tofu pokrój w drobną kosteczkę i zaczynaj podsmażać. Cebulkę posiekaj drobno i po ok. 3 minutach dodaj do tofu. Kapustę poszatkuj bardzo drobno, jabłka nie obieraj i zetrzyj na tarce o dużych oczkach. Wsyp oba składniki na patelnię i przemieszaj. Wsyp ziele angielskie i liście laurowe. Zalej całość bulionem. Duś ok. 10–15 minut, aż kapusta zmięknie. Nadmiar płynów powinien odparować. Dodaj majeranek. Farsz przenieś do miski, niech ostygnie. Wyciągnij liście laurowe i ziele angielskie. Zblenduj masę w dokładnie 4 miejscach, by farsz lepiej się połączył. Spróbuj i dopraw solą, pieprzem i gałką muszkatolową. Jeśli farsz wydaje ci się za słodki, dodaj 1–2 łyżki octu jabłkowego.

— Odrywaj po kawałku ciasta, wałkuj na 2-mm placek i wycinaj koła. Resztki ciasta wyrabiaj i znowu wałkuj. Lep pierogi najlepiej, jak potrafisz, a później gotuj je w osolonej wodzie ok. 3 minut od wypłynięcia.

— Pierogi podawaj z selerowymi skwarkami i posypane natką pietruszki.

Skwarki z selera

kawałek selera
ok. 1/3 szklanki oliwy
3 łyżki sosu sojowego (najlepiej ciemny)

— Seler obierz i pokrój w bardzo drobną kosteczkę. Na patelni rozgrzej oliwę. Wsyp seler i nie mieszaj. Niech się smaży i zacznie rumienić. Kiedy będzie już złotego koloru i zredukuje swoją objętość, dodaj sos sojowy i mieszaj. Smaż jeszcze minutę, aż seler zrobi się ciemny.

Słynny agent Tomek w rozmowie z „GW” opowiedział o współpracy z „dziennikarzami” z prawicy: „Wcześniej nie znałem Cezarego Gmyza, to był pierwszy raz, gdy się spotkałem. Od tamtego momentu w dużym stopniu przejąłem kontakty z nim, ale też z przedstawicielami »Gazety Polskiej«: Tomaszem Sakiewiczem, Dorotą Kanią, Anitą Gargas, Katarzyną Hejke, Maciejem Maroszem, Samuelem Pereira. Na polecenie Kamińskiego i Wąsika [szefów CBA] wielokrotnie dostarczałem materiały z podsłuchów (...), ale także różnych innych spraw, którymi ci dziennikarze byli zainteresowani. Później były z tego publikacje, o które tak naprawdę chodziło szefom CBA. Dzięki takim publikacjom partia PiS mogła wykorzystywać w debacie publicznej tajne materiały zebrane przez służby”. Co na to prezydent łaskodawca?

Kataryna w „Plus Minus”: „Styl, w jakim Prawo i Sprawiedliwość żegna się ze stanowiskami, budzi, oczywiście, niesmak, ale też chyba nikt się nie spodziewał, że partia odda władzę w stylu lepszym, niż ją sprawowała. Zgarnianie na odchodnym wszystkiego, co się jeszcze da zgarnąć, to logika każdej władzy, a partia Kaczyńskiego z pewnością wyznaczy także tu nowe standardy. I znowu nikt na Nowogrodzkiej nie rozumie, jak bardzo i jak szybko to się zemści (...) wszystkie „sprytnie” triki odchodzącej władzy na przedłużenie sobie dostępu do koryta z pewnością będą mocno nagłaśniane. A z tego naprawdę trudno będzie kiedyś wrócić do narracji o bezinteresownej służbie Polsce”. Trudno, ale da się.

W tekście („Rzeczpospolita”) wyrozumiałym dla prezesa PiS, choć nie tak wyrozumiałym dla Donalda Tuska („nie tylko nie miał pojęcia przed wyborami, co począć z władzą, ale nie ma go nadal”), Piotr Zaremba przyznaje: „Bo jeśli Koalicja Obywatelska jest partią niemiecką, a Donald Tusk – lumpem, to jego dzisiejsi sojusznicy także zostają tym samym definitywnie potępieni. I rozważania o jakiejś zamianie koalicji stają się jedynie grą słów. Nie tylko na dziś,

K O Z A



© JAN KOZŁA

ale na lata. Jak rozumiem, prezes PiS liczy na kolejną definitywną, toksyczną polaryzację, gdzie jego obóz znowu zagra o wszystko”. No, ale jemu od zawsze wolno więcej.

Jan Piński wybiega w przyszłość („Najwyższy Czas!”): „[prezes] stoi przed olbrzymim wyzwaniem, jakim są nadchodzące wybory samorządowe i do europarlamentu, w których PiS będzie w nowej dla siebie sytuacji. Nie będzie miał wsparcia mediów publicznych (TVP, Polskie Radio). Nie będzie miał także finansowania dla »swoich« mediów, takich jak »Do Rzeczy«, media braci Karnowskich (...), media Tomasza Sakiewicza (...). Dla partii przyzwycającej, że od 7 lat rywalizuje »na doping«, będzie to dramat. (...) stawiam hipotezę, że 2024 r. będzie ostatnim rokiem Kaczyńskiego w polityce i rokiem, w którym PiS zacznie się rozpadać”. Teza weryfikowalna.

Kto myśli
o niepodległości Polski,
odwołania do Boga
wyrzec się nie może.
Ulega wtedy
narodowemu nihilizmowi
i gubi sens polskości
– Paweł Lisicki, „Do Rzeczy”.
Podać sole trzeźwiące?

Szef „Sieci” Jacek Karnowski jeszcze stoi u boku Prezesa, jeszcze zagrzewa do boju: „Prawo i Sprawiedliwość jest dziś czymś więcej niż partią polityczną. Jest gwarantem polskiej niepodległości.

I warto, by cała prawica zrozumiała, że każda inna kalkulacja jest oczywistą drogą do klęski naszego państwa”. Jacek Karnowski na prezydenta!

Andrzej Stankiewicz w „Newsweeku” studzi przegrzaną agłowę Jacka Karnowskiego: „W styczniu prezes chce zorganizować »konferencję wszystkich sił patriotycznych« – to ma nie tylko pokazać, że wciąż sprawuje rząd dusz na prawicy, ale wręcz, że poszerza PiS. To fikcja, bo wybory pokazały, że partia dostała mniej głosów niż cztery lata temu, przy znacznie wyższej frekwencji. Pod przewodnictwem Kaczyńskiego PiS się nie rozwija, tylko zwija”. Choć powoli.

W „Przeglądzie” prof. Andrzej Romanowski zauważa: „Można rzec: nic nowego. PZPR też utożsamiała swój interes z interesem Polski. (...) Gdy jednak dziś Jarosław Kaczyński powiada, że wraz z odejściem PiS od władzy Polska utraci niepodległość, nie wkracza nawet na szlaki PZPR. On realizuje politykę wymierzoną wprost w polską rację stanu. I to też nic nowego: taką politykę prowadził przez minione osiem lat”. I milionom się to podobało.

Wojciech Maziarski uznał, że czas już powiedzieć to otwarcie (wyborcza.pl): „Dziś obraz męża opatrnościowego i zbawcy narodu został zastąpiony wizerunkiem starzejącego się prezesa, który nie panuje nad emocjami, miota obelgi bez żadnego trybu i zamknięty w bunkrze pod kancelarią IV RP rozkazuje swoim oddziałom, by wraz z nim popełniły polityczne samobójstwo. To już jest koniec”. Ale nie na pewno.

Janusz Korwin-Mikke wyjaśnia czytelnikom „Do Rzeczy”: „Po co jestem w polityce? Jestem w polityce po to, by zmienić świat. A żeby zmienić świat, muszę zmienić sposób myślenia tych paru procent ludzi, którzy myślą. (...) od 60 lat walczę o wolność, własność i sprawiedliwość. I nie mam zamiaru przestać”. Obietnica czy groźba?

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne ✦

Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / neurolizy współczulne ✦

blokady / neurolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginekologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl



APART.pl